

**Robert Louis Stevenson**

**Porwany za młodu**

Przełożył Jan Meysztowicz

Data wydania polskiego 1956

## I. Wyruszam w podróż do posiadłości Shaws

Dzieje moich przygód rozpocznę od pewnego ranka, na początku miesiąca czerwca, Roku Pańskiego 1751, kiedy to po raz ostatni wyjąłem klucz z drzwi domu mego ojca. Gdy schodziłem w dół drogą, słońce zaczynało oświetlać wierzchołki wzgórz i zanim doszedłem do plebanii, kosy rozgwiżdżały się w ogrodowych bzach, a wisząca o świcie nad doliną mgła zaczęła się podnosić i znikać.

Pan Campbell, pastor w Essendean, czekał na mnie - pocziwy! - przy bramie ogrodu. Spytał, czy jadłem śniadanie, a słysząc, że niczego w tym względzie nie pragnę, ujął dłoń moją w obie swe dłonie, wsunął serdecznym ruchem pod ramię i rzekł:

- Davie, mój chłopcze, pójdę z tobą aż do brodu, aby cię wyprawić w drogę.

Ruszyliśmy naprzód w milczeniu.

- Nie żal ci opuszczać Essendean? - zapytał po chwili.

- Nie wiem, panie - odrzekłem - gdybym wiedział, dokąd idę, lub co się ze mną stać może, odpowiedziałbym szczerze. Essendean jest przemiłą miejscowością. Czułem się tutaj bardzo szczęśliwy. Nigdzie co prawda stąd nie wyjeżdżałem, ale skoro ojciec mój i matka pomarli, to równie blisko nich będę w Essendean jak w królestwie węgierskim. Szczerze mówiąc, jeślibym sądził, że tam, dokąd podążam, będę mógł stać się lepszym człowiekiem, szedłbym z dobrą wolą.

- Tak? - rzekł pan Campbell. - No dobrze, Davie. Moim więc obowiązkiem będzie zaznajomić cię z twoim położeniem w tej mierze przynajmniej, w jakiej mogę to uczynić.

Gdy matka twoja umarła, a ojciec (zacości człowiek i dobry chrześcijanin!) zachorzał śmiertelnie, powierzył mi on pewien list, o którym rzekł, że stanowi twe dziedzictwo. „Gdy umrę - powiedział - a dom będzie uporządkowany i sprzęty sprzedane (a wszystko to, Davie, zostało zrobione), daj memu chłopcu do rąk własnych ten list i wypraw go do posiadłości Shaws, niedaleko Cramond. Stamtąd pochodzę - powiedział - i wypada, aby powrócił tam mój chłopak. Roztropny to jest młodzian - mówił twój ojciec - i obrotny zarazem. Nie wątpię, że da sobie radę i będzie lubiany, gdziekolwiek się znajdzie”.

- Shaws! - wykrzyknąłem. - A cóż mój biedny ojciec miał z tym wspólnego?

- Któż na to zdoła z pewnością odpowiedzieć? - rzekł pan Campbell. - Ale nazwisko tamtej rodziny, Davie, mój chłopcze, jest nazwiskiem, które nosisz: Balfour z Shaws. Stara to jest, godna i szanowana rodzina. Podupadła pewnie ostatnimi czasy... Ojciec twój był również człowiekiem uczonym, jak przystało na Balfoura. Nikt lepiej od niego nie prowadził szkoły, a z mowy i zachowania nie przypominał w niczym zwykłego nauczyciela. Zresztą, jak sam

pamiętasz, miło mi było go zapraszać do plebanii, gdzie spotykał się z ziemiaństwem. Członkowie mego rodu, Campbellowie \* [\*Campbellowie - jeden z najliczniejszych i najpotężniejszych klanów szkockich. Byli oni zwolennikami polityki angielskiej i popierali jawnie Jerzego I z dynastii hanowerskiej. Zdobywszy dzięki temu wpływy u władz angielskich, mogli Campbellowie dążyć skutecznie do objęcia zwierzchnictwa nad pozostałymi klanami - co było głównym ich celem.] z Kilrennet, Campbellowie z Dunswire, Campbellowie z Minch tudzież inni - a są oni wszyscy ogólnie poważanymi dżentelmenami - cieszyli się z jego towarzystwa. Wreszcie, aby ci przedstawić wszystkie elementy tej sprawy - oto list zawierający ostatnią wolę twego ojca, spisany własną ręką naszego zmarłego brata.

Dał mi list adresowany następującymi słowami:

*Do rąk Ebenezera Balfoura, dziedzica Shaws, w jego domu w Shaws, dla doręczenia przez mego syna, Dawida Balfoura.*

Serce zabiło mi mocniej na myśl o wielkich możliwościach otwierających się przede mną, siedemnastoletnim chłopcem, synem ubogiego wiejskiego nauczyciela w Forrest of Ettrick.

- Panie Campbell - wyjąkałem - czy będąc na moim miejscu poszedłby pan tam?

- Poszedłbym z pewnością - rzekł pastor. - I to nie zwlekając. Taki dziarski chłopak jak ty powinien dojść do Cramond, które leży w pobliżu Edynburga, po dwóch dniach marszu. A jeśli najgorsze z najgorszych się stanie i twoi dostojni krewni, bo jak mi się wydaje, istnieje między wami związek krwi, wyproszą cię za drzwi, możesz zawrócić i po dwóch dniach zakolatać do drzwi plebanii. Wolę mieć jednak nadzieję, że będziesz przyjęty dobrze, jak to przewidywał twój biedny ojciec, i z czasem zostaniesz znacznym człowiekiem. Dlatego, Davie, mój chłopcze - ciągnął dalej - winienem, zgodnie z nakazem mego sumienia, okraszyć to pożegnanie ostrzeżeniem cię przed niebezpieczeństwami tego świata.

Rozglądnął się w poszukiwaniu wygodnego miejsca i podszedłszy do wielkiego kamienia pod brzozą, koło drogi, rozsiadł się na nim, wysuwając dla powagi górną wargę. Wyciągnąwszy chustkę do nosa przykrył nią swój trójgraniasty kapelusz, chroniąc się przed słońcem, które świeciło na nas spomiędzy dwóch pagórków, po czym z podniesionym do góry palcem przestrzegł mnie przed niemałą ilością herezji, ku którym nie miałem jakoś żadnej skłonności; nalegał, bym żarliwy był w modlitwie i czytaniu Biblii. Następnie opisał mi znakomity dom, do którego udać się miałem, i pouczał, jak mam się zachowywać wobec jego mieszkańców.

- Bądź uległy w sprawach mniej ważnych - mówił. - Pamiętaj, że chociaż jesteś dobrze urodzony, ale chowałeś się na wsi. Nie przynieś nam wstydu, Davie. W tym wielkim, zamożnym domu pokaż wobec wszystkich domowników, że jesteś układny, przezorny, równie szybki w rozumieniu rzeczy, jak wolny w ich wypowiedaniu. A co do dziedzica... to pamiętaj, że jest on dziedzicem, i niech ci to wystarczy. Okazuj szacunek, komu się należy. Być posłusznym dziedzicowi jest - lub powinno być - przyjemnością dla młodych.

- Być może, panie - odpowiedziałem. - Przyrzekam postarać się, aby tak było.

- To bardzo dobrze - odrzekł serdecznie pan Campbell. - A teraz przejdźmy do spraw niemałej wagi, czyli, używszy gry słów, nieważnych. Mam tu paczuszkę zawierającą cztery przedmioty - mówił wydobywając ją z niemałym trudem z tylnej kieszeni surduta. - Z czterech tych przedmiotów pierwszy stanowi twoją prawną własność. Jest to drobna suma zebrana ze sprzedaży książek i sprzętów twego ojca, które kupiłem, jak ci to na początku wspomniałem, by odprzedać je z zyskiem następnemu nauczycielowi. Pozostałe trzy - to podarki ofiarowane ci z całego serca przeze mnie i panią Campbell.

Pierwszy jest okrągły i na początek spodoba ci się zapewne najbardziej. Lecz, Davie, mój chłopcze, jest to tylko kropla wody w morzu! Dopomoże ci w stawianiu pierwszych kroków i zniknie jak zorza poranna. Drugi jest płaski, kwadratowy i zapisany, a będzie ci w życiu podpora jak dobra laska w drodze i dobra poduszka pod głową w czas choroby. Ostatni wreszcie jest trójwymiarowy i zaprowadzi cię, co jest mym pobożnym życzeniem, do lepszej krainy.

Powstał, zdjął kapelusz i przez chwilę modlił się głośno podniosłymi słowy na intencję młodego człowieka wyruszającego w świat, potem objął mnie nagle, bardzo mocno uściskał i odsunąwszy na długość rąk, przyglądał mi się z drgającą od smutku twarzą. Wreszcie odwrócił się szybko i rzuciwszy słowa pożegnania ruszył podrygującym truchtem w powrotną drogę. Komuś innemu wydawałoby się to śmieszne, ja jednak nie miałem ochoty do śmiechu. Patrzyłem za nim, aż znikł mi z oczu: ani razu nie zwolnił kroku, ani się nie obejrzał. Zdałem sobie wówczas sprawę, iż go to rozstanie tak zasmuciło, i poczułem gwałtowne wyrzuty sumienia, gdyż co do mnie, byłem uradowany, że opuszczam ten cichy, wiejski zakątek i wyruszam do wielkiego, gwarne go domu, pomiędzy bogatych i szanowanych ziemian noszących takie samo nazwisko i spokrewnionych ze mną.

„Davie, Davie - pomyślałem - czy widział kto kiedy czarniejszą od twojej niewdzięczność? Żeby na byle wspomnienie nazwiska zapomnieć o starych przyjaciółach i o wyświadczonych ci dawniej łaskach! Wstydzić się winieneś, doprawdy!”

Usiadłem na kamieniu opuszczonym przed chwilą przez tego zacnego człowieka i otworzyłem paczkę, aby się przekonać, co zawiera. Nie miałem zbyt wielkiej wątpliwości co do przedmiotu określonego przez ofiarodawcę jako trójwymiarowy - była to oczywiście mała Biblia do noszenia w kieszeni pledu \*. [\*Pled - część narodowego stroju górali szkockich. Jest to płachta wełniana noszona zamiast płaszcza, spięta na ramieniu i tworząca rodzaj opończy.] Ten okrągły okazał się jednoszylingową monetą. Trzeci zaś, mający służyć mi w zdrowiu i chorobie przez wszystkie dni mego żywota, był małym kawałkiem grubego żółtego papieru, na którym wypisano czerwonym atramentem:

*Przepis na wywar z lilii wodnych:*

*Weź kwiaty lilii wodnych, naparż w białym winie i wypij łyżką lub dwie, zależnie od okoliczności. Przywraca mowę epileptykom. Bardzo skuteczne na podagrę. Dobrze robi na serce i wzmacnia pamięć. Włóż te kwiaty do szklanego naczynia, szczelnie zamkniętego, i wsuń na miesiąc w mrowisko, po czym wyjmij, a znajdziesz płyn wyciekły z kwiatów. Płyn ten przechowuj we flaszczech. Działa doskonale na zdrowych i chorych, zarówno na mężczyzn, jak i na kobiety.*

Poniżej dopisane było własną ręką pastora:

*Postępuj tak samo przy zwichnięciach i nacieraj odpowiednie miejsce. Na bóle żołądka dużą łyżkę co godzina.*

Śmiałem się oczywiście czytając to, ale lekliwie. Tym chętniej więc zatknąłem mój tłumoczek na koniec laski i przeszedłszy przez bród zacząłem się wspinać na wznoszące się przede mną wzgórze. W chwili gdy doszedłem do zielonej drogi, po której pędzono bydło, wijącej się szeroko wśród wrzosowisk, rzuciłem ostatnie spojrzenie na kościół w Essendean, na drzewa okalające plebanię i wiele jarzębiny na cmentarzu, gdzie spoczywali ojciec mój i matka.

## II. Dochodzę do celu mojej podróży

Nazajutrz, około południa, znalazłszy się na szczycie wzgórza, ujrzałem rozpościerającą się przede mną okolicę opadającą ku morzu, a pośrodku tej pochyłości, na falistym wzniesieniu, miasto Edynburg, dymiące jak piekarski piec. Flaga powiewała na zamku, statki w zatoce poruszały się lub stały na kotwicy. Pomimo wielkiej odległości mogłem wszystko dostrzec wyraźnie i wywołało to radosny wstrząs w moim wieśniaczym sercu.

Wkrótce potem przechodziłem obok chaty zamieszkannej przez pasterza owiec, który wskazał mi mniej więcej kierunek prowadzący do Cramond. I tak, rozpytując się po drodze, ominąłem - idąc przez Colington - stolicę od zachodu i znalazłem się na drodze wiodącej do Glasgow. Tamże, ku mojej wielkiej radości i zdziwieniu, napotkałem pułk maszerujący noga w nogę, przy dźwiękach piszczałek. Na czele jechał na siwym koniu stary generał o czerwonej twarzy, a za pułkiem kroczyła kompania grenadierów w wysokich czapkach. Patrząc na czerwone mundury i słysząc wesołą muzykę czułem, jak duma życia ogarnia mnie całego.

Poszedłem nieco dalej, a gdy powiedziano mi, że znajduję się już w parafii Cramond, zacząłem rozpytywać o posiadłość Shaws. Słowo to zdawało się wywoływać zdziwienie u tych, których pytałem o drogę. Początkowo sądziłem, że to moja postać znamionująca ubóstwo i wieśniacza odzież okurzona w pieszej wędrówce nie licują ze wspaniałością miejsca, do którego podążam. Skoro jednak dwie lub trzy osoby w ten sam sposób spojrzały na mnie i tej samej udzieliły odpowiedzi, zacząłem przemyśliwać, iż tam w Shaws musi się dziać coś zgoła dziwnego.

Aby uspokoić obawy, zmieniłem formę moich pytań i wypatrzywszy uczciwie wyglądającego mężczyznę, który nadjeżdżał polną drogą siedząc na dyszlu swego wozu, spytałem go, czy słyszał kiedy o posiadłości zwanej Shaws.

Zatrzymał wóz i spojrzał na mnie podobnie jak inni.

- Słyszałem - rzekł. - Bo co?

- Czy to wielki dom? - zapytałem.

- Pewnie! - odpowiedział. - To wielki i bogaty dom.

- A ludzie, którzy w nim mieszkają? - pytałem dalej.

- Ludzie?! - zawołał. - Czy ty aby masz dobrze w głowie? Tam nie ma nikogo, kogo można by nazwać człowiekiem.

- Jakże to? A pan Ebenezer?

- Tak, jest tam dziedzic, oczywiście, jeśli o tego ci chodzi. A jaki masz do niego interes?

- Słyszałem, że mógłbym tam znaleźć jakieś zajęcie - powiedziałem przybierając jak najskromniejszą minę.

- Co?! - krzyknął woźnica tak ostro, że aż koń się spłoszył. - No cóż - dodał - to nie moja sprawa, ale wyglądasz mi na przyzwoitego chłopaka, więc posłuchaj mojej rady i trzymaj się z daleka od Shaws.

Następną napotkaną osobą był rześki, mały mężczyzna we wspaniałej, białej peruce, w którym rozpoznałem wędrownego balwierza, a wiedząc, że balwierze są zamiłowanymi plotkarzami, zapytałem go po prostu, jakiego rodzaju człowiekiem jest pan Balfour z Shaws.

- Ho, ho - odrzekł balwierz - to nie jest dobry człowiek, to wcale nie jest dobry człowiek! - i zaczął bardzo sprytnie wypytywać o moje sprawy. W grze tej okazałem się jednak sprytniejszy od niego, odszedł więc do następnego klienta, tyle wiedząc co przedtem.

Nie potrafię dobrze opisać ciosu, jaki to zadało moim marzeniom. Im bardziej nieokreślone były zarzuty, tym gorsze na mnie wywierały wrażenie, gdyż otwierały coraz to szersze pole domysłu. „Cóż to być musi za znakomity dom, jeśli wszyscy w parafii oburzają się i dziwią, gdy pytać o drogę do niego? - myślałem. - Cóż to być może za dżentelmen, którego na okolicznych drogach znają wszyscy ze złej sławy?”

Gdybym po godzinie marszu mógł znaleźć się znów w Essendean, zaniechałbym bez wahania mego przedsięwzięcia i powróciłbym do pana Campbella, ale ponieważ zawędrowałem już tak daleko, wstyd mi było odstąpić od zamiarów, zanim nie wypróbuję swych sił. Aby nie uchybić własnej godności, musiałem doprowadzić sprawę do końca, a chociaż wszystko, co słyszałem o Shaws, zniechęcało mnie i zacząłem iść coraz wolniej, to jednak nadal o drogę pytałem i nadal posuwałem się naprzód.

Niedługo przed zachodem słońca spotkałem roślą, czarnowłosą, posępnie wyglądającą kobietę schodzącą z trudem ze wzgórza. Gdy zadałem jej zwykłe me pytanie, odwróciła się gwałtownie, podeszła wraz ze mną na szczyt wzgórza, które właśnie opuściła i wskazała na otoczone murawą rozległe domostwo stojące w zupełnej samotności w głębi pobliskiej doliny. Na dorodny okalający je krajobraz, znamionujący obfitość wilgoci, składały się niskie pagórki porośnięte pięknymi drzewami. Urodzaje na pobliskich polach oceniłem jako wspaniałe. Sam dom natomiast robił wrażenie ruiny: nie prowadziła doń żadna droga, dym nie wznosił się z kominów i nie widać było śladu dbałości o ogród. Poczulem bolesny skurcz serca. - A więc to tutaj! - zawołałem.

Twarz kobiety zapłonęła wściekłością.

- To jest dom i majątek Shaws! - wykrzyknęła. - Krew go zbudowała, krew powstrzymała jego budowę, krew go zburzy. Spójrz na mnie! Oto pluję tutaj na ziemię i wzywam czartowskie moce! Oby czarna była jego zagłada! Jeśli zobaczysz dziedzica, powtórz mu, co słyszysz. Powiesz, że Jennet Clouston, po raz tysiąc dwieście dziewiętnasty, rzuciła zły urok i przekleństwo na niego, na jego dom, oborę i stajnię, na sługę, gościa i pana, na żonę, córkę i dziecię... czarna, czarna niech będzie ich zagłada!

Po czym kobieta owa, której piskliwy głos brzmiał niczym zawodzenie czarownicy, odwróciła się nagle i odeszła. Stałem w miejscu, w którym mnie zostawiła, i czułem, jak włosy jeża mi się na głowie. W owych czasach ludzie wierzyli jeszcze w czarownice i drżeli przed ich przekleństwem, ta zaś napotkana o tej porze na drodze, jak zły omen, ostrzegający przed spełnieniem zamiarów, odjęła mi wszelką władzę w nogach.

Usiadłem i jałem przyglądać się siedzibie dziedzica Shaws. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej urocza wydała mi się ta okolica pokryta krzewami dzikich, kwitnących głogów, z pasącymi się na łąkach owcami, ze stadem wron szybujących po niebie. Wszystko dokoła wskazywało na dobry klimat i urodzajną glebę, tylko rudera stojąca w samym środku pól sprzeciwiała się tym błogim przypuszczeniom.

Wieśniacy powracający z pól przechodzili opodal rowu, na którego skraju siedziałem, lecz zabrakło mi odwagi, by ich pozdrowić. Wreszcie słońce zaszło i wówczas dostrzegłem wznoszącą się na tle żółtego nieba cienką smużkę dymu, nie grubszą, jak mi się zdawało, od dymu świecy. Widziałem ją jednak, a oznaczało to ogień, ciepło, gotowaną strawę i obecność żywego człowieka, który ten ogień rozpałił. Podniosło mnie to na duchu.

Poszedłem więc naprzód wąziutką ścieżką, zaledwie widoczną w trawie, ciągnącą się w obranym przeze mnie kierunku. Była to doprawdy bardzo nikła ścieżka, jak na prowadzącą do zamieszkanego miejsca. Nie widziałem jednak innej. Zaprowadziła mnie ona aż do kamiennych słupów, obok których stał pozbawiony dachu domek odźwiernego. Na słupach u góry widniała tarcza herbowa. Miała to być oczywiście główna brama, lecz nigdy jej nie wykończono. Zamiast kutych w żelazie wrót widniały pomiędzy słupami dwa kawałki plecionego płotu przywiązane słomianym powrozem. Nie było ani śladu muru parkowego i alei wjazdowej; ścieżka, którą szedłem, prowadziła na prawo od kolumn i wiła się bezładnie w kierunku domu.

Im bliżej do niego podchodziłem, tym nędzniejszy mi się wydawał. Było to właściwie jedno skrzydło domu, którego budowa została przerwana. To, co stanowiło środkową jego część, nie miało dachu i rysowało się na tle nieba zygzakowatą linią nie wykończonych murów. W wielu oknach nie było szyb i nietoperze wylatywały stamtąd jak gołębie z



gołębnika. Noc zaczęła zapadać, gdy zbliżyłem się do domu, i w trzech dolnych oknach, bardzo wysoko umieszczonych, wąskich i dobrze okratowanych, zaczęło połyskiwać migotliwe światło małego ognia.

„Czy to jest ów cel, do którego zdążyłem? Czy to w tych murach mam szukać nowych przyjaciół i zdobywać wielką fortunę? Przecież w domu mego ojca w Essendean Waterside ogień i jasne światło widać było na milę, a drzwi się otwierały na zapukanie żebraka!” - pomyślałem.

Podszedłem ostrożnie i nad słuchując, w miarę posuwania się naprzód, usłyszałem szcęk przesuwanych przez kogoś naczyń kuchennych oraz słabe, suche, raz po raz nawracające pokaszliwanie. Nie było jednak słyhać ni dźwięku rozmowy, ni szczekania psa.

Drzwi, o ile mogłem je dostrzec w półmroku, były wielką drewnianą płytą, gęsto nabijaną gwoździami. Podniosłem ręką i - chociaż serce mi zamarło pod kurtką - zastukałem raz jeden, po czym stałem wyczekując. Głęboka cisza zapanowała w domu; minęła minuta i nic się nie poruszyło, z wyjątkiem nietoperzy nad moją głową. Zastukałem znowu i nasłuchiwałem nadal. Uszy moje tak się przyzwyczaiły do ciszy, że słyzałem wewnątrz domu tykotanie zegara, wolno odliczającego sekundy. Ktokolwiek był tam w środku, nie wykonywał żadnego ruchu i musiał chyba wstrzymać oddech.

Namyślałem się, czyby nie uciec, lecz gniew wziął górę i zacząłem rękami i nogami walić w drzwi wykrzykując nazwisko pana Balfoura. Dobijałem się i wrzeszczałem w najlepsze, gdy posłyzałem kaszel akurat nad moją głową. Odskokczywszy do tyłu dojrzałem w jednym z okien na pierwszym piętrze głowę mężczyzny w wysokiej szlafmocy i podobną do dzwonu lufę garłacza.

- Nabity - odezwał się jakiś głos.

- Przeszedłem z listem do pana Ebenezera Balfoura - powiedziałem. - Czy on jest tutaj?

- Od kogo ten list? - zapytał mężczyzna z garłaczem.

- Od kogoś, kogo nie ma ani tutaj, ani tam - odparłem czując, że wzbiera we mnie złość.

- W takim razie - padła odpowiedź - możesz złożyć list na progu i wynosić się stąd.

- Nie zrobię tego! - zawołałem. - Doręcę go do rąk własnych pana Balfoura, tak jak mi przykazano. Jest to list polecający.

- Co takiego?! - wykrzyknął ostro głos.

Powtórzyłem więc raz jeszcze.

- Coś ty za jeden? - zapytano po dłuższej chwili.

- Nie wstydę się swego nazwiska. Zwań mnie Dawid Balfour.

Słowa te musiały bardzo zadziwić mężczyznę, gdyż tak się wzdrygnął, że usłyszałem, jak garłacz stuknął o parapet okna. Następne pytanie padło po jeszcze dłuższej chwili i wypowiedziane było dziwnie zmienionym głosem.

- Czy twój ojciec umarł?

Tak mnie to zaskoczyło, że nie mogłem wydobyć głosu i zamiast odpowiedzieć stałem wpatrując się w okno.

- Tak - mówił dalej mężczyzna - już nie żyje. I dlatego przyszedłeś zapukać do moich drzwi? - Zamilkł znowu i wreszcie rzekł zuchwale: - Dobrze, zaraz cię wpuszczę. - Po czym zniknął z okna.

### III. Zawieram znajomość z moim stryjem

Po chwili rozległ się brzęk łańcuchów i zasuw, drzwi otwały się ostrożnie i kiedy wszedłem, natychmiast zamknięte zostały.

- Idź do kuchni i nie dotykaj niczego - rzekł czyjś głos i gdy zamieszkująca ten dom osoba zajmowała się ryglowaniem na nowo drzwi, ja posuwałem się po omacku naprzód, aż dotarłem do kuchni.

Ogień palił się dosyć jasno i w jego świetle ujrzałem izbę tak skąpo umeblowaną, że bardziej pustej chyba nigdy nie widziałem. Z pół tuzina naczyń stało na półkach, na stole nakrytym do wieczery znajdowała się miska owsianki, rogowa łyżka i kubek cienkiego piwa. Oprócz tego, co wymieniłem, oraz kilku zamczystych skrzyń ustawionych pod ścianą i zamkniętej na kłódkę szafy w kącie nie było nic więcej w tej wielkiej, pustej izbie o kamiennym sklepieniu.

Po założeniu ostatniego łańcucha, mężczyzna powrócił do kuchni. Był to nędzny, zgarbiony stwór o wąskich ramionach i ziemistej cerze, lat od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu. Szlafmycę miał flanelową, jak również szlafrok, który nosił na postrzępionej koszuli zamiast surduta i kamizelki. Nie golił się był od dawna. Najbardziej jednak niepokoiło, a nawet przerażało mnie to, że ani na chwilę nie spuszczał ze mnie oczu, ani też nie patrzył mi prosto w twarz. Nie mogłem w żaden sposób zgłębić, kim był z zawodu lub urodzenia, ale robił wrażenie starego sługi, nieprzydatnego już do pracy, który w zamian za wikt pilnuje tego domu.

- Głodny jesteś? - zapytał spoglądając na me kolana. - Możesz zjeść tę odrobinę owsianki.

Odpowiedziałem, że nie chcę go pozbawiać wieczornego posiłku.

- Ech - odparł - mogę się łatwo obejść i bez tego. Napiję się jednak piwa, bo to łagodzi mój kaszel. - Wypił około połowy kubka, nie odrywając ode mnie oczu, po czym wyciągnął nagle rękę i rzekł: - Zobaczmy ten list.

Powiedziałem mu, że list jest przeznaczony dla pana Balfoura, a nie dla niego.

- A ty myślisz, że kto ja jestem? Daj mi list Aleksandra!

- Zna pan imię mego ojca?

- Dziwne byłoby, gdybym nie znał, gdyż to mój rodzony brat, i chociaż wydaje mi się, że moja osoba, mój dom i moja dobra owsianka niezbyt przypadają ci do gustu, jestem twoim rodzonym stryjem, Davie, a ty moim rodzonym bratankiem. Daj więc list, siadaj i napelnij swój brzuch.

Gdybym był o parę lat młodszy, rozplakałbym się zapewne ze wstydu, zmęczenia i rozczarowania. Teraz jednak nie byłem w stanie wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa, dobrego czy złego, wręczyłem mu więc list i zasiadłem do owsianki z takim brakiem apetytu, z jakim chyba nigdy młody człowiek nie zabierał się do jedzenia.

Tymczasem stryj mój, pochyliwszy się nad ogniem, obracał na wszystkie strony trzymany w ręku list.

- Czy wiesz, co w nim jest? - zapytał nagle.

- Proszę samemu sprawdzić, panie, że pieczęcie są nie naruszone.

- Tak, ale co ciebie tu przywiodło?

- Przybyłem doręczyć ten list.

- Nie o to chodzi - rzekł chytrze. - Musiałeś mieć chyba jakieś nadzieje?

- Przyznam się, panie, że gdy mi powiedziano o zamożnych krewnych, pozwoliłem sobie istotnie żywić nadzieję, iż zechcą dopomóc mi w życiu. Lecz nie jestem żebrakiem, nie oczekuję od pana żadnej łaski i żadnej nie pragnę, chyba że z dobrej woli wyświadczonej. Bo choć wyglądam na biedaka, mam jednak przyjaciół, którzy mi chętnie dopomogą.

- No, przestań się na mnie gniewać - rzekł stryj Ebenezer. - Dojdziemy wnet do zgody. A jeśli, mój chłopcze, masz już dosyć owsianki, to zjem i ja parę łyków. Tak - ciągnął dalej, skoro tylko odepchnął mnie od stołka i łyżki - owsianka to dobre, zdrowe... to świetne pożywienie. - Wymamrotał modlitwę i zaczął jeść.

- Twój ojciec - powiedział - pamiętam, bardzo lubił dobrze zjeść. Nie jadł dużo, ale za to z całego serca, co zaś do mnie - to nigdy nie mogłem przełknąć więcej niż odrobinę jedzenia.

Popił piwa i to zapewne przypomniało mu o obowiązkach gospodarza, bo rzekł mi wówczas: - Jeśliś spragniony, to znajdziesz wodę za drzwiami.

Nie odpowiedziałem na to, lecz oburzony do głębi, stałem sztywno i spoglądałem z góry na mego stryja. On zaś jadł nadal, jak człowiek, któremu zależy na czasie, i rzucał raz po raz przenikliwe spojrzenia bądź na moje obuwie, bądź na domowej roboty pończochy. Raz tylko, gdy ośmielił się spojrzeć nieco wyżej, nasze oczy spotkały się i żaden złodziej złapany z ręką w cudzej kieszeni nie okazałby większych oznak zakłopotania. Zacząłem się zastanawiać, czy nieśmiałość jego, której przyczynę upatrywałem w ciągłym przebywaniu stryja w samotności, nie ustąpiłaby po krótkiej próbie, czy stryj mój nie stałby się wówczas zupełnie innym człowiekiem. Rozmyślenia te przerwał ostry głos.

- Dawno umarł ojciec?

- Trzy tygodnie temu.

- Aleksander był nieufnym... zagadkowym człowiekiem - ciągnął dalej - nieufnym, milczącym człowiekiem... Kiedy był młody, nigdy nie mówił dużo. Czy kiedykolwiek mnie wspominał?

- Nie wiedziałem, panie, że miał brata, dopókiście mi o tym nie powiedzieli.

- Nie wspominał też chyba nigdy o Shaws?

- Nie, panie, nie wspominał.

- Coś podobnego! Dziwną naturę miał ten człowiek.

Jednakże stryj wydawał mi się szczególnie zadowolony, tylko nie mogłem odgadnąć: czy z siebie, czy ze mnie, czy też z zachowania mego ojca. Wstręt lub niechęć, jaką początkowo odczuwał względem mej osoby, zaczęły widocznie ustępować, gdyż wstał nagłym ruchem od stołu, przeszedł się za moimi plecami po izbie i uderzył mnie po ramieniu.

- Dojdziemy wnet do zgody! - zawołał. - Dobrze się stało, że ciebie tutaj wpuściłem. A teraz pójdiesz do łóżka.

Ku memu zdziwieniu nie zapalił lampy ani świecy, lecz wyruszył ciemnym korytarzem, kierując się po omacku i sapiąc głośno, potem dalej po schodach, aż przystanął przed drzwiami i otworzył je kluczem. Trzymając się blisko niego wgramoliłem się tam i ja, jak tylko mogłem najsprawniej. Kazał mi wejść do środka, był to bowiem pokój przeznaczony dla mnie. Uczyniłem zgodnie z jego życzeniem, lecz zatrzymałem się po paru krokach i poprosiłem o światło, by móc położyć się do łóżka.

- He, he - odrzekł na to mój stryj - piękny księżyc świeci.

- Nie ma ani księżycy, ani gwiazd i ciemno jak w lochu, nie mogę dojrzeć łóżka.

- Nie pozwalam na światło w domu. Zbyt się obawiam pożaru. Dobranoc, Davie.

Zanim zdążyłem znowu zaprotestować, szarpnął drzwi i zamknął je na klucz od zewnątrz.

Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Pokój był zimny jak studnia, a łóżko, gdy wreszcie do niego dotarłem, wilgotne jak torfowisko. Na szczęście zabrałem ze sobą mój tłumok oraz pled i zawinąwszy się weń, położyłem się na podłodze pod osłoną wysokiego łoża i szybko zasnąłem.

Otworzyłem oczy o świcie. Znajdowałem się w wielkim pokoju o ścianach zawieszonych wytłaczaną skórą, umeblowanym pięknymi meblami o haftowanych obiciach i oświetlonym przez trzy obszerne okna. Dziesięć lub dwadzieścia lat temu kłaść się na spoczynek czy budzić ze snu w tym pokoju musiało być nie lada przyjemnością, lecz od tamtej pory wilgoć, kurz, zaniedbanie tudzież myszy i pająki zrobiły już swoje. Ponadto wiele szyb było wybitych, co stanowiło tak charakterystyczną cechę tego domu, że nabrałem

przekonania, iż stryj mój musiał być w nim kiedyś oblegany przez rozwścieczonych sąsiadów, kto wie, czy nawet nie pod wodzą samej Jennet Clouston.

Słońce świeciło na dworze, a że w tym nędznym pokoju było bardzo zimno, zacząłem stukać i wołać, aż nadszedł mój dozorca i uwolnił mnie z tego więzienia.

Zaprowadził mnie za dom, gdzie znajdowała się studnia, i powiedział:

- Umyj sobie twarz, jeśli masz ochotę.

Po dokonaniu tego powróciłem samotnie do kuchni, gdzie stryj mój rozpałił już był ogień i gotował owsiankę. Na stole stały przygotowane dwie miski, dwie łyżki rogowe i jeden tylko kubek cienkiego piwa. Być może oko moje ze zdziwieniem spoczęło na tym przedmiocie i widocznie stryj to zauważył, bo zapytał, jak by odpowiadając na moje myśli, czy nie chciałbym się napić piwa, tak bowiem nazywał ów trunek.

Odpowiedziałem, że pijam go zwykle, ale żeby się tym nie przejmował.

- Nie, nie - rzekł - nie odmawiam ci nic rozsądnego.

Przyniósł drugi kubek z półki i ku memu wielkiemu zdziwieniu, zamiast utoczyć więcej piwa, odlał równo połowę ze swego kubka. Dostrzegłem w tym geście taką hojność, że aż mi dech zapało. Stryj mój był niewątpliwie sknerą, lecz należał do tej szlachetnej rasy skąpców, która potrafi wady uczynić godnymi prawie szacunku.

Po zakończeniu naszego posiłku stryj Ebenezer otworzył szufladę, wydobyl glinianą fajkę oraz kostkę tytoniu, z której odciął tyle, ile trzeba było do jednorazowego nabicia fajki, i zamknął szufladę na klucz. Po czym usiadł w słońcu przy jednym z okien i palił w milczeniu. Od czasu do czasu zerkał w moją stronę i rzucał takie krótkie pytania: - A twoja matka? - Odpowiedziałem, że umarła. Na co stryj: - Zaczna to była kobieta! - Wreszcie po długiej pauzie: - Któż są ci twoi przyjaciele?

Powiedziałem, że są to różni dżentelmeni należący do rodu Campbellow. Żaden z nich co prawda, z wyjątkiem jednego, który był duchownym, nie zwracał na mnie nigdy najmniejszej uwagi, ale zacząłem dochodzić do wniosku, że stryj mój zbyt mnie lekceważy, a będąc zmuszony z nim tylko przebywać, nie chciałem, by mnie traktował jak z łaski.

Widocznie dało mu to coś do myślenia, bo wreszcie przemówił: - Davie, słusznie postąpiłeś przychodząc do twego stryja Ebenezera. Dobro naszej rodziny bardzo mi leży na sercu i zamierzam uczynić, co się należy dla ciebie. Wszelako muszę się rzetelnie zastanowić, jaki wybrać dla ciebie zawód: prawo, kościół lub może wojsko, chłopcy mają zwykle największe zamiłowanie do wojska, ale tymczasem nie chcę, aby nasze nazwisko doznało upokorzenia ze strony kilku Campbellów. Proszę cię więc, byś trzymał język za zębami. Żadnych listów, żadnych wiadomości, ani słówka do nikogo, bo inaczej... moje drzwi!

- Stryju - odpowiedziałem - nie mam powodów sądzić, że nic innego jak moje dobro masz na względzie. Chciałbym jednak, abyście, stryju, wiedzieli, że i ja mam własną godność. Przyszedłem do was posłuszny nie mojej woli i jeśli pokażecie mi jeszcze raz drzwi, wezmę was za słowo.

- He, he, uspokój się, mój chłopcze, uspokój. Poczekaj dzień lub dwa. Nie jestem czarodziejem, aby znaleźć dla ciebie fortunę na dwie miski z owsianką. Pozostaw mi dzień lub dwa i nie mów nic nikomu, a na pewno zrobię dla ciebie, co się należy.

- Bardzo chętnie - odrzekłem - to wystarczy. Jeśli stryj chce mi pomóc, proszę nie wątpić, że będę się z tego cieszył, i jak nikt inny, będę mu za to wdzięczny.

Zdawało mi się (przedwcześnie, jak dowiodły potem wypadki), że zaczynam brać górę nad stryjem, więc wspomniałem mu o wywietrzeniu i wysuszeniu na słońcu łóżka i pościeli, gdyż nic nie zdołałoby mnie skłonić do sypiania na tak wstrętnym barłogu.

- Mój to jest dom, czy twój? - odrzekł stanowczym głosem, lecz zaraz potem złagodniał. - Nie, nie! Wszak co moje, to i twoje! Krew jest gęstsza od wody, a oprócz ciebie i mnie nikt już nie nosi naszego nazwiska.

Po czym zaczął gawędzić o rodzinie i jej dawnej świetności, o tym, jak jego ojciec zaczął rozbudowywać dom, on zaś wstrzymał budowę jako grzeszne marnotrawstwo. Opowiadanie jego przypomniało mi o zleceniu Jennet Clouston, powtórzyłem więc je stryjowi.

- Ta ladacznica! - wykrzyknął. - Tysiąc dwieście dziewiętnaście! Tyleż dni minęło od tego, w którym jako wierzyciel kazałem sprzedać cały jej dobytek. Każę ją upiec na rozpalonym torfie, zanim zakończę tę sprawę! To czarownica! Wszyscy to wiedzą! Wychodzę natychmiast i pogadam o tym z komornikiem.

Mówiąc to, otworzył skrzynię i wydobyl z niej bardzo stary, ale dobrze zachowany niebieski surdut i kamizelkę tudzież kapelusz bobrowy w dosyć dobrym stanie, a wszystko to bez żadnych galonów i ozdób. Ubrał się spiesznie i niedbale, wy dostał laskę z szafy, pozamykał wszystko na klucz i zabierał się do wyjścia, ale się nagle zatrzymał.

- Nie mogę ciebie zostawić samego w domu - rzekł. - Muszę go zamknąć, a ciebie pozostawić na zewnątrz.

Krew mi uderzyła do głowy.

- Jeśli stryj zamknie dom, pozostawiając mnie na zewnątrz, jest to nasze ostatnie przyjazne spotkanie - powiedziałem.

Zbladł gwałtownie i zacisnął wargi.

- To nie jest sposób, Davie - rzekł, patrząc złym wzrokiem na podłogę w kącie pokoju  
- to nie jest sposób na pozyskanie mych względów.

- Panie - odparłem - z całym szacunkiem należnym waszemu wiekowi i wspólnocie krwi przywiązuję do waszej łaski wielką wartość. Ale zostałem wychowany w dobrym mniemaniu o sobie samym i gdybyście byli po dziesięćkroć moim jedynym stryjem i jedyną rodziną, jaką mam na świecie, nie chciałbym kupić waszej przychylności za taką cenę.

Stryj Ebenezer podszedł do okna i wyglądał przez nie czas jakiś. Widziałem, jak drżał cały i podrygiwał jak epileptyk, lecz gdy się odwrócił, miał uśmiech na twarzy.

- Dobrze, dobrze - rzekł. - Musimy umieć cierpieć i przecierpieć. Nie wyjdę i nie mówmy więcej o tym.

- Stryju, nic z tego nie mogę zrozumieć. Traktujecie mnie jak złodzieja, nie możecie ścierpieć mojej w tym domu obecności, a okazujecie to każdym słowem i w każdej chwili. Jakże więc jest możliwe, abyście żywili dla mnie przyjazne uczucia? A jeśli o mnie chodzi, przemawiałem do was tak, jak nigdy nie myślałem, iż mówić będę do kogokolwiek. Dlaczego usiłujecie mnie tu zatrzymać? Pozwólcie mi, panie, odejść z powrotem do mych przyjaciół, a uczynię to nie zwlekając!

- Nie, nie - rzekł stanowczo. - Bardzo ciebie lubię. Dojdziemy jeszcze doskonale do porozumienia, a ze względu na honor rodziny nie mogę ci pozwolić na powrót tam, skąd przybyłeś. Pozostań tu spokojnie, jak porządny chłopiec, pozostań tylko spokojnie, a zobaczysz, że będziemy w zgodzie.

- Dobrze, panie - rzekłem po namyśle. - Pozostanę tu czas jakiś. Słuszniejszą jest rzeczą, aby nie obcy, lecz ci, z którymi łączy mnie wspólnota krwi, okazali mi pomoc. A jeśli się nie pogodzimy, uczynię wszystko, aby to nie było moją winą.



#### IV. Grozi mi wielkie niebezpieczeństwo

Dzień upłynął nam przyjemnie, choć się tak niepomyślnie zaczął. Jedliśmy zimną owsiankę w południe i ciepłą wieczorem. Owsianka i cienkie piwo stanowiły codzienne pożywienie mego stryja. Mówił niewiele rzucając mi od czasu do czasu pytania. A gdy usiłowałem skierować rozmowę na temat mojej przyszłości, zbywał mnie milczeniem. W przyległym do kuchni pokoju, do którego niechętnie pozwolił mi wejść, znalazłem sporą ilość książek łacińskich i angielskich; uprzyjemniły mi one całe popołudnie. W tym dobrym towarzystwie czas doprawdy tak szybko upłynął, że począłem już bez mała godzić się z pobytem w Shaws, a tylko widok stryja i jego oczu, grających z moimi w chowanego, odnawiał moją nieufność.

Zrobiłem pewne odkrycie, które wzbudziło we mnie nowe wątpliwości. Był nim skreślony ręką mego ojca na pierwszej karcie książki dla dzieci zapis tej treści:

Memu bratu Ebenezerowi, w piątą rocznicą jego urodzin.

Zdziwiło mnie to, bo jeśli ojciec był rzeczywiście młodszym bratem, to albo popełnił tu jakiś niezrozumiały błąd, albo przed ukończeniem lat pięciu miał doskonały, wyraźny męski charakter pisma.

Próbowałem o tym zapomnieć, lecz chociaż brałem do ręki dzieła wielu interesujących autorów, starych i nowych, z dziedziny historii, poezji i powieści, nie opuszczała mnie myśl o charakterze pisma mego ojca. A gdy wreszcie powróciłem do kuchni i zasiadłem znowu do owsianki i piwa, spytałem zaraz stryja Ebenezera, czy ojciec mój nauczył się szybko czytać i pisać.

- Aleksander? Skądże znowu! Ja nauczyłem się znacznie prędzej od niego. Byłem bystrym za młodu. A czytać umiałem w tym samym czasie co i on!

Zdziwiło mnie to jeszcze bardziej i zgodnie z myślą, która mi się nasunęła, zapytałem stryja, czy on i mój ojciec byli bliźniakami.

Podskoczył na stołku, łyżka rogowa wypadła mu z ręki na podłogę.

- Dlaczego o to pytasz? - rzekł i pochwycił mnie za kurtkę na piersiach, patrząc tym razem prosto w oczy. Jego własne były małe, jasne i błyszczące jak u ptaka. Mrugał nimi i strzygł dziwacznie.

- Co to ma znaczyć? - zapytałem bardzo spokojnie, gdyż byłem o wiele silniejszy od niego i opanowany. - Proszę cofnąć rękę, nie przystoi tak się zachowywać!

Widać było, że stryj opanował się z niemałym wysiłkiem. - Dawidzie! - rzekł - nie powinienes do mnie mówić o swym ojcu. Na tym cały błąd polega.

Usiadł, drząc cały, i wpatrywał się z ukosa w swoją miskę. - To był mój jedyny brat - dodał, lecz żadna nuta uczucia nie zabrzmiała w jego głosie. Po czym podniósł łyżkę i zaczął jeść drząc nadal.

Ostatnie jego słowa, rękoczynny w stosunku do mojej osoby i nagle wyznanie miłości do mego zmarłego ojca tak były dla mnie niezrozumiałe, że strach mnie ogarnął i nadzieja zarazem. Gdy zacząłem się zastanawiać, czy stryj mój nie jest wariatem, a zatem człowiekiem niebezpiecznym, przyszła mi do głowy (wcale tej myśli nie przywoływałem, odtrącałem ją nawet) treść śpiewanej wśród ludu ballady o ubogim chłopcu - prawym dziedzicu wielkiego mienia, i niegodziwym krewniak, który chciał zagarnąć mu ojcowiznę. Dlaczego bowiem stryj mój miałby okłamywać krewnego przychodzącego do jego drzwi niczym żebrak, skoro nie miał ukrytych powodów, aby się go obawiać?

Pod wpływem tej myśli, całkowicie podświadomej, ale niemniej jednak coraz silniej opanowującej mój umysł, zacząłem naśladować tajemnicze zachowanie mego stryja. Siedzieliśmy obaj przy stole, obserwując się wzajemnie ukradkiem niczym kot i mysz. Nie miał mi już nic więcej do powiedzenia ni złego, ni dobrego, tylko siedział pogrążony w swych sekretnych rozmyślaniach, a im dłużej to trwało oraz im baczniej mu się przyglądałem, tym silniej utwierdzałem się w przekonaniu, że rozmyślania te nic mi dobrego nie wróżą.

Po uprzątnięciu naczyń wydobył, podobnie jak to uczynił rano, szczyptę tytoniu wystarczającą do jednorazowego nabicia fajki, przysunął stołek do komina, usiadł odwracając się do mnie plecami i palił czas jakiś w milczeniu.

- Davie - rzekł wreszcie - myślałem właśnie o tym... - urwał i powtórzył to samo zdanie raz jeszcze. - Jestem w posiadaniu pewnej sumy, którą prawie obiecałem przeznaczyć dla ciebie jeszcze przed twym urodzeniem... Obiecałem twemu ojcu. Nie jest to nic prawnie wiążącego, sam rozumiesz. Takie sobie pogwarki dżentelmenów przy winie. Otóż zarządzałem osobno tą drobną sumą, z niemałą dla mnie stratą, ale obietnica jest obietnicą i osiągnęło to obecnie wartość równiutko, dokładnie... - zająknął się i po chwili wykrztusił - ...dokładnie czterdziestu funtów...

Mówiąc to spojrzął z ukosa przez ramię i po chwili dodał krzyżąc prawie: - szkockich!

Funt szkocki wart był tyle, co angielski szyling, niemałą więc różnicę zrobiło to spóźnione wyznanie. Domyśliłem się ponadto, że cała ta historia jest kłamstwem wymyślonym w celu, którego daremnie dociec usiłowałem, toteż nie próbowałem nawet ukryć drwiącego tonu mej odpowiedzi.

- Przypomnijcie sobie, panie - rzekłem. - Chodzi tu zapewne o funty szterlingi \*.  
[\*Funt szterling ma dwadzieścia szylingów.]

- To właśnie powiedziałem - odrzekł stryj. - Czterdzieści funtów szterlingów! I jeśli wyjdiesz na chwilę za drzwi popatrzeć, jaką noc dziś mamy, wydobędę tę sumę i zawołam cię z powrotem.

Zastosowałem się do tego życzenia, śmiejąc się pogardliwie w duchu ze stryja, który sądził, że mnie tak łatwo można oszukać.

Noc była ciemna i nieliczne gwiazdy świeciły nisko nad horyzontem. Stojąc tuż za drzwiami usłyszałem głucho zawrozczenie wiatru, daleko wśród wzgórz. Pomyślałem, że to pogoda się zmienia i zbiera na burzę. - Nie zdawałem sobie wcale sprawy z wielkiego znaczenia, jakie będzie to dla mnie miało jeszcze tegoż wieczora.

Zawoławszy mnie do kuchni stryj Ebenezer odliczył mi do ręki trzydzieści siedem złotych gwinei \*, [\*Gwinea liczy dwadzieścia jeden szylingów.] resztę, w drobnych, złotych i srebrnych monetach zatrzymał w swojej. Zabrakło mu hartu ducha, aby dokończyć tej czynności, i wcisnął pieniądze do własnej kieszeni.

- Masz - rzekł. - To cię przekona! Jestem dziwakiem i dziwne mam dla nieznajomych obyczaje, lecz moje słowo obowiązuje i oto jest tego dowód.

Stryj mój robił wrażenie tak przygnębionego, że zaskoczony tą nagłą hojnością zapomniałem języka w gębie i nie umiałem znaleźć słów podziękii.

- Ani słowa! - powiedział. - Żadnej podziękii, nie chcę żadnej podziękii. Spełniam swój obowiązek. Nie mówię, że każdy by tak samo postąpił, lecz jeśli o mnie chodzi, aczkolwiek i ja jestem ostrożnym człowiekiem, spełnienie powinności względem syna mego brata sprawia mi przyjemność. Cieszę się na myśl, że teraz będziemy żyć w zgodzie, jak na tak bliskich krewnych przystało.

Odpowiedziałem na to, jak tylko umiałem najuprzejmiej. Zastanawiałem się wciąż jednak, co dalej będzie, i dlaczego stryj mój pozbył się cennych gwinei. W powody bowiem przez niego podane i niemowlę by nie uwierzyło.

Wkrótce potem spojrzał na mnie spode łba.

- Słuchaj no, Davie - rzekł. - Jedno za drugie.

Wyraziłem gotowość okazania mu wdzięczności w każdy rozsądny sposób i czekałem na jakieś niebywałe żądanie. Kiedy jednak zdobył się wreszcie na odwagę i przemówił, ograniczył się do tego, że będąc już starym i schorowanym, spodziewa się ode mnie pomocy w domu i w malutkim ogrodzie.

Wydało mi się to bardzo słuszne i chętnie zaofiarowałem moje usługi.

- W takim razie - rzekł wydobywając zardzewiały klucz z kieszeni - oto jest klucz od drzwi wieży, na samym końcu domu. Można się tam dostać tylko od zewnątrz, gdyż ta część budynku nie jest wykończona. Udaj się tam, wejdź schodami na górę i przynieś mi skrzynię złożoną w szczytowej izbie wieży. W tej skrzyni są papiery.

- Czy mogę wziąć światło? - spytałem.

- Nie - odrzekł bardzo chytrze. - Żadnych świateł w moim domu.

- Bardzo dobrze. A czy schody są w dobrym stanie?

- Doskonałym - odrzekł, a gdy odchodziłem, dodał: - Trzymaj się blisko ściany, tam nie ma poręczy, ale same schody są solidne.

Wyszedłem w mrok nocy. Wiatr wciąż hulał złowieszczo w oddali, chociaż ani jeden podmuch nie docierał do domu w Shaws. Ciemność zapadła głębsza niż kiedykolwiek. Szedłem po omacku, trzymając się ściany ręką, aż dobiegłem do drzwi wieży, na samym końcu nie wykończonego skrzydła domu. Wsunąłem klucz do zamku i przekręciłem, gdy nagle, chociaż nie zwiastował jej żaden odgłos wichru lub grzmotu, całe niebo rozjaśniło się błyskawicą i ściemniało ponownie. Musiałem przyłożyć rękę do oczu, aby je znów przyzwyczaić do ciemności, i wchodząc do wieży byłem wpół oślepiiony.

Wewnątrz panowała taka ciemność, iż zdawało mi się, że nie sposób tam nawet oddychać; wysunąłem więc naprzód rękę i nogę, aż poczułem wreszcie pod ręką ścianę, a pod nogą pierwsze stopnie schodów. Ściana, sądząc z dotyku, była z ciosanego kamienia, a schody z gładkiego muru, nieco strome i wąskie, ale równe i solidne. Pamiętając, co stryj mówił o poręczy, trzymałem się ściany i z bijącym sercem posuwałem się w górę w zupełnej ciemności.

Dom w Shaws sięgał pięciu pięter, nie licząc strychu. Piąłem się coraz wyżej, gdy wtem wydało mi się, że któryś stopień cokolwiek się zachybotał i pewność mnie opuściła. Zastanawiałem się właśnie nad powodem tej zmiany, gdy drugi błysk letniej błyskawicy pojawił się i zgasł. Jeśli nie krzyknąłem głośno, to tylko dlatego, że przerażenie ścisnęło mi gardło, a jeśli nie spadłem - to raczej dzięki miłosierdziu Niebios niż mojej własnej sile. Światło błyskawicy nie tylko przeniknęło do wnętrza wieży poprzez wszystkie dziury w ścianach, tak iż wydało mi się, jak bym wstępował na otwarte rusztowanie, ale to samo ginące światło ukazało mi, że stopnie były nierównej długości. Jedna z moich nóg znajdowała się w tej chwili o dwa cale od ziejącej pode mną czarnej jamy.

Takie więc były te doskonałe schody! Myśl ta nappełniła moje serce jakąś wściekłą odwagą. Stryj kazał mi przyjść tutaj, by narazić mnie na wielkie niebezpieczeństwo, a może i utratę życia. Przysiągłem sobie, że wyjaśnię to „może”, choćbym miał przy tym kark skręcić.

Stanąłem na czworakach i z powolnością ślimaka, macając przed sobą każdy cal schodów i sprawdzając wytrzymałość każdego kamienia, posuwałem się dalej w górę. Ciemność, przez kontrast z światłem błyskawicy, wydawała się bardziej jeszcze nieprzenikniona. Na domiar złego oszołomiony i ogłuszony byłem przez nietoperze, które krążyły gęsto w najwyższej części wieży. Obrzydliwe te stworzenia, szybując w dół, uderzały mnie po twarzy i ciele.

Wieża, należy o tym wspomnieć, miała kształt kwadratu; stopień na każdym rogu zrobiono z wielkiego kamienia, odmiennego kształtu, łączącego poszczególne biegi schodów. Dobrnąłem właśnie do jednego z takich narożników, gdy macając jak zwykle przed sobą, ręka moja ześliznęła się z krawędzi stopnia i nie znalazła poza nim nic prócz pustki. Schodów wyżej nie wybudowano. Posłać tymi schodami kogoś obcego w ciemności na górę - znaczyło posłać go prosto na śmierć, i aczkolwiek dzięki błyskawicy i mojej własnej przezorności nic mi nie groziło, sama myśl o niebezpieczeństwie, na jakie byłem narażony, o straszliwej wysokości, z której mogłem spaść, oblała potem całe me ciało i rozluźniła stawy.

Dowiedziawszy się, czego chciałem, z niesłychaną wściekłością w sercu zacząłem schodzić w dół. Znajdowałem się mniej więcej w połowie schodów, gdy nagle zerwał się z hukiem wicher, wstrząsnął wieżą i zamarł. Zaraz potem zaczął padać deszcz, a zanim osiągnąłem ziemię, lało jak z cebra. Wysunąłem głowę na tę burzliwą ulewę i spojrzałem w kierunku kuchni. Drzwi, które odchodząc zamknąłem za sobą, były otwarte i wydobywała się przez nie cienka smuga światła. Wydawało mi się, że dostrzegam postać stojącą na deszczu, zupełnie nieruchomo, jak człowiek nadśluchujący. W tej chwili oślepiający blask rozdarł ciemności i ukazał wyraźnie stryja tam właśnie, gdzie mi się wydawało, że stoi, a zaraz potem rozległ się przeraźliwy huk grzmotu. Czy stryj uznał ów łoskot za dźwięk wywołany moim upadkiem, czy też usłyszał w nim głos boży, oskarżający go o morderstwo, pozostawię to waszej domyślności. To przynajmniej jest pewne, że uległ jakiemuś panicznemu lękowi i wpadł z powrotem do domu, pozostawiając za sobą otwarte drzwi. Poszedłem za nim, jak tylko mogłem najciszej, a wszedłszy cicho do kuchni przystanąłem i zacząłem mu się przyglądać.

Zdażył otworzyć szafę stojącą w rogu izby i wydobyć wielką, oplecioną butlę wódki; siedział teraz przy stole, odwrócony do mnie plecami. Raz po raz wstrząsały nim gwałtowne, spazmatyczne drgawki, po których jęczał głośno i podnosząc butlę do ust pił pełnymi łykami nie rozcieńczony spirytus. Postąpiłem naprzód, podszedłem do niego, położyłem mu nagle ręce na ramionach i zawołałem: - Ach!

Stryj Ebenezer wydał urywany krzyk, podobny do beku owcy, podniósł obie ręce i zwałił się jak trup na podłogę. Byłem tym cokolwiek wstrząśnięty, ale musiałem przede

wszystkim myśleć o sobie, więc bez wahania pozostawiłem leżącego w pozycji, w której upadł. Klucze wisały u szafy; zamierzałem zaopatrzyć się w broń, zanim stryj odzyska przytomność i możliwość dalszego wykonywania swych złych zamiarów. W szafie znalazłem kilkanaście butelek - niektóre zdawały się zawierać lekarstwa - oraz wielką ilość rachunków i innych papierów (poszperałbym w nich chętnie, gdybym miał czas po temu) tudzież różne, nieprzydatne dla mnie przedmioty codziennego użytku. Zacząłem więc otwierać skrzynie: pierwsza pełna była mąki, druga worków na pieniądze i papierów powiązanych w paczki. W trzeciej, wśród różnych gratów - przeważnie odzieży - wyszukałem zardzewiały, odrażający, szkocki sztylet góralski, bez pochwy. Ukryłem go w zanadru pod kamizelką i przystąpiłem do mego stryja.

Leżał tak, jak upadł: skulony, z podniesionym kolanem i ręką daleko wysuniętą. Twarz przybrała dziwny, niebieskawy kolor i zdawało mi się, że przestał oddychać. Strach mnie obleciał na myśl, że nie żyje. Przyniosłem wody i chlusiłem mu w twarz; zaczął po tym z wolna przychodzić do siebie, poruszył ustami, zadrgały mu powieki, wreszcie otworzył oczy, a gdy ujrzał mnie, nappełniły się one śmiertelnym przerażeniem.

- Dalej, dalej - rzekłem - siadajcie.

- Czy ty żyjesz?! - zawołał. - Człowieku! Czy ty żyjesz?

- To ja, we własnej osobie - odpowiedziałem. - I nie wam to zawdzięczam.

Usiłował wyrównać oddech, wzdychając głęboko. - Niebieska flaszeczka - wyjęczał - w komorze... niebieska flaszeczka... - i dyszał coraz wolniej.

Pobiegłem do szafy, tam znalazłem niebieską flaszeczkę z lekarstwem i receptę wypisaną na papierze. Wlałem mu odpowiednią ilość lekarstwa do ust, jak tylko zdołałem najszybciej.

- Chory jestem - rzekł przychodząc nieco do siebie. - Chory jestem, Davie, chory na serce...

Posadziłem go na krześle i zacząłem mu się przyglądać. Odczuwałem co prawda pewną litość dla człowieka, który robił wrażenie ciężko chorego, ale i słuszny gniew. Wyliczyłem mu więc sprawy, co do których żądałem wyjaśnienia: dlaczego się obawiał mego odejścia, dlaczego nie lubił wzmianek o tym, że mój ojciec i on byli bliźniakami.

- Czy dlatego, że to jest prawda? - zapytałem.

Dlaczego dał mi pieniądze, do których, byłem tego pewny, nie miałem żadnego prawa, i wreszcie, dlaczego usiłował mnie zabić.

Wysłuchał tego w milczeniu, po czym złamanym głosem prosił o położenie go do łóżka.

- Powiem ci wszystko jutro rano - rzekł. - Możesz być tego pewny, jak tego, że śmierć nastąpi.

Był tak osłabiony, że nie pozostawało mi nic innego, jak zgodzić się na to. Zamknąłem go jednak w jego izbie i wziąłem klucz do kieszeni. Wróciwszy zaś do kuchni rozpałem taki ogień, jakiego od wielu lat tam nie oglądano, a zwinąwszy się w pled, położyłem się na skrzyniach i zasnąłem.

## V. Idę do Queen's Ferry

Rzęsisty deszcz padał w nocy, a następnego ranka dał zimny, ostry wiatr północno-zachodni, gnający rozwlekłe chmury. Pomimo tego, zanim słońce wzeszło i znikły ostatnie gwiazdy, poszedłem nad potok i zanurzyłem się w jego głębokim, wartkim nurcie. Rozgrzany taką kąpielą zasiadłem znowu przy ogniu, do którego dołożyłem obficie węgla, i zacząłem się poważnie zastanawiać nad moim położeniem.

Nie mogłem już teraz wątpić we wrogość stryja; nie mogłem już wątpić, że w obronie mego życia tylko na sobie muszę polegać, on zaś nie omieszka dołożyć wszelkich starań, aby coś wykoncypować na moją zgubę. Lecz młody byłem i zuchwały i jak większość chłopców wychowanych na wsi, miałem bardzo wyolbrzymione pojęcie o własnej przebiegłości. Pojawiłem się u drzwi mego stryja, niewiele się różniąc od żebraka i w wieku przekraczającym zaledwie dziecięcy. Stryj powitał mnie zdradą i gwałtem; byłoby wspaniale, gdyby mi się udało zapanować nad nim i rządzić jak stadem owiec.

Siedziałem, obejmując kolana i uśmiechając się do ognia. Wyobrażałem już siebie odkrywającego jedną po drugiej wszystkie tajemnice mego stryja i stającego się z czasem panem i władcą tego człowieka. Czarodziej z Essendean miał podobno zwierciadło, w którym ludzie mogli odczytać przyszłość. Z innej niż żarzący się węgiel musiało być sporządzone materii, gdyż we wszystkich kształtach i obrazach przemykających mi przed oczami, gdy siedziałem przy ogniu, nie widziałem statku ani marynarza w czapce z włochatej wełny, ani wielkiej pałki na mej głupiej głowie, ani jakiegokolwiek znaku zapowiadającego wszystkie udręki, których wkrótce miałem doświadczyć.

W tym stanie ducha, aż nadęty zarozumiałością, poszedłem na górę i uwolniłem mego więźnia. Powitał mnie grzecznym „dzień dobry” i także mu odpowiedziałem patrząc na niego z góry i uśmiechając się z wyżyn mej pewności siebie. Wkrótce siedzieliśmy przy śniadaniu, jak by to było wczoraj.

- A więc, panie - odezwałem się drwiącym tonem - nie macie mi nic więcej do powiedzenia? - A że nie udzielił mi żadnej słownej odpowiedzi, mówiłem dalej: - Wzięliście mnie za wiejskiego głupka mającego tyle odwagi i sprytu, co łyżka do owsianki. Ja zaś wziąłem was za przyzwoitego człowieka, a w każdym bądź razie za nie gorszego od innych. Wydaje mi się, że pomyliliśmy się obaj. Dlaczego boicie się mnie, oszukujecie i dybiecie na moje życie?...

Zamruczał coś o żartach, o tym, że i on lubi się czasem poweselić, ale widząc, jak się na to uśmiecham, zmienił ton i zapewnił, że wyjaśni mi wszystko zaraz po śniadaniu.



Zgadłem z wyrazu jego twarzy, iż nie ma żadnego gotowego dla mnie kłamstwa, aczkolwiek stara się usilnie coś wymyślić, i miałem mu to właśnie powiedzieć, gdy stukanie do drzwi przerwało nam rozmowę.

Zażądałem od stryja, aby pozostał na miejscu, i poszedłem otworzyć. Na progu stał wyrostek w marynarskiej odzieży. Zaledwie mnie zobaczył, zaczął dreptać w takt skoczego tańca żeglarzy, tańczonego zazwyczaj przy dźwiękach piszczałki (nigdy przedtem nie słyszałem o takim tańcu, a tym bardziej go nie widziałem), trzaskając palcami w powietrzu i przytupując zręcznie. Pomimo tego był siny z zimna, a w wyrazie jego twarzy malowało się coś pośredniego pomiędzy płaczem a śmiechem, co wzbudzało litość i nie harmonizowało z wesołością ruchów chłopaka.

- Jak się masz, kolego? - rzekł głosem ni to męskim, ni chłopięcym.

Zapytałem go oschle, czemu należy zawdzięczać przyjemność jego wizyty.

- Ech, jaka tam przyjemność! - odrzekł i zaczął podśpiewywać:

*Szukaj rozkoszy nocą,*

*Kiedy gwiazdy migocą...*

- Jeśli nie masz tu nic do załatwienia - powiedziałem - będę tak nieuprzejmy, że zamknę ci drzwi przed nosem.

- Poczekaj, bracie! Nie znasz się ani trochę na żartach? Albo chcesz mnie narazić na cięgi? Przyniosłem list od mego starego do pana Bajfura. - Mówiąc to pokazał mi list. - A powiem ci jeszcze, kolego, że jestem śmiertelnie głodny.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Wejź do domu, a dostaniesz coś do zjedzenia, choćbym miał sam przez to głodować.

Wpuściłem go do kuchni, gdzie rzucił się łapczywie na resztki śniadania, mrugając do mnie od czasu do czasu i strojąc różne miny, które biedaczysko uważał pewno za licujące z wiekiem męskim. Stryj mój natomiast przeczytawszy list siedział zamyślony. Wtem powstał nagle, bardzo czymś ożywiony, i zaciągnął mnie do najdalszego kąta izby.

- Przeczytaj to - rzekł wtykając mi list do ręki.

Oto treść tego listu, który leży przede mną w chwili, gdy opisuję te wypadki.

*Oberża The Hawes w Queen's Ferry*

*Czcigodny Panie!*

*Mój statek jest tutaj przycumowany i posyłam mego chłopca okrętowego, aby Panu o tym donieść. Jeśli ma Pan jakiegokolwiek zlecenia zamorskie, to dzisiaj jest po temu ostatnia pora, gdyż mamy pomyślny wiatr do wyjścia z zatoki. Nie zamierzam przed Panem ukrywać, że posprzeczaaliśmy się z Pańskim agentem, panem Rankeillor, na skutek czego, o ile się temu w porę nie zaradzi, może się Pan spodziewać pewnych dla siebie strat. Wystawiłem, dodam nawiasem, obciążający Pana rachunek. O czym donosząc, pozostają Pańskim uniżonym sługą.*

*Elias Hoseason*

- Widzisz, Davie - odezwał się mój stryj, skoro tylko spostrzegł, że ukończyłem czytanie - prowadzę pewne interesy z panem Hoseason, kapitanem handlowego brygu Covenant, z portu Dysart. Otóż: jeśli pójdziemy tam wraz z tym chłopcem, mógłbym się zobaczyć z kapitanem w oberży albo na pokładzie statku, o ile będą jakieś papiery do podpisania. Aby nie tracić czasu, moglibyśmy przy okazji pójść do prawnika, pana Rankeillora. Po tym, co u niego nastąpi, jeśli nie zechcesz wierzyć mojemu słowu, uwierzysz z pewnością panu Rankeillorowi. Jest on pełnomocnikiem połowy ziemiaństwa w tych okolicach. Stary to, stateczny człowiek i wielce szanowany. Znał twego ojca.

Stałem namyślając się przez chwilę. Miałem się udać do przystani, gdzie będzie dużo ludzi, zatem stryj nie ośmielił się tam uczynić mi nic złego. Zresztą obecność chłopca okrętowego stanowiła dla mnie jaką taką ochronę. Byłem przekonany, że znalazłszy się tam, potrafię wymusić odwiedzin u prawnika, nawet jeśli stryj proponował je nieszczerze. A może w głębi serca pragnąłem przede wszystkim zobaczyć z bliska morze i statki? Musicie wszak wiedzieć, że pędziłem dotąd życie wśród pagórków w moich rodzinnych stronach, z dala od wybrzeża, i że zaledwie dwa dni temu zobaczyłem po raz pierwszy zatokę, rozciągającą się jak modry kobierzec, i żeglujące na niej statki, nie większe od zabawek. Wszystko to złożyło się na moją decyzję.

- Bardzo chętnie - rzekłem - chodźmy do Ferry.

Stryj Ebenezer włożył kapelusz i płaszcz; przypasał stary, zardzewiały tasak. Zadeptaliśmy ogień i zamknawszy drzwi na klucz, wyruszyliśmy pieszo w drogę.

Wiatr z północo-zachodu dął nam prosto w twarze. Było to w czerwcu; trawa bielila się od stokrotek, a drzewa od pokrywającego je kwiecia, lecz sądząc z naszych sinych paznokci i zgrabiących rąk mogłaby to być pora zimowa, a owa białość - grudniowym wywołana mrozem.

Stryj Ebenezer włókł się rowem biegnącym wzdłuż drogi i kołysał się z boku na bok, jak stary oracz powracający z pracy do domu. Przez całą drogę nie wypowiedział ani słowa, byłem więc zdany na rozmowę z chłopcem okrętowym. Powiedział mi, że nazywa się Ransome, na morze wyruszył jeszcze jako dziewięcioletnie dziecko. Nie mógł jednak określić swego wieku, gdyż stracił rachunek lat. Pokazał mi znaki wytatuowane na swej skórze, obnażając piersi na wiatr, przeciw czemu protestowałem, bo mi się wydawało, że tak zimny wicher może go zabić. Przeklinał straszliwie, wielokroć przyszła mu na to ochota; ale czynił to jednak bardziej jak głupi uczeń niż jak mężczyzna. Chwalił się licznymi wybrykami i niecnymi wyczynami, jak chyłkiem dokonywane kradzieże, fałszywe oskarżenia, a nawet... morderstwo, a mówił o tym wszystkim z tak nikłym prawdopodobieństwem w szczegółach i z tak nieudolną, przesadną swadą, że skłaniało mnie to raczej do litości niż do dawania mu wiary.

Zapytałem go o bryg, który jego zdaniem był najlepszym żaglowcem na świecie, i o kapitana Hoseason, którego wychwalał w równej mierze. Jak wynikało ze słów chłopca, kapitan Hoseason był człowiekiem nie bojącym się niczego ani na ziemi, ani na niebie - jednym z tych, o których się mówi, że „płyną pełnymi żaglami nawet na Sąd Ostateczny” - nieokrzesanym, porywczym, pozbawionym skrupułów, brutalnym - a te wszystkie cechy biedny Ransome nauczył się podziwiać jako charakteryzujące dobrego żeglarza i prawdziwego mężczyznę. Przedmiotowi swej czci przyznawał tylko jedną słabość: - on się nie zna na żegludze - mówił. - To pan Shuan prowadzi nawigację na brygu. On byłby najlepszym w tym zawodzie, gdyby nie pijaństwo. A co do tego możesz mi wierzyć. Popatrz no tylko! - i opuszczając pończochę pokazał mi wielką, nie zagojoną, czerwoną ranę, na widok której serce we mnie zamarło.

- On to zrobił... Pan Shuan to zrobił... - rzekł z dumną miną.

- Jakże to? - wybuchnąłem - i pozwalasz mu w tak dziki sposób z sobą postępować? Wszak nie jesteś niewolnikiem, aby cię tak traktowano!

- Nie! - odparł biedny głuptas, zmieniając natychmiast ton głosu. - Przekona się on jeszcze o tym! Spójrz - i pokazał mi wielki nóż w pochwie, dodając, że pochodzi z kradzieży. - Niech tylko spróbuje, czekam tylko na to, już ja go urządzę! I nie będzie pierwszy... - Potwierdził te słowa prostackim, głupim, wstrętnym przekleństwem.

Dla nikogo jeszcze na tym szerokim świecie nie odczuwałem takiej litości, jak dla tego półgłówka, i zacząłem dochodzić do wniosku, że bryg Covenant \* [\*Covenant - umowa zawarta w roku 1643, w której parlament angielski uznał niezależność Kościoła

prezbiteriańskiego w Szkocji.] wbrew swej pobożnej nazwie, był czymś niewiele lepszym od piekła na morzu.

- Czy nie masz żadnych przyjaciół? - zapytałem.

Odpowiedział, że miał ojca w jakimś angielskim porcie, zapomniałem w jakim.

- Był to również tęgi chłop - dodał Ransome - ale już nie żyje.

- Na miłość boską! - zawołałem. - Czy nie możesz znaleźć jakiegoś przyzwoitego zajęcia na lądzie?

- O, nie - odparł mrugając do mnie i przybierając bardzo chytrą minę. - Kazaliby mi pracować. Wiem dobrze, czym to pachnie!

Zapytałem go, czy mogłaby być praca okropniejsza od jego zajęcia, w którym nieustannie narażał życie, zdany nie tylko na łaskę wichrów i morza, ale i na straszliwe okrucieństwo swych przełożonych. Nie zaprzeczył, ale zaczął chwalić ten tryb życia i rozwodzić się nad przyjemnością wyjścia na ląd z pieniędzmi w kieszeni, wydawania ich jak mężczyzna, kupowania jabłek, panoszenia się i zadziwiania chłopców nie znających morza, których określał jako siedzących po uszy w błocie.

- A wreszcie to wszystko nie jest takie straszne - mówił. - Są tacy, którym powodzi się gorzej ode mnie - to „dwudziestofuntowcy”! O Boże, gdybyś widział, co oni przechodzą! Widziałem raz takiego, był dorosły jak ty (uważał mnie za dorosłego) i miał, pamiętam, brodę. Gdy tylko wypłynęliśmy z rzeki i wytrzeźwiało mu w głowie, jak on nie zaczął rzucać się i wrzeszczeć! Wielką miałem z tym durniem zabawę! Powiadam ci! Są też i dzieci, zupełnie małe w porównaniu ze mną. Trzymam je krótko, powiadam ci. Kiedy przewozimy te dzieciuchy, mam własny kawałek sznura, aby je chłostać.

Gadał tak, aż się domyśliłem, że dwudziestofuntowcy - są to nieszczęśliwi przestępcy, których wysyłano w niewolę do Ameryki Północnej, albo jeszcze bardziej pożałowania godni niewinni nieszczęśnicy, których porywano czy też wywożono do kolonii dla zaspokojenia zemsty lub dlatego, że ich zniknięcia wymagały czyjeś prywatne interesy.

Doszliśmy podówczas do szczytu wzgórza i spoglądaliśmy w dół na zatokę Forth, która, jak dobrze wiadomo, zwęża się w tym miejscu do szerokości sporej rzeki, co zapewnia dogodną przeprawę udającym się na północ, po czym skręca i tworzy, otoczoną zewsząd lądem, znakomitą przystań dla wszelkiego rodzaju statków. W samym środku wąskiego wylotu zatoki znajduje się wysepka, a na niej jakieś ruiny. Na południowym brzegu wybudowano pomost obsługujący prom; na końcu tego pomostu, po drugiej stronie drogi, oparty o ładny ogród pełen ostrokrzewów i dzikich głogów, stał budynek zwany oberżą „The Hawes”.

Miasto Queen's Ferry leży dalej na zachód, wokół zaś oberży pusto było o tej porze dnia, gdyż prom z pasażerami popłynął na północ. Przy pomoście znajdowała się mała łódź, zwana „skiff”, z kilku marynarzami śpiącymi na ławkach. Była to, jak mi wyjaśnił Ransome, łódź brygu, czekająca na kapitana. Wskazał mi też samotnie zakotwiczony na redzie, o pół mili dalej, bryg Covenant. Na pokładzie panował ruch i bieganina znamionująca rychłe podniesienie żagli; marynarze brasowali reje \* [\*Brasować - obracać się w płaszczyźnie poziomej. Reja - Poprzeczna belka na maszcie do przyczepiania i rozpinania żagli.] i ciągnęli liny, a ponieważ wiatr dął od tej strony, mogłem dosłyszeć ich śpiew. Po tym, co usłyszałem w drodze, spoglądałem na statek z największym obrzydzeniem i litowałem się z całego serca nad nieborakami skazanymi na żeglowanie na nim.

Wszyscy trzej znajdowaliśmy się na grzbiecie wzgórza, przeszedłem więc w poprzek drogi i zwróciłem się do stryja:

- Uważam za wskazane powiedzieć wam, panie, że nic mnie nie zmusi do wejścia na pokład brygu Covenant.

Stryj mój wzdrygnął się, jak by obudzony z sennych marzeń.

- Ech - rzekł - co takiego?

Powtórzyłem mu to raz jeszcze.

- Dobrze, dobrze - powiedział - przypuszczam, że musimy się zastosować do twoich zachcianek. Ale dlaczego tu stoimy? Jest przeraźliwie zimno i jeśli się nie mylę, przygotowują Covenant do wyjścia w morze.

## VI. O tym, co zaszło w Queen's Ferry

Gdy doszliśmy do oberży, Ransome zaprowadził nas do małej izby na piętrze, w której stało łóżko. Na kominku palił się wielki stos węgla i w izbie było gorąco niczym w piekarni. Przy stole, tuż obok kominka, siedział zajęty pisaniem mężczyzna wysoki, ciemnowłosy, o powierzchowności budzącej szacunek i zaufanie. Pomimo gorąca panującego w izbie miał na sobie gruby kaftan marynarski, zapięty pod szyję, i wysoką czapkę z włochatej wełny, naciągniętą na uszy. Nie widziałem nigdy człowieka, nawet wśród sędziów ferujących wyroki, który by wyglądał bardziej statecznie, godnie i prawomyślnie niż ów kapitan marynarki.

Powstał natychmiast i postępując naprzód, wyciągnął ku nam swą wielką dłoń.

- Zaszczycony jestem pańską tu obecnością, panie Balfour - rzekł dźwięcznym basem do stryja - i cieszę się, że zdążył pan w porę. Wiatr jest pomyślny i wkrótce zacznie się odpływ. Nim wieczór zapadnie, zobaczymy ogniska starej latarni morskiej na wyspie May.

- Kapitanie Hoseason - odrzekł stryj - w pańskim pokoju jest niesłychanie gorąco.

- Taki już mam zwyczaj, panie Balfour. Jestem z natury zmarzluchem, zimnokrwistym stworzeniem. Żadne futro, żadna flanela, ba, nawet gorący rum nie rozgrzeje tego, co nazywają temperaturą. Na to samo cierpią wszyscy, którym, jak to powiadają, krew się zwęgliła na morzach tropikalnych.

- Oczywiście, kapitanie - odpowiedział stryj - każdy ma swe upodobania...

Tak się złożyło, że owo upodobanie kapitana odegrało wielką rolę w moich nieszczęściach, bo chociaż przyrzekłem sobie nie spuszczać wzroku z mego krewnego, tak mnie korciła bliskość morza i dokuczała duszna atmosfera izby, że gdy stryj Ebenezer powiedział: „Zbiegnij na dół i tam się zabawiaj” - byłem na tyle głupi, aby się do tego zastosować.

Wyszedłem więc, pozostawiając obu mężczyzn siedzących przy butelce i stosie papierów - i przeszedłszy drogę koło oberży, powędrowałem na dół, na plażę. Wiatr wiał pod takim kątem, że tylko najdrobniejsze fale, nie większe od tych, które widywałem na jeziorze, obijały się o brzegi. Zielska morskie natomiast - jedne zielone, inne długie i brunatne, a jeszcze inne z małymi pęcherzykami pękającymi z trzaskiem w palcach - były dla mnie czymś nowym. Nawet tu, w głębi zatoki, z dala od pełnego morza, słony zapach wody morskiej był niesłychanie podniecający, a w dodatku na Covenant poruszyły się zwisające nad rejami żagle; pod wrażeniem więc, sądząc, tego wszystkiego myśli moje pobiegły ku dalekim podróżom i nieznanym krainom.

Przyglądałem się również marynarzom w łodzi, barczystym, opalonym drabom. Ubrani byli w koszule albo kaftany, a niektórzy nosili kolorowe chustki przewiązane dokoła szyi. Jeden z nich miał parę pistoletów wetkniętą w kieszenie, dwóch lub trzech zaopatrzonych było w sękate pałki, a wszyscy mieli noże. Pozdrowiłem jednego, wyglądającego mniej groźnie od swych towarzyszy, i zapytałem, kiedy bryg odpłynie. Odrzekł, że podniosą kotwicę, gdy tylko zacznie się odpływ, i wyraził swe zadowolenie z opuszczenia portu, w którym nie było ani tawern, ani skrzypków - a wszystko to okraślił tak plugawymi przekleństwami, że oddaliłem się od niego pośpiesznie.

Dzięki temu natknąłem się na Ransome'a, który wydawał się najmniej niegodziwym z całej tej bandy. Wychodził właśnie z oberży i podbiegł do mnie, dopraszając się o kubek ponczu. Powiedziałem mu, że nic podobnego nie dostanie, bo ani on, ani ja nie osiągnęliśmy wieku, w którym dozwolone są takie wybryki.

- Chętnie ci natomiast postawię szklanę piwa - powiedziałem.

Dąsał się, wykrzywił i rzucił pod moim adresem parę obraźliwych wyrazów, ale z radością przystał na propozycję i po chwili siedzieliśmy obaj przy stole, w głównej izbie oberży, jedząc i pijąc z doskonałym apetytem.

Przyszło mi na myśl, że właściciel oberży jest zapewne stałym mieszkańcem tego hrabstwa, wobec czego nawiązanie z nim przyjacielskich stosunków mogłoby mi się przydać. Zaprosiłem go więc do udziału w naszej libacji, jak to było podówczas ogólnie przyjętym zwyczajem. Zbyt wysoko jednak się nosił, aby przysiąc się do takich jak my mizeraków i wychodził właśnie z izby, gdy go przywołałem pytając, czy zna pana Rankeillora.

- Oczywiście - odrzekł - to bardzo porządny człowiek. Ale, ale, czy to nie ty przyszedłeś z Ebenezerem? - Gdy odpowiedziałem twierdząco, dodał: - A nie jesteś ty aby jego przyjacielem? - Co znaczyło, zgodnie z szkockim zwyczajem: czy nie łączy mnie z Ebenezerem jakie pokrewieństwo.

Odpowiedziałem, że nie jestem krewnym Ebenezera.

- I mnie się tak wydawało - rzekł oberżysta. - Jest jednak w tobie jakby jakieś podobieństwo do pana Aleksandra.

Rzekłem na to, że Ebenezer wydaje się cieszyć bardzo złą reputacją w tych okolicach.

- Niewątpliwie - odpowiedział oberżysta. - Jest to przewrotny staruch i niejeden tutaj pragnąłby go widzieć dyndającego na końcu sznura. On to pozbawił chleba i dachu nad głową Jennet Clouston i wielu innych. A przecież był kiedyś miłym młodzieńcem, lecz to było, zanim rozeszła się pogłoska o panu Aleksandrze. Potem się całkowicie odmienił.

- A o czym to mówiono?

- Ech, tylko tyle, że on go zabił. Czy nigdy o tym nie słyszałeś?

- A dlaczegożby miał go zabić?

- A dlaczegożby, jeśli nie po to, aby dostać majątek.

- Majątek? Czy chodzi o Shaws?

- Nigdy o żadnym innym nie słyszałem.

- A zatem, czy mój... czy Aleksander był starszym synem?

- Oczywiście, że był starszym synem. Inaczej po co miałby go zabijać? - odrzekł oberżysta i odszedł spieszenie, niecierpliwił się bowiem od początku naszej rozmowy.

Domyślałem się tego oczywiście od dawna, lecz co innego jest domyślać się, a co innego wiedzieć. Siedziałem więc zupełnie oszołomiony tym szczęśliwym zrzędzeniem losu i wprost trudno mi było uwierzyć, że ten sam biedny chłopak, który niespełna dwa dni przedtem brnął w kurzu na piechotę z Ettrick Forrest, był teraz jednym z możliwych tego świata, właścicielem domu i rozległych włości, a jutro mógłby dosiąść własnego konia, gdyby umiał jeździć na nim.

Wszystkie te przyjemne rozważania i tysiąc innych tak mi zaćmiły umysł, że siedziałem gapiąc się przez okno oberży i nie zwracałem żadnej uwagi na to, co przez nie widziałem. Pamiętam tylko, że moje oczy spoczęły na postaci kapitana Hoseason, który stał na pomoście wśród swoich marynarzy i mówił coś do nich rozkazująco. Wkrótce potem ruszył z powrotem w kierunku oberży; szedł wyprostowany - bez chwiejnej niezdarności cechującej chód żeglarzy - piękny, wysoki, o męskich ruchach, a na twarzy jego malowały się nadal rzetelność i powaga. Zastanawiałem się, czy opowiadanie Ransome'a zgodne jest z prawdą, i przestałem mu wierzyć; w żadnej bowiem mierze nie licowało z wyglądem tego człowieka. Nie był on jednak ani tak dobry, jak przypuszczałem, ani tak zły, jak go oceniał Ransome: w rzeczywistości bowiem na jego charakter składały się dwie różne osoby - tę lepszą pozostawiał za sobą, gdy tylko dotykał stopą pokładu swego statku.

Usłyszałem niebawem wołanie stryja skierowane do mnie i zobaczyłem ich idących razem drogą. Kapitan zwrócił się do mnie pierwszy, a uczynił to tonem (bardzo pochlebny dla młodego chłopca) poważnej równości.

- Szanowny panie - rzekł. - Pan Balfour bardzo godnie wyraża się o panu. Jeśli zaś o mnie chodzi, cenię pańską ujmującą powierzchowność. Chciałbym pozostać tu dłużej, aby nawiązać z panem przyjazne stosunki, ale musimy wykorzystać te chwile, którymi możemy rozporządzać. Zechciej pan, proszę, wstąpić na pokład mego brygu na pół godziny, zanim nie zacznie się odpływ, i wychylić ze mną czarękę.



Pragnąłem zobaczyć wnętrze statku bardziej, niż to jestem w stanie wyrazić słowami, ale nie chciałem narażać na szwank moich zamiarów. Odpowiedziałem więc, że stryj mój i ja mamy umówione spotkanie z prawnikiem.

- Tak, właśnie - rzekł kapitan - stryj pański wspomniał mi o tym, ale przecież szalupa wysadzi was na ląd przy miejskiej przystani, a stamtąd do domu pana Rankeillora nie dalej niż rzut kamieniem.

Pochylił się nagle i szepnął mi do ucha: - Bądźcie ostrożni, panie, z tym starym lisem, on chce wam spłatać przykrego figła. Pogadamy o tym u mnie na pokładzie.

Po czym mówił dalej głośno i wzięwszy mnie za rękę, prowadził w kierunku łodzi: - Cóż mógłbym panu przywieźć z kolonii Karolina w Ameryce? Jestem do usług każdego z przyjaciół pana Balfoura. Wiązkę tytoniu? Indiańskie nakrycie głowy z piór? Skórę dzikiego zwierzęcia? Kamienną fajkę? Ptaka zwanego przedrzeźniaczem, który dalibóg potrafi miauczeć jak kot? Kardynalskiego ptaka czerwonego jak krew? Zechciejcie, panie, wyrazić tylko wasze życzenia.

Doszliśmy właśnie do łodzi i kapitan wciągnął mnie do niej, ale nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się temu opierać. Myślałem (biedny głupiec!), że znalazłem dobrego przyjaciela i powiernika, i cieszyłem się na myśl o zwiedzeniu statku. Skoro tylko zajęliśmy wszyscy nasze miejsca, odepchnięta od pomostu łódź pomknęła po wodzie. Byłem tak uradowany tym nowym dla mnie ruchem, tak zachwycony bliskością wody, widokiem odsuwającego się coraz dalej brzegu i wielkością rozmiarów brygu, wzrastającego w miarę jak zbliżaliśmy się do niego, że niezbyt rozumiałem, co kapitan mówi do mnie, i musiałem mu raczej odpowiadać od rzeczy.

Zaraz po przybiciu łodzi do burty statku - gapiłem się nań wciąż z otwartą gębą, przejęty jego wysokością, silnym szumem fal odpływu bijących o kadłub i dźwięcznym pokrzykiwaniem pracujących marynarzy - Hoseason oświadczył, że on i ja musimy się znaleźć pierwsi na pokładzie, i kazał spuścić talię z grotrei \*. [\*Talia - kombinacja bloków i lin służących do podnoszenia i spuszczenia ciężarów. Grot reja - największa (pierwsza) reja na drugim maszcie żaglowca.] Zawisłem na chwilę w powietrzu i zostałem wciągnięty na pokład, gdzie kapitan już czekał i natychmiast wziął mnie znowu pod rękę. Stałem na pokładzie przez dłuższą chwilę, nieco oszołomiony chwiejnością wszystkiego, co mnie otaczało, może cokolwiek wystraszony, ale bardzo jednak szczęśliwy, że oglądam tyle nowych dla mnie rzeczy. Kapitan wskazywał mi najdziwniejsze części osprzętu \*, [\*Osprzęt - olinowanie i maszty żaglowca.] tłumaczył ich nazwy i użytek.

- Ale gdzie jest mój stryj? - zapytałem zniecierpliwiony.

- Tak - odrzekł kapitan i jakaś groźna nuta zabrzmiała nagle w jego głosie - o to właśnie chodzi!

Zrozumiałem, że jestem zgubiony. Zebrałem wszystkie siły i wyrwawszy się z rąk kapitana podbiegłem do nadburcia. Istotnie, łódź płynęła ku miastu, a na jej rufie siedział mój stryj. Krzyknąłem przeraźliwie: - Ratunku! Ratunku! Mordują! - aż echo rozległo się po obu stronach redy, a stryj mój odwrócił się na swym miejscu i ukazał mi twarz pełną okrucieństwa i przerażenia.

Niczego więcej już nie zobaczyłem. Silne ręce oderwały mnie od nadburcia i zaraz potem wydało mi się, że piorun uderzył we mnie. Wielki płomień mignął mi w oczach i upadłem tracąc przytomność.

## VII. Podróż na pokładzie brygu „Covenant”

Ocknąłem się w ciemności, ze związanymi rękami i nogami, odczuwając okropny ból, ogłuszony przez mnóstwo nieznanych hałasów. W uszach moich brzmiał huk wody, jak bym się znajdował przy olbrzymiej tamie młyńskiej, dudnienie rozpryskujących się fal, grzmiące łopotanie żagli i ostre nawoływania marynarzy. Cały świat chwiało się zawrotnie to w dół, to w górę, a tak byłem obolały na ciele i duchu, że długo musiałem zbierać myśli, tracąc chwilami świadomość pod wpływem świeżych nawrotów bólu, zanim zdałem sobie sprawę, że leżę związany gdzieś w głębi tego nieszczęsnego statku, zaś wiatr, który nas wyprowadził z zatoki, zamienić się musiał w sztorm. Świadomość czekającego mnie losu, boleść nad mą obłądną lekkomyślnością i namiętą wściekłość na stryja pogrzyły mnie w takiej rozpacz, że znowu zemdląłem.

Wróciwszy do przytomności czułem się ogłuszony przez ten sam łoskot, wstrząsany przez to samo gwałtowne i dziwaczne kołysanie, a wkrótce objawy choroby morskiej spotęgowały jeszcze cierpienia i troski. W mojej awanturycznej młodości przecierpiałem niejedną udrękę, ale żadna nie była tak druzgocąca dla mego umysłu i ciała i tak nikłą oświecona nadzieją, jak owe pierwsze godziny na brygu.

Usłyszałem strzał armatni i przypuszczałem, że to sztorm zagraża statkowi i sygnalizujemy w ten sposób niebezpieczeństwo naszego położenia. Myśl o uwolnieniu, nawet przez śmierć w głębinach morza, sprawiła mi ulgę. Jak się później dowiedziałem, co innego było powodem tego strzału - pewien mianowicie zwyczaj kapitana. Opisuję to, aby wykazać, że nawet w najgorszym człowieku są jakieś dobre cechy.

Mijaliśmy wówczas - w odległości paru mil - miasteczko Dysart, w którym bryg był zbudowany i gdzie od pewnego czasu mieszkała stara pani Hoseason, matka naszego kapitana. Bez względu na to, czy był to początek czy koniec podróży, ilekroć Covenant przepływał za dnia w pobliżu tego miasteczka, podnoszono na jego pokładzie flagę i oddawano strzał armatni.

Straciłem zupełnie miarę czasu; dzień nie różnił się niczym od nocy w tej cuchnącej dziurze, w której leżałem, gdzieś we wnętrzu statku, a w mojej rozpaczliwej sytuacji godziny upływały dwa razy wolniej. Jak długo tak leżałem oczekując, aż usłyszę, jak statek rozbija się o skały, lub poczuję, jak prosto dziobem zanurza się w morskie odmęty - nie mogę w żaden sposób określić. Sen odebrał mi wreszcie bolesną świadomość.

Obudziło mnie światło ręcznej latarni świecącej mi w twarz. Małego wzrostu mężczyzna, lat około trzydziestu, o zielonych oczach i jasnoblonde czuprynie stał przyglądając mi się z góry.

- No, cóż - rzekł - jak się czujesz?

Odpowiedziałem łkaniem. Przybysz pomacał mi skronie oraz puls i zaczął opatrywać ranę na mej głowie.

- Tak - rzekł - boli takie uderzenie, ale cóż, chłopie, uszy do góry! Taki już jest ten świat. Poznałeś go od złej strony, przyjdzie kolej i na lepszą. Czy dostałeś co do jedzenia?

Odpowiedziałem, że nie mógłbym spojrzeć na jadło, więc dał mi nieco wody z wódką w cynowym kubku i pozostawił samego.

Gdy pojawił się następnym razem, leżałem w stanie pośrednim pomiędzy snem a jawą, z oczami szeroko rozwartymi w ciemności; choroba morska ustąpiła, przyszły natomiast okropne zawroty głowy i cikliwość, bez mała jeszcze trudniejsze do zniesienia. Byłem obolały na całym ciele, a krępujące mnie więzy parzyły żywym ogniem. Smród dziury, w której przebywałem, zdawał się przynależeć do mojej osoby, a od czasu ostatniej wizyty nieznanego przeszedłem tortury strachu z powodu harców szczurów okrętowych, które czasami przebiegały mi po twarzy, i pod wpływem dręczących majaczeń towarzyszących gorączce.

Błysk latarni po otwarciu luku świecił jak niebiańskie słońce i chociaż ukazał mi tylko tęgie belki statku będącego moim więzieniem, gotów byłem krzyczeć z radości. Mężczyzna o zielonych oczach pojawił się pierwszy na drabinie i zauważyłem, że schodzi cokolwiek niepewnie. Za nim zeszedł kapitan. Żaden z nich nie wypowiedział ani słowa; pierwszy zaczął mnie oglądać i opatrywać ranę jak poprzednio, gdy tymczasem kapitan Hoseason patrzył mi w twarz ponurym wzrokiem.

- Proszę się samemu przekonać, panie kapitanie - rzekł pierwszy. - Wysoka gorączka, brak apetytu, ani światła, ani pożywienia; sam pan widzi, co to oznacza.

- Nie jestem cudotwórcą, panie Riach - odparł kapitan.

- Za pozwoleniem pana kapitana - mówił Riach - ma pan dobrą głowę na ramionach i dobry szkocki język, którym umie się pan posługiwać, lecz nie mam zamiaru słuchać pana wykrętów. Chcę zabrać chłopca z dziury do kubryku \*. [\*Kubryk - wspólne pomieszczenie dla marynarzy, na dziobie żaglowca.]

- Pańskie życzenia nie obchodzą nikogo poza panem, ale mogę powiedzieć, co ja chcę i co się spełni. On tutaj jest i tutaj pozostanie.

- Biorąc pod uwagę, że zapłacono panu za to odpowiednio, a mnie nie, co pozwalam sobie pokornie zaznaczyć, płaci mi pan, i to niezbyt hojnie, abym był drugim oficerem na tym starym pudle, i wie pan doskonale, iż staram się, jak mogę, na tyle zarobić. Ale nie płaci mi pan za nic innego.

- Gdyby pan mógł utrzymać swoją rękę z dala od kwaterki z wódką, panie Riach - odparł kapitan - nie miałbym panu nic do zarzucenia. Zamiast rozwiązywać zagadki, ośmielam się panu poradzić, abyś zachował swój oddech do studzenia owsianki. Będzie pan potrzebny na pokładzie - dodał ostrym tonem i postawił nogę na drabinie.

Lecz pan Riach pochwycił go za rękaw.

- Biorąc pod uwagę, że zapłacono panu kapitanowi za morderstwo...

Hoseason odwrócił się z błyskiem w oczach.

- Co to ma znaczyć?! - zawołał. - Co to za sposób przemawiania do mnie?

- To jest sposób, który pan kapitan wydaje się rozumieć - odrzekł Riach, patrząc mu śmiało w twarz.

- Panie Riach, odbyłem już z panem trzy rejsy. Przez ten czas powinien był pan dostatecznie mnie poznać. Jestem twardym i upartym człowiekiem, lecz to, co pan powiedział teraz... fuj! pochodzi ze złego serca i nieczystego sumienia. Jeśli powiada pan, że chłopak umrze...

- Tak, umrze na pewno!

- Czyż to nie wystarczy? Pakuj go pan, gdzie tylko zechcesz! - po czym zaczął wspinać się po drabinie.

Leżałem w milczeniu podczas całej tej rozmowy i widziałem, jak pan Riach odwraca się za nim, wyraźnie kpiącym gestem pochylając się nisko ku jego kolanom. Nawet będąc tak chory zrozumiałem dwie rzeczy: że oficer był podchmielony, jak o tym wspomniał kapitan, i że (pijany lub trzeźwy) może się okazać cennym przyjacielem.

W pięć minut później więzy moje zostały przecięte, ja zaś załadowany na plecy marynarza, zaniesiony do kubryku i położony na kocach w koi. Znalazłszy się tam, z miejsca straciłem przytomność.

Otwarcie oczu w świetle dnia i znalezienie się w towarzystwie ludzi było zaiste radosnym przeżyciem. Kubryk okazał się dosyć przestronnym pomieszczeniem; wszędzie dokoła przymocowane były koje, na których marynarze, nie pełniący służby na pokładzie, siedzieli paląc fajki lub spali. Dzień mieliśmy pogodny i wiatr pomyślny, co pozwalało na otwarcie luku, a wdzierający się od czasu do czasu do kubryku, w miarę kołysania się statku, promień słońca radował mnie i oślepił. Zaledwie zacząłem się ruszać, jeden z

marynarzy przyniósł mi do wypicia jakieś przygotowane przez Riacha lekarstwo i kazał mi leżeć spokojnie, zapewniając, że wkrótce wszystko będzie dobrze.

- Wszystko w porządku - tłumaczył mi i dodał: - Takie uderzenie w głowę to fraszka, wszak to ja ci własnoręcznie tak dogodziłem.

Leżałem tam przez wiele dni, skrzętnie pilnowany jak więzień - i nie tylko powróciłem do zdrowia, ale poznałem też moich towarzyszy. Była to zaiste drapieżna i nieokrzesa brać, jak to zwykle bywają marynarze - ludzie oderwani od wszelkich łagodniejszych przejawów życia i skazani na wspólną włóczęgę po burzliwych morzach, we władzy nie mniej okrutnych przełożonych. Jedni z nich służyli na statkach pirackich i widzieli rzeczy, o których wstyd byłoby mówić; inni zbiegli z królewskich okrętów wojennych, za co groził im nieustannie stryczek, z czego nie robili tajemnicy; wszyscy zaś gotowi byli za byle słowo rzucić się z pięściami na najlepszego przyjaciela.

Nie minęło jednak wiele dni wspólnego pobytu w kubryku, a zacząłem się wstydić mego pierwszego o nich sądu, kiedy to oddaliłem się od nich na przystani promu, jak gdyby byli nieczystymi zwierzętami. Żadna klasa ludzi nie jest do gruntu zła, każda natomiast ma swoje cnoty i przywary, a moi towarzysze podróży nie stanowili wyjątku z tej reguły. Byli to, co prawda, ludzie źli i grubianie, ale mieli niejedną zaletę. Okazywali dobre serce, gdy zdarzyła się okazja po temu, a prostota ich przewyższała nawet prostotę takiego wiejskiego chłopca jak ja; mieli również przebłycki uczciwości.

Jeden z nich, mężczyzna lat około czterdziestu, siadywał całymi godzinami przy koi i opowiadał mi o swej żonie i dziecku. Był to rybak, którego strata własnej łodzi zmusiła do służby na pełnym morzu. Wiele lat minęło, a wciąż o nim pamiętam. Jego żona (młoda jest bardzo, jak na mnie - powiadał) na próżno czekała na powrót swego męża. Nie miał już nigdy więcej rozniecać dla niej ognia co rano lub opiekować się dzieckiem podczas jej choroby. Dla niejednego bowiem z tych biedaków był to, jak tego dowiodły wypadki, rejs ostatni. Pochłonęły ich głębiny morza i drapieżne ryby, a niewdzięcznym jest zadaniem źle mówić o zmarłych.

Do ich dobrych uczynków należy zaliczyć zwrócenie moich pieniędzy, które byli podzielili między siebie, a chociaż brakowało około jednej trzeciej tej sumy, byłem bardzo zadowolony i wiązałem z posiadaniem ich na łądzie, będącym celem naszej podróży, wielkie nadzieje.

Bryg płynął do kolonii Karolina, ale nie sądzcie, że udawałem się tam jako zwykły wygnaniec. Już wówczas handel ludźmi daleki był od dawnego rozkwitu, a po buncie w koloniach i powstaniu Stanów Zjednoczonych zanikł całkowicie, jednak w czasach mojej

młodości sprzedawano nadal białych mężczyzn w niewolę na plantacje i na taki los byłem skazany przez mego niecnego stryja.

Chłopiec okrętowy - Ransome, od którego usłyszałem po raz pierwszy o tych okropnościach, przychodził do mnie z kajuty oficerskiej, znajdującej się na tylnym pokładzie, gdzie sypiał i pełnił swoje obowiązki, i bądź to leczył w milczącej męce posiniaczoną rękę czy nogę, bądź to pomstował na okrucieństwo pana Shuana. Krwawiło mi to serce, załoga natomiast otaczała pierwszego oficera wielkim szacunkiem, gdyż jak powiadali: „jest on jedynym żeglarzem w całej tej zgrai i nie taki znowu zły człowiek, gdy trzeźwy”. Przekonałem się istotnie, że dwaj nasi oficerowie odznaczali się dziwnym usposobieniem: w stanie trzeźwym pan Riach był ponury, opryskliwy, gburowaty, zaś pan Shuan muchy by nie skrzywdził, o ile nie był pijany. Pytałem o kapitana, na co mi odpowiedzieli, że trunk nie wpływa w niczym na tego żelaznego człowieka.

W krótkim okresie czasu, jakim rozporządzałem, starałem się usilnie uczynić z tego biedaka Ransome'a człowieka, a raczej coś w rodzaju normalnego chłopca, lecz jego umysł był ludzki tylko w znikomym stopniu. Chłopak nie pamiętał nic z lat dziecińczych, tyle tylko, że ojciec jego wyrabiał zegary i miał w swojej izbie szpaka, który umiał gwizdać pewną melodię. Reszta uleciała mu z pamięci przez lata trudów i znoju. Miał dziwne pojęcie o łądzie, wysnute z opowiadań marynarzy; był przekonany, że jest to miejsce, w którym chłopcy zmuszani są do jakiegoś niewolnictwa, zwanego zawodem, i gdzie czeladnicy są nieustannie chłostani i wtrącani do wstrętnych więzień.

W mieście, jego zdaniem, należało wystrzegać się co drugiej osoby, a co trzeci dom był spelunką, w której upijano i mordowano marynarzy. Opowiedziałem mu oczywiście o tym, jak serdecznie byłem traktowany na tymże łądzie, którego się tak obawiał, jak dobrze odżywiany i starannie kształcony przez moich rodziców i przyjaciół. Ilekroć więc został pobity i sponiewierany, płakał gorzko i przysięgał, że ucieknie ze statku, ale kiedy dopisywał mu jego zwykły, wisielczy humor, a tym bardziej, gdy dostał w kajucie szklanę spirytusu, wyśmiewał się z takiego pomysłu.

Pan Riach (niech mu Bóg przebaczy!) zwykł dawać chłopcu trunki, co czynił niewątpliwie z dobroci serca. Rujnowało to jednak nie tylko zdrowie chłopca; bardziej jeszcze żalony był widok tej nieszczęsnej, pozbawionej przyjaciół istoty ślaniającej się na nogach, tańczącej i gadającej od rzeczy. Niektórzy z załogi śmieli się z tego, ale inni, patrząc na to, stawali się posępni jak noc burzliwa (myśleli zapewne wówczas o własnym dzieciństwie i o własnych dzieciach) i prosili go, aby się opamiętał i zaprzestał błazeństw. Ja zaś wstydzilem się patrzeć na niego i dotychczas jeszcze postać tego chłopca nęka moje sny.

Przez cały ten czas, trzeba wam wiedzieć, Covenant napotykał stale przeciwnie wiatry i borykał się z wysoką falą, przez co luk musiał być wciąż zamknięty, a kubryk oświetlony tylko kołyszącą się latarnią zawieszoną na belce. Cała załoga pracowała bez wytchnienia, co godzina trzeba było rozwijać lub skracać żagle. Ciężka ta praca wpływała na usposobienie marynarzy i od koi do koi przez cały dzień rozlegały się kłótnie. A że nie wolno mi było w ogóle pojawiać się na pokładzie, możecie sobie wyobrazić, jak dokuczało mi takie życie i z jakim utęsknieniem wyczekiwałem zmiany.

Zmiana miała wkrótce nastąpić, jak się o tym dowiedzie, przedtem jednak muszę wspomnieć o rozmowie z panem Riach, która dodała mi nieco otuchy i pozwoliła mężniej znosić wszelkie udręki.

Otóż korzystając z chwili, kiedy był w miarę pijany (gdyż po trzeźwemu nie był mi, doprawdy, nigdy tak przychylny), prosiłem go o zachowanie tajemnicy i zwierzyłem się ze wszystkiego.

Powiedział, że przypomina mu to balladę i że zrobi wszystko, co leży w jego mocy, aby mi pomóc. Polecił mi się wystarać o papier, pióro oraz atrament i napisać jeden krótki list do pana Campbella, drugi do pana Rankeillora. Zdaniem pana Riacha, o ile powiedziałem mu prawdę, wydobyć mnie z tej opresji i przywrócić moich praw było - z ich pomocą - tak prawdopodobne, że gotów się był o to założyć.

- Tymczasem - mówił - trzymaj się krzepko. Nie tobie tylko się to przytrafiło. Niejeden wśród pracujących motyką na plantacjach tytoniu w koloniach powinien posiadać własnego konia u progu swego domu. Wielu jest takich, wielu! A życie całe jest, w najlepszym wypadku, niespodzianką. Popatrz na mnie; jestem synem dziedzica i ukończonym bez mała lekarzem, a jednak jestem tutaj kukłą w rękach Hoseasona!

Uważałem za stosowne zapytać go o jego dzieje.

Gwizdnął głośno.

- Nie mam nic do powiedzenia o sobie. Lubię wesołe życie i to wszystko. - Co rzekłszy wymknął się z kubryku.



## VIII. Kajuta oficerska

Pewnej nocy, około godziny jedenastej, marynarz z wachty pana Riach, który znajdował się na pokładzie, zszedł na dół po kaftan. Zaraz potem zaczęto szeptać w kubryku, że „Shuan go tym razem wykończył”. Nie trzeba było wymieniać nazwiska; wszyscy wiedzieliśmy, o kogo chodzi. Lecz zanim zdaliśmy się oswoić z tą myślą, a tym mniej o tym pomówić, luk otwarł się gwałtownie i kapitan Hoseason zszedł po drabinie. W migotliwym świetle latarni rzucił bystrym okiem dokoła, po kojach, i podszedłszy do mnie rzekł łagodnym, ku memu zdziwieniu, głosem:

- Mój chłopcze, chcemy, abyś nam usługiwał w kajucie oficerskiej. Zamienicie się z Ransome kojami. Brykaj na górę!

Podczas gdy to mówił, dwóch marynarzy ukazało się w luku, niosąc Ransome'a na rękach, a że statek w tej chwili zachybotał się gwałtownie, latarnia się zakołysała i słabe światło padło wprost na twarz chłopca. Była biała jak wosk i widniał na niej jakby okropny uśmiech. Krew mi zastygła w żyłach i westchnąłem głęboko, jakby po silnym uderzeniu.

- Brykaj na górę! Brykaj na górę! - zawołał Hoseason.

Przecisnąłem się obok marynarzy i chłopca, który ani nie mówił, ani się nie poruszał, i wyskoczyłem na pokład.

Silnie rozkołysany bryg mknął szybko prawym halsem \* [\*Mknąć prawym halsem - żeglować mając wiatr z prawej strony.] poprzez długie, grzywiaste fale, a po lewej ręce, pod półkolistym likiem fokżagla \* [\*Lik - brzeg żagla obszyty liną. Fokżaglel - pierwszy (najniższy) żagiel na fokmaszcie, czyli pierwszym maszcie od dzioba.] dostrzegłem jasną jeszcze tarczę zachodzącego słońca. Widok słońca o tej godzinie nocy zdziwił mnie niepomernie, lecz zbyt wielkim byłem nieukiem, aby się domyślić, że płynęliśmy na północ, dokoła Szkocji, i znajdowaliśmy się właśnie na pełnym morzu, pomiędzy wyspami Orkney i Shetlandami, po ominięciu niebezpiecznych prądów kanału morskiego Pentland Firth. Przebywając zaś długo zamknięty w ciemności i nie wiedząc nic o wiatrach czołowych sądziłem, że znajdujemy się w połowie Atlantyku lub dalej. Toteż nie zwróciłem żadnej uwagi na to zjawisko, zastanowiła mnie tylko przez chwilą późna pora zachodu słońca, i trzymając się olinowania brnąłem dalej przez pokład, pomiędzy jednym a drugim uderzeniem fali. Przed zmyciem za burtę uratował mnie pewien marynarz, który zawsze okazywał mi życzliwość.

Kajuta oficerska, dokąd zostałem skierowany i gdzie miałem spać i usługiwać, górowała o sześć stóp nad pokładem i zważywszy na rozmiary brygu, była dosyć przestronna.

Stał tam przymocowany do podłogi stół, ława, dwa łóżka: jedno dla kapitana i drugie dla dwóch oficerów. Wszędzie, od góry do dołu, były szafy zamknięte na kłódki. Przechowywano w nich dobytek oficerów i część zapasów okrętowych. Pod podłogą kajuty znajdował się drugi magazyn, do którego wchodziło się przez luk; w środku pokładu w kajucie leżała najlepsza żywność, napoje, cały zapas prochu, jak również wszelka broń palna - z wyjątkiem dwóch mosiężnych działek - umieszczona w stojaku przytwierdzonym do tylnej ściany. Natomiast większość tasaków zgromadzono w innym miejscu.

Małe okienko z okiennicą po obu stronach i luk świetlny w dachu dostarczały światła w dzień, a po zapadnięciu zmroku paliła się tu stale lampa. Paliła się właśnie, gdy wszedłem do kajuty, niezbyt jasno, ale wystarczająco, aby oświetlić postać pana Shuana siedzącego przy stole. Przed nim stała butelka wódki i cynowy kubek, on zaś wpatrywał się w stół, jak ktoś niespełna rozumu.

Nie zwrócił żadnej uwagi na mój widok; nie poruszył się również, gdy wszedł potem kapitan i oparł się przy mnie o koję, patrząc ponuro na oficera. Bałem się okropnie kapitana Hoseason i miałem po temu swoje powody, ale coś mnie tknęło, że tym razem nie potrzebuję się go obawiać. Szepnąłem mu więc do ucha: - Co z nim?

Potrząsnął głową jak ktoś, kto nie wie i nie chce o tym wiedzieć, a twarz jego była bardzo surowa.

Wkrótce potem wszedł pan Riach. Spojrzał na kapitana wzrokiem tak wymownym, że zrozumieliśmy obaj bez słowa, iż chłopak nie żyje. Pan Riach zajął miejsce przy nas, po drugiej stronie stołu. Staliśmy tak wszyscy trzej w milczeniu, spoglądając na pana Shuana, który siedział niemy i wpatrywał się uporczywie w stół.

Nagle wyciągnął rękę i chciał pochwycić butelkę, lecz pan Riach postąpił krok naprzód, odebrał mu ją ruchem bardziej niespodziewanym niż gwałtownym i klnąc zawołał, że za wiele już tego wszystkiego, że kara boża gotowa spaść na cały statek i jego załogę, po czym (zasuwane drzwi kajuty były otwarte) wyrzucił butelkę do morza.

Pan Shuan zerwał się natychmiast na równe nogi. Wyglądał nadal jak odurzony, ale morderstwo miał w oczach i byłby je popełnił po raz drugi tej nocy, gdyby kapitan nie stanął pomiędzy nim a jego ofiarą.

- Siadaj! - ryknął kapitan - ty pijaku i świniu! Czy nie wiesz, co zrobiłeś? Zamordowałeś chłopca!

Pan Shuan zrozumiał widocznie, gdyż usiadł i podniósł rękę ku brwiom.

- No, cóż - rzekł - przyniósł mi brudny kubek.

Co słysząc kapitan, pan Riach i ja spojrzeliśmy na siebie wzrokiem, w którym malowało się przerażenie, Hoseason zaś, podszedłszy do swego pierwszego oficera, wziął go za ramiona, podprowadził do koi i kazał iść spać - jak niegrzecznemu dziecku. Morderca wykrzykiwał coś przez chwilę, lecz zdjął buty i usłuchał.

- Ach! - zawołał strasznym głosem pan Riach. - Powinien pan być wcześniej wmieszać się do tego! Teraz jest już za późno.

- Panie Riach - odparł kapitan - nikt w Dysart nie może się nigdy dowiedzieć, co zaszło na brygu tej nocy. Chłopak spadł z pokładu do morza i nic więcej o tym nie wiemy, a dałbym pięć funtów z własnej kieszeni, aby to była prawda.

Odwrócił się do stołu.

- Dlaczego wyrzucił pan pełną butelkę? - spytał. - To doprawdy nie miało sensu. Davie, wydobądź mi inną! Są złożone w najniższej szafie - i rzucił mi klucz. - Panu też się przyda łyk gorzałki - rzekł do Riacha - pańska osoba przedstawia nader szpetny widok.

Usiedli obaj i zaczęli pić, a tymczasem morderca, który przedtem leżał i skamlał na koi, podniósł się i wsparty na łokciu przypatrywał się im i mnie.

Była to pierwsza noc moich nowych obowiązków i w ciągu następnego dnia obeznałem się z nimi dokładnie. Usługiwałem przy posiłkach, które kapitan jadał w ustalonych godzinach w towarzystwie oficera nie pełniącego służby. Przez cały dzień biegałem nieustannie, podając trunki jednemu z trzech moich władców, w nocy spałem na kocu rzuconym na deski pokładu, w głębi kajuty, przy samej rufie, na przeciągu pomiędzy dwójgiem drzwi. Zimne to było i twarde łoże, na którym zresztą nie mogłem spać bez przerwy, bo któryś z nich coraz to schodził z pokładu, aby się napić wódki, a przy ustanawianiu nowej wachty dwaj, a nieraz wszyscy trzej, zasiadali razem i sporządzali sobie czarę ponczu. Nie wiem, jak mogli utrzymywać się w dobrym zdrowiu przy takim trybie życia, nie wiem również, jak zdołałem zachować moje własne.

Poza tym była to jednak lekka służba. Nie potrzebowałem nakrywać stołu obrusem; posiłki składały się z owsianki lub solonej wołowiny, dwa razy w tygodniu podawałem budyń mączny, a chociaż zachowywałem się dosyć niezdarnie, nie umiałem jeszcze stąpać po marynarstwu i od czasu do czasu wywracałem się niosąc jakąś potrawę lub butelkę, to jednak pan Riach jak i kapitan okazywali dziwną cierpliwość. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć inaczej, jak wyrzutami sumienia. Nie okazywaliby mi zapewne tyle dobroci, gdyby nie byli o wiele gorsi dla mego poprzednika.

Pan Shuan natomiast, czy to z powodu dokonanej zbrodni czy też z powodu pijaństwa, a może pod wpływem jednego i drugiego, niewątpliwie robił wrażenie niespełna rozumu; nie

sądę, abym go kiedykolwiek widział przy zdrowych zmysłach. Nie mógł się przyzwyczaić do mojej obecności, wpatrywał się we mnie bez ustanku (nieraz, jak mi się wydawało, ze zgrozą) i wielokrotnie cofał się przed moją usługującą mu ręką. Od początku byłem prawie pewny, że niezbyt sobie zdawał sprawę ze swego postępuku, i potwierdziło się to na drugi dzień mojej służby w kajucie.

Byliśmy właśnie sami. Przyglądał mi się od dłuższego czasu, gdy nagle powstał blady jak śmierć i ku memu najwyższemu przerażeniu podszedł do mnie. Jak się jednak okazało, nie miałem powodów, aby się go obawiać.

- Nie byłeś tu przedtem? - zapytał.

- Nie, panie.

- Inny tu był chłopiec? - a gdy mu odpowiedziałem, rzekł: - I mnie się tak zdawało. - Po czym odszedł i kazał sobie podać wódki.

Zdziwi was może to wyznanie, ale wbrew całemu obrzydzeniu, jakie we mnie budził, odczuwałem jednak litość dla niego. Był żonaty, żona jego mieszkała w Leith; nie pamiętam, czy miał dzieci, ale lepiej byłoby, gdyby ich nie miał.

Na ogół więc życie moje nie było zbyt uciążliwe, lecz, jak się okazało, nie miało to trwać długo. Żywiony byłem dobrze, nie gorzej od oficerów; nie skąpili mi nawet największego przysmaku, jakim były marynowane jarzyny. Gdybym chciał, mógłbym być pijany od rana do wieczora, jak pan Shuan. Miałem również towarzystwo i to właściwie nie najgorsze. Pan Riach był człowiekiem wykształconym i jeśli humor mu dopisywał, rozmawiał ze mną jak z przyjacielem i opowiadał mi wiele ciekawych rzeczy, z których niejedna płynęła nauka. Nawet kapitan, aczkolwiek przeważnie trzymał mnie krótko, łagodniał czasem i opowiadał mi o pięknych, zwiedzonych przez niego krajach.

Wszelako wspomnienie biednego Ransome'a ciążyło nieznośnie na nas czterech, zwłaszcza na panu Shuanie i na mnie, a miałem ponadto i własne zmartwienia. Wykonywałem wszak brudne posługi na rzecz trzech mężczyzn, którymi pogardzałem, a z których przynajmniej jeden powinien był zawisnąć na szubienicy. Taka była terażniejszość. Jeśli chodziło o przyszłość, nie widziałem siebie inaczej, jak harującego obok Murzynów na polach tytoniu. Pan Riach, być może przez ostrożność, nie pozwolił mi nigdy więcej wspomnieć choćby jednym słowem o spisku, którego padłem ofiarą, kapitan zaś, gdy próbowałem go o to nagabywać, sfukał mnie jak psa i nie chciał o niczym słyszeć. Toteż w miarę jak upływały dni, coraz większe ogarniało mnie przygnębienie, aż wreszcie rad byłem, że praca przeszkadza mi w rozmyślaniach.

## IX. Mężczyzna z trzosem pełnym słońca

Minął tydzień, podczas którego zły los prześladowający Covenant w tej podróży wziął się nie na żarty. Czasami bryg zaledwie posuwał się naprzód, kiedy indziej zaś dryfowaliśmy\* [\*Dryf - znoszenie statku z Jego kursu przez prąd lub wiatr.] w przeciwnym kierunku. Wreszcie Covenant zepchnięty został tak daleko na południe, iż manewrowaliśmy przez cały dziewiąty dzień w pobliżu przylądka Wrath i mogliśmy dojrzeć dzikie, skaliste wybrzeże po obu jego stronach. Oficerowie zasiedli do narady i zapadła jakaś decyzja, której dobrze nie rozumiałem, ale zdałem sobie sprawę z jej rezultatów; zmieniliśmy bowiem przeciwny wiatr na pomyślny i wzięliśmy kurs na południe.

Dziesiątego popołudnia była martwa fala \* [\*Martwa fala - fala powstająca na morzu w czasie ciszy, zjawisko niepomyślne dla żeglugi.] i natrafiliśmy na białą mgłę, tak gęstą, że stojąc na rufie brygu nie można było dostrzec jego dzioba. Przez całe popołudnie, gdy znajdowałem się na pokładzie, widziałem oficerów i marynarzy nasłuchujących pilnie przy nadburciu „odgłosu rozbryzgów” \*, [\*Rozbryzg - fala uderzająca o wybrzeże, skały lub rafy znajdujące się blisko powierzchni morza.] jak powiadali, i chociaż nie rozumiałem zupełnie znaczenia tego słowa, czułem niebezpieczeństwo w powietrzu i byłem tym podniecony.

Około dziesiątej wieczorem usługiwałem przy kolacji kapitanowi i panu Riach, gdy statek uderzył o coś z wielkim trzaskiem i usłyszeliśmy głośne krzyki. Obaj moi władcy porwali się na równe nogi.

- Wpadliśmy na rafę - rzekł Riach.

- Nie, panie - odparł kapitan. - Zatopiliśmy tylko łódź.

Obaj wybiegli na pokład.

Kapitan miał rację. Zderzyliśmy się we mgle z łodzią i łódź ta, roztrzaskana w środku, zatoneła z całą swą załogą, z wyjątkiem jednego mężczyzny, który jak to później usłyszałem, siedział na rufie jako pasażer, podczas gdy reszta wiosłowała w ławkach. W chwili zderzenia rufa łodzi została wyrzucona w górę i ów mężczyzna - ręce miał wolne, lecz krępował mu ruchy płaszcz z szorstkiego, wełnianego samodziału - podskoczył i uchwycił się bukszprytu \* [\*Bukszpryt - pochyły maszt na dziobie żaglowca.] naszego brygu. Aby uratować się w ten sposób z opresji, musiał mieć szczęście, być nader zręczny i rozporządzać niezwykłą siłą. Mimo to, gdy kapitan przyprowadził gościa do kajuty i ujrzałem go po raz pierwszy, wyglądał równie opanowany jak ja.

Był raczej niewielkiego wzrostu, lecz silnie zbudowany i zwinny jak koza. Jego twarz o miłym, otwartym wyrazie była bardzo opalona, gęsto upstrzona piegami i poryta znakami

po ospię; oczy miał niezwykle jasne i migotał w nich ogień jakiejś szalonej buńczuczności, co wywoływało zarówno sympatię, jak obawę. Po zdjęciu płaszcza złożył na stole parę pięknych pistoletów, o srebrem wykładanych kolbach; u pasa miał okazałych rozmiarów szablę. Jego maniere były ujmujące i nader grzecznie odpowiedział na powitanie kapitana. To wszystko razem sprawiło, że na pierwszy rzut oka uznałem rozbitka za mego przyjaciela raczej niż wroga.

Kapitan obserwował go również, przyglądał się jednak bardziej jego odzieży niż osobie. Istotnie, skoro tylko zdjął płaszcz, ukazał się nam w krasie rzadko widywanej w kajucie oficerskiej handlowego brygu. Miał na sobie kapelusz z piórami, czerwoną kamizelkę, spodnie do kolan z czarnego pluszu i niebieski surdut ze srebrnymi guzikami i wykwintnymi srebrnymi galonami. Kosztowny to był strój, chociaż nieco podniszczony przez niepogody oraz sypianie w nim.

- Ubolewam, panie, nad tym, co się stało z łodzią - rzekł kapitan.

- Kilkunastu dzielnych ludzi poszło z nią na dno - odparł przybysz. - A oddałbym niejedną łódź za to, aby widzieć ich znowu na suchym lądzie.

- Pańscy przyjaciele?

- Nie macie takich przyjaciół w waszym kraju, oddaliby za mnie życie jak psy.

- Ha, cóż - rzekł kapitan, wciąż mu się bacznie przyglądając - więcej jest ludzi na świecie niż łodzi.

- Zaiste, prawdę pan powiada i jak sądzę, jest pan dżentelmenem o bardzo bystrym umyśle.

- Byłem we Francji, panie - powiedział kapitan w sposób, z którego wynikało, że zamierzał przez to więcej powiedzieć, niż znaczyły słowa.

- Niejeden tam był dzielny człowiek, jeśli już o to chodzi.

- Nie wątpię w to, panie, tam noszą piękne surduty...

- Oho - rzekł przybysz - to z tej strony wiatr wieje? - i złożył szybko rękę na pistoletach.

- Po cóż się tak śpieszyć - odparł kapitan. - Lepiej nic złego nie czynić, zanim pan tego nie uzna za konieczne. Ma pan na grzbiecie strój francuskiego żołnierza, a szkocki język w gębie. Ale to samo można powiedzieć w tych czasach o niejednym uczciwym człowieku i nie ośmielę się brać mu za złe.

- Ach tak? - rzekł dżentelmen w pięknym surducie. - Należy więc pan do stronnictwa uczciwych? (Przez co chciał powiedzieć, że kapitan jest Jakobitą \*, [\*Jakobita - zwolennik katolickiej dynastii szkockiej Stewartów (Stuartów), ściślej króla Jakuba II i jego potomków

pozbawionych tronu i wygnanym z kraju na skutek rewolucji 1688 r.] jak ich zwano, każda bowiem strona w tego rodzaju wojnach domowych i waśniach przybierała miano ucziwej).

- Nie, panie - odpowiedział kapitan - jestem zawziętym protestantem i Bogu za to dziękuję. (Było to pierwsze słowo o religii, jakie słyszałem z jego ust; później dowiedziałem się, że będąc na łądzie Hoseason często i gorliwie uczęszcza do kościoła). - Ale pomimo tego mogę współczuć człowiekowi przypartemu do muru.

- Może pan, naprawdę? Będę więc, kapitanie, całkiem szczery. Należę do tych ucziwych dżentelmenów, którzy wpadli w pewne kłopoty w roku czterdziestym piątym i szóstym \*, [\*Mowa o powstaniu w Szkocji (Wielkiej Rebelii), które wybuchło w związku z wyładowaniem tam wnuka Jakuba II - „młodego pretendenta”, Karola Edwarda Stewarta.] i chcąc być nadal całkiem szczery, gdybym się dostał w ręce tych panów w czerwonych kaftanach \*, [\*Czerwone kaftany - tak nazywano wojska angielskie z powodu ich czerwonych mundurów.] nic dobrego by dla mnie z tego nie wynikło. Jestem w drodze do Francji i okręt francuski krążył na tych wodach, aby mnie zabrać. Zminęliśmy się w mgłę, wielka to szkoda, że i pan tego nie uczynił. Oto, co mogę najlepszemu panu powiedzieć; jeśli wysadzi mnie pan na łąd tam, dokąd zmierzam, mam przy sobie czym pana sownie wynagrodzić.

- We Francji? - rzekł kapitan. - Nie, panie, tego nie mogę uczynić. Lecz jeśli chodzi o okolice, z których pan przybywa... o tym możemy pomówić.

Niestety, w tej chwili kapitan dojrzał mnie stojącego w kącie i kazał iść do kambuza \* [\*Kambuz - kuchnia na statku.] po kolację dla owego dżentelmena. Nie straciłem ani chwili, mogę was o tym zapewnić, i gdy powróciłem do kajuty, przybysz odpinał trzos od pasa i wydobywał z niego jedną czy dwie gwinee, które złożył na stole. Kapitan przyglądał się tym złotym monetom, zerkał raz po raz to na swego gościa, to na jego trzos i wydawał się podniecony.

- Połowę tego - zawołał - a jestem do pańskich usług!

Ale tamten zgarnął monety i wsunął trzos z powrotem pod kamizelkę.

- Powiedziałem już panu - rzekł - że ani grosz z tego do mnie nie należy. Pieniądze te są własnością mego wodza - tu dotknął kapelusza - i uważałbym siebie za głupiego wysłańca, gdybym, chcąc uratować resztę, pożałował ich części, a byłbym już skończonym kundlem, jeślibym kupił za drogo własną skórę. Trzydzieści gwinei na wybrzeżu albo sześćdziesiąt, jeśli wysadzi mnie pan na łąd w Linnhe Loch. Przyjmijcie to, jeśli wola, albo też czyńcie, panie, co zamierzacie najgorszego!

- A jeśli oddam pana w ręce żołnierzy?

- Kiepski to byłby dla pana przetarg. Mój wódz, trzeba panu wiedzieć, jest banitą wydziedziczonym z majątku, jak każdy ucziwy człowiek w Szkocji. Jego dobra są w rękach człowieka, którego nazywają królem Jerzym. Urzędnicy króla pobierają czynsze albo usiłują je pobierać, lecz ubodzy dzierżawcy, ratując honor Szkocji, pamiętają o wodzu ich klanu, błakającym się na wygnaniu, i te pieniądze są właśnie częścią czynszów, na które liczył król Jerzy. A jeżeli, jest pan chyba rozsądnym człowiekiem, pieniądze te wpadną w ręce rządu, ile z tego panu przypadnie?

- Dalibóg niewiele - odrzekł Hoseason i dodał szorstko po chwili - ale sędzę, że gdybym chciał spróbować, potrafiłbym utrzymać język za zębami.

- A ja potrafię zniweczyć takie zamiary i na sprzeniewierstwo chytrą odpowiedzią odpowiem! Jeśli mnie schwytają, dowiedzą się zaraz ode mnie, gdzie są pieniądze.

- Ha - rzekł na to kapitan - niech będzie, jak być musi. Sześćdziesiąt gwinei, a dobijemy targu. Oto moja ręka!

- A oto moja! - odpowiedział przybysz.

Po tej rozmowie kapitan wyszedł „raczej spiesz nie” - pomyślałem sobie, i pozostawił nas samych w kajucie.

W owym czasie (niedługo po 1745 roku) wielu przebywających na wygnaniu dżentelmenów powracało ryzykując życie, aby odwiedzić przyjaciół albo zebrać nieco pieniędzy. O wodzach klanów góralskich mówiło się powszechnie, że ich dzierżawcy od ust sobie odejmują, aby im posłać pieniądze, a klanowi pobratymcy narażają się na utarczki z wojskiem, żeby te pieniądze zebrać, i przemykają się morzem strzeżonym przez naszą liczną marynarkę wojenną, przewożąc je na kontynent. Nieraz już o tym słyszałem, a teraz miałem przed oczyma człowieka, który narażał swe życie z wszystkich tych powodów plus jeszcze jeden: był bowiem nie tylko rebeliantem i przemytnikiem czynszów, ale i żołnierzem francuskiego króla Ludwika, a nadto miał jeszcze przytroczony do pasa trzos pełen złotych gwinei.

Jakiegolwiek bym wyznawał poglądy, nie mogłem patrzeć na niego inaczej, jak z żywym zainteresowaniem.

- A więc jest pan Jakobitą? - spytałem stawiając przed nim pożywienie.

- Tak - odrzekł zaczynając jeść. - A ty, sądząc po twojej głupkowatej twarzy, jesteś zapewne Whigiem \*? [\*Whig - tu: zwolennik protestanckiej dynastii hanowerskiej.]

- Jestem ni to, ni owo - odpowiedziałem, nie chcąc go drażnić, gdyż byłem doprawdy tak dobrym Whigiem, jakim mnie pan Campbell zdołał uczynić.



- Ba, to nieważne! Ale powiadam ci, panie Ni To Ni Owo, że butelka, którą przyniosłeś, jest pusta, a jeśli mam zapłacić sześćdziesiąt gwinei, to czy mam jeszcze ponadto cierpieć na brak napitku?

- Pójdę i poproszę o klucz - odpowiedziałem i wyszedłem na pokład.

Mgła była równie gęsta jak przedtem, ale martwa fala opadła prawie zupełnie. Oficerowie kazali zwinąć żagle, nie wiedzieli bowiem dokładnie, gdzie się znajdują, zaś bardzo słaby wiatr nie przyczyniał się do utrzymania brygu we właściwym kursie. Paru marynarzy nasłuchiwało nadal odgłosu rozbryzgów, gdy tymczasem kapitan i dwaj oficerowie stali głowa przy głowie na środku pokładu i rozmawiali. Przyszło mi na myśl (nie wiem dlaczego), że nic dobrego nie uradzą, i pierwsze słowa, jakie usłyszałem podszedłszy cicho do nich, potwierdziły me przeczucia.

Pan Riach mówił właśnie, jak by wpadł na nowy pomysł.

- Czy nie moglibyśmy wywabić go z kajuty?

- Niech lepiej zostanie, gdzie jest - odparł Hoseason. - Za ciasno tam, by mógł użyć szabli.

- To prawda! - mówił Riach. - Ale trudno się tam do niego dostać.

- Sza! - rzekł Hoseason. - Możemy go zaprosić na pogawędkę. Usiądziemy przy nim, po jednym z każdej strony, i uchwycimy go za ręce. Jeśli to się nie uda, możemy go dopaść przez oboje drzwi i obezwładnić, zanim zdąży wydobyć szablę z pochwy.

Gdym to usłyszał, przerażenie mnie ogarnęło, ale i wściekłość zarazem na tych zdradzieckich, chciwych, krwiożerczych ludzi, z którymi znalazłem się na statku. Moją pierwszą myślą było - zmykać, ale wnet powróciła odwaga.

- Panie kapitanie - powiedziałem - ten dżentelmen domaga się trunku, a butelka jest pusta. Czy może mi pan dać klucz?

Wzdrygnęli się wszyscy trzej i odwrócili do mnie.

- Przecież w ten sposób możemy się dostać do broni palnej! - zawołał Riach. - Słuchaj no, Davie, czy wiesz, gdzie są pistolety?

- Tak, tak - wtrącił Hoseason - Dawid wie, Davie to porządny chłopak. Widzisz, Davie, mój chłopcze, ten dziki góral jest niebezpieczny dla statku, a poza tym wróg króla Jerzego, niech Mu Pan Bóg błogosławi!

Nigdy jeszcze, od czasu mego pojawienia się na brygu, nie przemawiali do mnie tak czule. Odpowiedziałem, że wiem, gdzie są pistolety, jak gdyby wszystko, co usłyszałem, było całkiem naturalne.

- Kłopot polega na tym - mówił dalej kapitan - że cała nasza broń palna, wielka i mała, jak również proch, znajdują się w kajucie, pod samym jego nosem. Gdyby któryś z nas, oficerów, wszedł tam i zaczął się do tej broni dobierać, tamten mógłby coś zwąchać. Ale chłopak taki jak ty, Davie, mógłby niepostrzeżenie wy dostać róg z prochem i pistolet lub dwa. Jeśli sprytnie się sprawisz, będę o tym pamiętał w chwili, gdy przyda ci się mieć przyjaciół, to jest po naszym wylądowaniu w Ameryce.

Pan Riach zaszeptał coś do kapitana.

- Bardzo słusznie - mruknął Hoseason i odwracając się do mnie, rzekł: - Słuchaj no, Davie, ten człowiek ma trzos pełen złota i daję ci słowo, że i ty tam palce będziesz mógł wetknąć.

Powiedziałem, że postąpię zgodnie z jego życzeniem, chociaż mi za ledwie na to tchu starczyło. Kapitan wręczył mi więc klucz od szafy z trunkami i powróciłem wolno do kajuty. Co robić? Wszak to byli złodzieje i podli ludzie, porwali mnie z mego własnego kraju, zabili biednego Ransome'a. Miałemże im dopomóc w dokonaniu nowego morderstwa? Odczuwałem jednak bardzo wyraźnie strach przed śmiercią. Cóż bowiem zdziałać mógł chłopiec i mężczyzna, choćby odważni jak lwy, przeciwko całej załodze?

Pogrążony w rozterce wszedłem do kajuty, gdzie zastałem Jakobitę jedzącego kolację pod lampą. Wtedy to w jednej chwili powziąłem decyzję. Nie moja w tym zasługa, nie dokonałem tego wyboru świadomie, tylko niejako pod przymusem. Podszedłem prosto do stołu i położyłem rękę na ramieniu nieznanego.

- Czy życzy pan sobie śmierci? - zapytałem.

Zerwał się od stołu i spojrzał na mnie, a w jego oczach zawarte było pytanie tak wyraźne, jak gdyby przemówił.

- Oni wszyscy tutaj są mordercami! - zawołałem. - Cały statek od nich się roi! Zamordowali już chłopca! Teraz na pana kolej!

- Tak, tak, ale to się im jeszcze nie udało. - Spojrzał na mnie z zaciekawieniem. - Czy ty będziesz po mojej stronie?

- Tak! Nie jestem złodziejem ani mordercą. Będę po pańskiej stronie.

- Dobrze, a jak się nazywasz?

- Dawid Balfour - odpowiedziałem, po czym, sądząc, że mężczyzna w tak wykwinnym surducie winien doceniać wykwinnych ludzi, dodałem po raz pierwszy - z Shaws.

Nie wątpił ani na chwilę w moją prawdomówność, gdyż góralom szkockim zdarzało się spotykać szlachetnie urodzonych nędzarzy, ale że nie miał własnych posiadłości ziemskich, więc moje słowa podrażniły jego próżność.

- Nazwisko moje brzmi Stewart - rzekł wyprostowując się - a nazywają mnie Alan Breck. Królewskie nazwisko mi wystarcza, chociaż noszę je bez tytułów i nie jestem właścicielem żadnych włości, których nazwę mógłbym przyczepić na jego końcu.

Wypowiedział tę naganę, jak by to była sprawa największej wagi, i zaczął badać nasze pozycje obronne.

Kajuta zbudowana była solidnie, by mogła wytrzymać uderzenia fal morskich. Z pięciu otworów - tylko luk świetlny na dachu i dwoje drzwi były wystarczająco szerokie, by mógł się tamtędy przedostać mężczyzna. Z tęgich dębowych desek zrobione, zasuwane drzwi można było zamknąć, posiadały bowiem haki, za pomocą których trzymano je zamknięte lub otwarte, zależnie od potrzeby. Te, które były już zamknięte, zabezpieczyłem w ten sposób właśnie, a gdy chciałem zasunąć drugie, Alan powstrzymał mnie od tego.

- Davie - rzekł - nie mogę sobie przypomnieć nazwy twoich włości i ośmielę się wobec tego zwracać się do ciebie po imieniu, te drzwi, gdy otwarte, są dla mnie najlepszą obroną.

- Lepiej byłoby je zamknąć.

- Nie, Davie, jedną mam tylko twarz, ale tak długo, jak te drzwi są otwarte i moja twarz obrócona w ich stronę, większość moich wrogów znajdzie się przede mną, co mi najbardziej dogadza.

Po czym dał mi ze stojaka tasak (było ich tam kilkanaście - oprócz broni palnej), wybierając go bardzo starannie. Kręcił przy tym głową mówiąc, że w całym swoim życiu nie miał nigdy w ręku broni w gorszym gatunku. Następnie posadził mnie przy stole, z rogiem prochu, workiem kul oraz wszystkimi pistoletami i kazał mi je nabić.

- Pozwolę sobie zaznaczyć, że będzie to bardziej odpowiednia praca dla dżentelmena ze szlacheckiej rodziny niż zmywanie talerzy i przynoszenie butelek kilku usmolonym marynarzom.

To rzekłszy ustawił się w samym środku kajuty z twarzą zwróconą ku drzwiom, wy dobył z pochwy długą szablę i wykonał nią parę ciosów, chcąc się przekonać, czy starczy mu na to miejsca.

- Muszę się ograniczyć do kłucia - rzekł potrząsając głową - a wielka to szkoda. Nie odpowiada to moim talentom, którym służy najlepiej górna część głowni. A teraz nabijaj dalej pistolety i zważaj na mnie.

Odpowiedziałem, że będę pilnie służył jego rozkazów. W piersiach czułem wielki ucisk, w ustach mi zaschło i w oczach pociemniało; serce moje drżało gwałtownie na myśl o przeważającej sile, która miała wkrótce rzucić się na nas. Nie mogłem się również oprzeć dziwnemu wrażeniu, jakie na mnie wywierał chłopot fal dokoła brygu, w głąb których, myślałem sobie, wrzucą nazajutrz moje zwłoki.

- Przede wszystkim - rzekł Alan - ilu ich jest przeciwko nam?

Zacząłem liczyć, ale mój umysł był tak podniecony, że musiałem dwa razy zaczynać od początku. - Piętnastu - odpowiedziałem.

Alan gwizdnął. - Ha - rzekł - na to nic poradzić nie możemy. A teraz słuchaj uważnie. Moim zadaniem jest bronić drzwi, z których spodziewam się głównego natarcia. Ty się do tego nie wtrącaj! I nie strzelaj w tę stronę, chyba że mnie obalą, gdyż wolę mieć dziesięciu wrogów przed sobą niż jednego, takiego jak ty, przyjaciela z pistoletem w ręku za sobą.

Powiedziałem mu, że istotnie kiepski ze mnie strzelec.

- To jest bardzo odważne wyznanie - zawołał pełen podziwu dla mojej prostoduszności. - Wielu jest dzielnych dżentelmenów, którzy nie ośmieliliby się tego o sobie powiedzieć.

- Ależ, panie - rzekłem na to - za wami są drzwi, oni mogą się przez nie tu włamać.

- Tak - odparł - i to jest część twojej roboty. Jak tylko skończysz nabijanie pistoletów, wskoczysz na łóżko, skąd masz wygodny dostęp do okna. Skoro tylko dotkną tych drzwi, masz strzelać. Ale to nie wszystko. Spróbujmy zrobić z ciebie jakiegoś takiego żołnierza. Czego jeszcze masz pilnować?

- Jest tu luk świetlny, ale doprawdy musiałbym mieć oczy po obu stronach głowy, aby strzec zarówno drzwi, jak i luku, bo gdy mam twarz zwróconą w jedną stronę, to stoję plecami do drugiej.

- Wielką wypowiedziałeś prawdę, ale czy nie posiadasz uszu na głowie?

- Oczywiście! Muszę usłyszeć brzęk wybijanych szyb!

- Masz pewne zadatki zdrowego rozsądku - rzekł posępnie Alan.

## X. Oblężenie kajuty

Rozejm dobiegał końca. Oczekujący mnie na pokładzie widać zniecierpliwili się w końcu, bo zaledwie Alan wypowiedział te słowa, gdy w drzwiach ukazała się twarz kapitana.

- Stój! - zawołał Alan, skierowując ku niemu ostrze szabli. Kapitan stanął, ale nie drgnął nawet i nie cofnął się ani o krok.

- Obnażona szabla? - rzekł. - Dziwna to wzajemność za gościnę.

- Czy widzisz mnie? - mówił Alan. - Należę do królewskiego rodu. Noszę królewskie nazwisko. Dąb mam w herbie. Czy widzisz moją szablę? Ściąłem nią więcej łbów whigowskich, niż masz palców u nóg. Zawołaj na pomoc swą hałastrę i dalej ku nam. Im wcześniej bitka się zacznie, tym prędzej poczujesz w brzuchu smak stali!

Kapitan nic na to nie odpowiedział, lecz spojrzął na mnie paskudnym wzrokiem.

- Davie - rzekł - będę o tym pamiętał. - Zgrzytliwy dźwięk jego głosu przeszył mnie na wskroś.

W następnej chwili kapitan zniknął za drzwiami.

- A teraz - rzekł Alan - niech twoja głowa kieruje twoją ręką, bo zabawa zaraz się zacznie.

Alan wydobył sztylet i trzymał go w lewej ręce, na wypadek gdyby któryś z napastników prześliznął się pod jego szablą. Ja ze swej strony wlażem na łóżko z naręczem pistoletów i cokolwiek ciężkim sercem. Otworzywszy luk objąłem wartę. Mogłem ogarnąć wzrokiem niewielką część pokładu, wystarczającą jednak dla moich zamiarów. Morze wyglądało się zupełnie, wiatr dał równomiernie, utrzymując żagle w napięciu, głęboka cisza panowała więc na statku, wśród której doszedł mnie dźwięk przyciszonych głosów. W chwilę potem rozległ się szcęk stali, z czego wywnioskowałem, że rozdawano tasaki i jeden z nich upadł na deski pokładu. Po czym znowu zaległa cisza.

Nie wiem, czy to był strach, ale serce biło mi jak u ptaka, to szybko, to słabo, a oczy zachodziły mgłą. Przecierałem je wciąż, ale mgła ciągle powracała. Nadziei natomiast nie miałem żadnej; odczuwałem tylko ponurą rozpacz i jakąś wściekłość na ten świat, przez co pragnąłem jedynie sprzedać jak najdrożej swoje życie.

Pamiętam, że próbowałem się modlić, lecz zamieszanie w mojej głowie, niczym u biegnącego szybko człowieka, nie pozwalało myślom na sformułowanie słów. Życzyłem sobie nade wszystko, aby się to jak najprędzej zaczęło i skończyło.

Zupełnie nagle rozległ się wrzask, tupot nóg, potem okrzyk Alana, odgłosy uderzeń i cięć, wreszcie jakiś jęk, jakby rannego. Spojrzałem przez ramię za siebie i zobaczyłem w drzwiach pana Shuana krzyżującego ostrza z Alanem.

- To ten zamordował chłopca! - zawołałem.

- Pilnuj twego okna! - odparł Alan, a odwracając się ujrzałem, jak przebija szablą ciało oficera.

Uczyliłem to w samą porę, gdyż zaledwie moja głowa znalazła się w oknie, pięciu marynarzy przebiegło koło mnie, dźwigając zapasową reję. Chcieli jej użyć jako taranu do wywalenia drzwi. W życiu nie strzelałem z pistoletu, niezbyt często ze strzelby, a nigdy oczywiście do ludzi. Jednak nie miałem wyboru: teraz albo nigdy! I w momencie gdy zaczęli kołysać reję, krzyknąłem: - Macie! - i wystrzeliłem pomiędzy nich.

Musiałem jednego zranić, gdyż zaskamlał i cofnął się o krok, reszta zaś przystanęła, nieco stropiona. Zanim zdążyli się opamiętać, posłałem drugą kulę ponad ich głowami, a po trzecim strzale, równie niecelnym jak poprzednie, cała grupa porzuciła reję i uciekła w popłochu.

Odwróciłem się i spojrzałem w głąb kajuty. Pełno było tu dymu od moich strzałów i zdawało mi się, że uszy pękają od huków. Alan natomiast stał w tej samej pozycji co poprzednio. Tylko szabla jego skrwawiona była teraz aż po rękojeść, on sam zaś przybrał tak wspaniałą postawę i był tak nadęty triumfem, że wydawał się niezwykły. Naprzeciwko niego, na podłodze, ujrzałem pana Shuana wspartego na rękach i kolanach; z ust bluzgała mu krew, a jego straszliwie blada twarz pochylała się coraz niżej. W chwili gdy na niego spojrzałem, stojący za nim ludzie pochwycili go za pięty i wyciągnęli z kajuty. Wydaje mi się, że wtedy właśnie skonał.

- O jednego Whiga mniej! - wrzasnął Alan, po czym odwrócił się do mnie i zapytał, wielu udało mi się położyć.

Odpowiedziałem, że postrzeliłem jednego i sądzę, iż był to sam kapitan.

- A ja dogodziłem dwóm, ale za mało jeszcze krwi się polało, oni zaraz znów się pojawiają. Wracaj na swoje stanowisko, Davie! To była tylko przekąska przed obiadem!

Powróciłem do okna, nabijając trzy użyte przeze mnie pistolety i dając pilne baczenie okiem i uchem.

Nasi wrogowie kłócili się w pobliżu na pokładzie, a czynili to tak głośno, że mogłem dosłyszeć niektóre zdania górujące nad poszumem morza.

- To Shuan wszystko zepsuł! - mówił któryś z marynarzy.

A drugi na to: - Sza! On już kitę odwalił!

Rozprawiali dalej - jak poprzednio - głosem stłumionym, ale tym razem mówił przeważnie jeden, jak by tłumacząc jakiś plan, a inni odpowiadali krótko, niby przyjmując rozkazy. Upewniłem się przez to, że znowu będziemy mieli z nimi do czynienia, i powiedziałem o tym Alanowi.

- O to właśnie powinniśmy się modlić - rzekł. - Jeśli nie potrafimy im dostatecznie zepsuć apetytu na naszą skórę i uspokoić wreszcie, żaden z nas nie zaśnie ani tej nocy, ani później. Tym razem jednak uważaj, bo poważnie zabiorą się do nas.

Moje pistolety były już gotowe i nie pozostawało mi nic innego, jak słuchać i czekać. Póki walczyli, nie miałem czasu zastanowić się nad tym, czy się boję, ale gdy znowu zapadła cisza, nie mogłem pozbyć się myśli o zimnych ostrzach szabel, a gdy do moich uszu doszedł szelest skradających się kroków i szmer marynarskiej odzieży ocierającej się o ściany kajuty, przez co wiedziałem, że ustawiają się w ciemności, niewiele brakowało, a zacząłbym głośno płakać.

Wszystko to działo się po stronie Alana i myślałem już, że tym razem nie wezmę udziału w walce, gdy posłyszałem, jak ktoś lekko wskakuje na dach kajuty, nad moją głową.

Wtem rozległ się dźwięk piszczalki, a był to umówiony sygnał. Kilkunastu marynarzy z tasakami w rękach rzuciło się razem ku drzwiom i w tej samej chwili szkło w luku rozprysło się na tysiąc odłamków. Przez otwór wskoczył mężczyzna i wylądował na podłodze. Zanim powstał na nogi, przyłożyłem pistolet do jego pleców i mógłbym go z łatwością zastrzelić, lecz gdy dotknąłem lufą żywego ciała, wszystkie moje władze odmówiły posłuszeństwa, a pociągnięcie za spust stało się dla mnie równie niemożliwe, jak latanie w powietrzu.

Podczas skoku tasak wypadł mu z ręki, ale czując dotknięcie lufy pistoletu odwrócił się i rycząc przekleństwo pochwycił mnie w pasie. Nie wiem, czy odzyskałem wówczas odwagę, czy też uległem ostatecznemu przerażeniu, ale skutek był ten sam. Wrzasnąłem piskliwie i strzeliłem w sam środek jego ciała. Jęknął ohydnie, przerażająco i zwałił się na podłogę. Natychmiast potem uderzyła mnie w głowę stopa następnego marynarza, którego nogi zwiślały z luku. Chwyciłem drugi pistolet i wpakowałem napastnikowi kulę w udo. Przesunął się przez otwór luku i opadł na leżące ciało towarzysza. Nie było mowy o spudłowaniu, nie było również czasu na celowanie; przyłożyłem lufę pistoletu do jego głowy i strzeliłem.

Stałbym zapewne i wpatrywałbym się w nich długo, gdyby okrzyk Alana wzywającego pomocy nie wyrwał mnie z odrętwienia.

Alan zdołał powstrzymać przy drzwiach napór atakujących, ale gdy porał się z nimi, jeden z marynarzy przesunął się tymczasem pod jego szablą i pochwycił go wpół. Alan dźgał

go sztyłem trzymanym w lewej ręce, ale napastnik przywarł doń jak pijawka. Drugi marynarz przedostał się również do wnętrza kajuty i stał z podniesionym tasakiem. W drzwiach tłoczyły się liczne twarze. „Jesteśmy zgubieni” - pomyślałem sobie i schwyciwszy tasak rzuciłem się na nich z boku.

Nie zdążyłem jednak z pomocą. Zwarty z Alanem napastnik upadł wreszcie i Alan, odskoczywszy do tyłu dla nabrania rozpędu, runął ku drzwiom rycząc jak bawół. Cofnęli się przed nim jak woda i zaczęli umykać biegnąc i potracając się wzajemnie. Szabla Alana lśniła jak rtęć w tym kłębowisku ciał, a za każdym jej błyskiem rozlegał się wrzask bólu. Wciąż mi się zdawało, że wybiła nasza ostatnia godzina, gdy nagle znikli wszyscy napastnicy, a Alan skoczył za nimi i gnał ich wzdłuż pokładu, jak pies owczarek gna przed sobą stado owiec.

Zaledwie wyskoczył na pokład, a już znalazł się z powrotem w kajucie; był bowiem równie ostrożny, jak odważny. Marynarze zaś biegali wrzeszcząc po pokładzie, jak gdyby Alan wciąż ich gonił, aż wreszcie usłyszeliśmy, jak skaczą na łeb na szyję w dół, do kubryku, i zatraskują luk za sobą.

Kajuta przypominała jatkę: trzy trupy leżały wewnątrz i jeden konający na progu. My nie odnieśliśmy jednak żadnych obrażeń.

Alan podszedł do mnie z otwartymi ramionami. - Davie - zawołał - pójdz w moje objęcia! - Uściskał mnie i ucałował w oba policzki. - Davie - rzekł - kocham cię jak brata. - I zaraz potem wykrzyknął jakby w ekstazie: - Powiedz no, mój chłopcze, czy nie chwacki ze mnie rębacz?

Odwrócił się ku czterem leżącym wrogom, przebił każdego z nich szablą na wylot i kolejno powyrzucił za drzwi.

Czyniąc to, mrucał do siebie, gwizdał i nucił coś, jak człowiek usiłujący przypomnieć sobie melodię. Okazało się, że próbował ułożyć nową. Twarz jego mieniła się rumieńcem, a oczy błyszczały jak u pięcioletniego dziecka na widok nowej zabawki. Usiadł wreszcie przy stole z szablą w rękę. - Melodia, której wciąż szukał, zaczęła kształtować się w jego ustach, aż wreszcie rozpoczął wielkim głosem szkocką pieśń.

Przetłumaczyłem poniżej dla was jedną zwrotkę, nie wierszem, bo kiepski ze mnie wierszokleta, ale przynajmniej na dobry język angielski. Alan śpiewał ją później często i pieśń zyskała niemałą popularność. Toteż słyszałem ją nieraz i wielokrotnie tłumaczono mi jej pochodzenie.

*Oto pieśń o szabli Alana,*

*Sławiąca jej płatnerza*



*I ogień, co ją wykuł;*

*O szabli lśniącej w ręku Alana Breck.*

Ta pieśń skomponowana przez niego (był autorem zarówno słów, jak i melodii) odrobinę krzywdziła mnie, który stałem u jego boku w potrzebie. Pan Shuan i pięciu innych padło na miejscu lub odniosło śmiertelne rany, z tego dwóch z mojej ręki, gdy wchodzili przez luk w dachu kajuty. Ponadto raniliśmy czterech, a z tych jeden, i to nie najpośledniejszy, ode mnie dostał kulę. Tak więc, razem wzięwszy, miałem niezły udział zarówno w zadawaniu śmierci, jak ran, i mógłbym się domagać uwzględnienia mojej osoby w wierszach Alana. Lecz poeci, jak mi to kiedyś powiedział pewien mądry człowiek, muszą myśleć przede wszystkim o rymach, a przyznaję, że Alan, gdy mówił prozą, zawsze oddawał mi co najmniej sprawiedliwość.

Wówczas jednak nieświadomy byłem jakiegokolwiek niesprawiedliwości, bowiem nie rozumiałem ani słowa po szkocku, a długie i pełne napięcia oczekiwanie, szybkość zdarzeń i wysiłek dwóch stoczonych przez nas walk tak mnie wyczerpały, że gdy tylko zdałem sobie sprawę, iż nic już nam nie grozi, opadłem z ulgą na stołek. W piersiach odczuwałem taki ucisk, że ledwie mogłem oddychać, a myśl o dwóch zastrzelonych przeze mnie istotach ludzkich gnębiła jak zmora. Nagle, zanim zdołałem to sobie uświadomić, zacząłem płakać i łkać jak dziecko.

Alan poklepał mnie po ramieniu i rzekł: - Jesteś odważnym chłopcem i niczego ci nie potrzeba teraz prócz snu. Ja obejmę pierwszą wachtę. Dobrze się spisałeś, Davie, i nie chciałbym ciebie utracić, nawet gdyby mi ofiarowano nie tylko całe Appin, ale i Breadalbane.

Przygotował mi legowisko na podłodze, sam zaś czuwał, z pistoletem w ręku i szablą na kolanach, przez trzy godziny według kapitańskiego zegara na ścianie. Potem obudził mnie i czuwałem kolejno trzy godziny. Przed ich upływem rozwidniło się zupełnie i nastał bardzo cichy poranek.

Gładkie morze kołysało lekko brygiem z boku na bok, przez co krew na podłodze kajuty spływała to w jedną, to w drugą stronę, a deszcz bębnił po dachu. Nie wydarzyło się też nic groźnego; tylko słysząc uderzenia steru o burty brygu domyśliłem się, że nie ma nikogo przy sterownicy. Istotnie, jak się później dowiedziałem, tylu z członków załogi poniosło śmierć lub rany, a reszta była tak rozwścieczona, że pan Riach i kapitan musieli czuwać kolejno, jak Alan i ja, bo inaczej fale mogłyby znieść bryg aż na wybrzeże i nikt by tego w porę nie zauważył. Była to nader szczęśliwa dla nas okoliczność, że wiatr opadł z nastaniem deszczu i noc była prawie bezwietrzna. Jednak z kwilenia bardzo licznych mew,

krążących za zdobyczą dokoła statku, wywnioskowałem, że zdryfowaliśmy aż w pobliże którejś z Wysp Hebrydzkich i wreszcie, patrząc przez drzwi kajuty, dojrzałem po prawej ręce wielkie, kamienne pagórki wyspy Skye i dalej nieco, dziwaczne kontury wyspy Rum.

## XI. Poddanie się kapitana

Zasiedliśmy z Alanem do śniadania około godziny szóstej. Podłoga w kajucie była zasłana odłamkami szkła i zakrwawiona tak okropnie, iż straciłem wszelką ochotę do jedzenia. Pod każdym innym względem nasze położenie było korzystne, a nawet przyjemne. Po wypędzeniu oficerów z ich własnej kajuty, mogliśmy rozporządzać całym zapasem trunków na statku, zarówno wina, jak i mocniejszych, najlepszą żywnością, a więc marynowanymi jarzynami i dobrym gatunkiem sucharów. To już wystarczało, aby nas wprawić w dobry humor; najzabawniejsze jednak było to, że dwie największe moczygęby (pan Shuan już nie żył), jakie kiedykolwiek opuściły szkockie wybrzeże, zmuszone były do przebywania na dziobie statku i skazane na rzecz najbardziej przez nich znienawidzoną - zimną wodę.

- Możesz mi wierzyć - mówił Alan - nie upłynie wiele czasu, a dadzą nam znać o sobie. Zdołasz powstrzymać człowieka od zwady, ale nie od butelki.

Uznaliśmy się za bardzo dobrane towarzystwo. Alan przemawiał do mnie jak najserdeczniej i wzięwszy nóż ze stołu odciął jeden ze srebrnych guzików od swego surduta.

- Mam je - rzekł - po moim ojcu, Duncanie Stewart, i teraz ofiarowuję ci jeden na pamiątkę twego udziału w tym, co zaszło dzisiejszej nocy. Gdziekolwiek się znajdziesz i pokażesz ten guzik, przyjaciele Alana Breck przyjdą ci z pomocą.

Powiedział to takim tonem, jak by był Karolem Wielkim i stał na czele wielu armii. A chociaż podziwiałem zawsze odwagę Alana, śmiałem się jednocześnie w duchu z jego próżności - ale tylko w duchu, bo inaczej, strach pomyśleć, jak straszna kłótnia mogłaby z tego wyniknąć.

Po śniadaniu Alan zaczął szperać w szafie kapitana, aż znalazł szczotkę do odzieży, po czym, zdjawszy surdut, zabrał się do badania swego przyodziewku i oczyszczania go z plam, tak starannie i pracowicie, jak zdawało mi się, czynią to zazwyczaj tylko kobiety. Co prawda nie miał innego, a poza tym, jak mówił, jego strój był własnością króla, należało więc dbać o niego po królewsku.

Widząc jak starannie wypruwa nitki w miejscu, w którym odciął uprzednio guzik, zacząłem bardziej cenić jego podarunek.

Był nadal zajęty czyszczeniem, gdy z pokładu rozległo się wołanie pana Riach, zapraszające do układów. Wylazłem więc przez luk i usiadłszy na dachu kajuty z pistoletem w rękę i gęstą miną - chociaż w duchu dosyć zaniepokojony bliskością rozbitego szkła - poprosiłem, by wytłumaczył, o co mu chodzi. Podeszedł do kajuty i stanął na zwoju lin, tak iż

podbródek miał na poziomie dachu. Przez dłuższą chwilę spoglądaliśmy na siebie wzajemnie i w milczeniu. Pan Riach nie brał widocznie zbyt czynnego udziału w bitwie, nie poniósł bowiem większego szwanku, poza uderzeniem w policzek. Wyglądał jednak na strapionego i bardzo zmęczonego. Całą noc był na nogach bądź na wachcie, bądź opatrując rannych.

- Bardzo źle się stało - rzekł wreszcie, smętnie kiwając głową.

- To nie my doprowadziliśmy do tego.

- Kapitan chciałby pomówić z twoim przyjacielem. Mogliby to uczynić przez okno.

- A skąd mamy wiedzieć, że on nowej zdrady nie knuje?

- Nie myśli o tym, Davie, a gdyby nawet, to, powiadam ci szczerą prawdę, nasi ludzie nie chcieliby go słuchać.

- Co też pan mówi?

- Powiem ci więcej. Nie tylko załoga, ale i ja mam tego dosyć. Boję się go, Davie... - i uśmiechał się do mnie. - My chcemy tylko być z dala od niego.

Po naradzie z Alanem wyraziliśmy zgodę na układy; obie strony zobowiązały się słowem nie działać zaczepnie, aż do ich zakończenia. Jednakże pan Riach miał inną jeszcze do nas sprawę: zaczął mnie błagać o wódkę z takim naleganiem i przypominaniem okazywanej mi w swoim czasie życzliwości, że wreszcie podałem mu kubek zawierający około pół kwarty. Wypił część i zaniósł resztę na pokład, aby, jak sądzę, podzielić się z przełożonym.

Wkrótce kapitan - wyraziliśmy na to zgodę - podszedł do jednego z okien kajuty i stał na deszczu z ręką na temblaku. Był tak błydy, zafrasowany i wyglądał tak staro, iż serce mnie zabolalo na myśl, że strzelałem do niego.

Alan natychmiast przysunął pistolet do jego twarzy.

- Niech pan to podniesie! Dałem wszak słowo - rzekł kapitan. - Czy zamierza pan mnie znieważać?

- Kapitanie - odparł Alan - śmiem wątpić w wartość pańskiego słowa. Ostatniej nocy targowałeś się ze mną i wyklócałeś jak przekupka, po czym dałeś słowo i poparłeś je uściskiem dłoni. I wiesz bardzo dobrze, co z tego wynikło. Niech pana diabli wezmą z takim słowem.

- Przekleństwa na nic się nie zdadzą - istotnie tej wady kapitan nie miał zupełnie - chcę za to pomówić o innych sprawach. Naszatkował pan mięsa na moim brygu i mam teraz za mało rąk do jego obsługi, a pierwszy oficer, bez którego trudno mi się obejść, dostał pańską szablę w brzuch i bez słowa ducha wyzionął. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak

zawrócić do portu w Glasgow, gdzie będę mógł zwerbować marynarzy, a tam, za pozwoleniem, znajdą się tacy, którzy lepiej ode mnie potrafią z panem pogadać.

- Tak? Dalibóg będę im miał niejedno do opowiedzenia. Jeśli jest w tym mieście ktokolwiek mówiący po angielsku, będę miał dla niego nie lada gratkę: piętnastu usmolonych marynarzy po jednej stronie, a mężczyzna i niedorośle chłopię z drugiej. Szpetna to opowieść, mój panie!

Twarz kapitana poczerwieniła gwałtownie.

- Nie - mówił dalej Alan - to mi nie dogadza. Ma pan mnie dostawić na ląd, zgodnie z naszą umową.

- Mój pierwszy oficer nie żyje, wie pan o tym dobrze. Żaden z nas nie zna dokładnie tego wybrzeża, a jest ono bardzo niebezpieczne dla żeglugi.

- Daję panu do wyboru: dostaw mnie na ląd stały w Appin albo w Ardgour, w Morven, w Arisaig, w Morar, krótko mówiąc, gdziekolwiek się to panu spodoba, w promieniu trzydziestu mil od moich rodzinnych stron, wszędzie, tylko nie na ziemiach Campbellów. To jest rozległy cel podróży. Jeśli tego pan nie potrafi dokonać, okaże się pan równie kiepskim żeglarzem, jak jesteś żołnierzem. Przecież moi biedni rodacy na swoich maleńkich łodziach rybackich krążą od wyspy do wyspy, bez względu na pogodę, jak również nocą.

- Łódź rybacka to nie statek. Nie zanurza się głęboko w wodę.

- W takim razie płynmy do Glasgow. Tam dopiero wystawię pana na pośmiewisko.

- Nie mam wcale ochoty do śmiechu. Ale za to wszystko należeć mi się będą od pana pieniądze.

- Dobrze, nie jestem kurkiem na kościele. Trzydzieści gwinei, o ile dostawi mnie pan na wybrzeże, sześćdziesiąt - jeśli wyląduję w Linnhe Loch.

- Znajdujemy się zaledwie o parę godzin żeglugi od Ardnamurchan. Za sześćdziesiąt gwinei gotów jestem tam pana dostawić.

- Po to, żebym tam wpadł prosto w ręce czerwonych kaftanów, co by panu niewątpliwie zrobiło nie lada przyjemność. Nie, panie, jeśli chcesz dostać sześćdziesiąt gwinei, musisz na nie zarobić i dostawić mnie do rodzinnych stron.

- To znaczy, panie, mam zaryzykować bryg i wraz z nim nasze życie?

- Wybór pozostawiam panu kapitanowi.

- Czy potrafi pan wskazać nam kierunek? - zapytał kapitan, marszcząc się i namyślając.

- To bardzo wątpliwe. Jestem raczej żołnierzem, jak się pan o tym sam przekonał, nie żeglarzem. Ale dosyć często lądowałem na tym wybrzeżu lub opuszczałem je w łodzi, powinienem więc znać nieco jego położenie.

Kapitan skrzywił się ponownie. Rozmyślał czas jakiś i rzekł wreszcie:

- Gdybym nie stracił tyle pieniędzy na tej nieszczęsnej podróży, zobaczyłbym wpierw pana na końcu sznura, nim naraziłbym mój bryg. Wszelako, zastosuję się do pańskich życzeń. Skoro tylko dostaniemy nieco wiatru - a jeśli się nie mylę, dąć już zaczyna - sterujemy w tę stronę. Jednakże chciałbym poruszyć jedną jeszcze sprawę. Możemy napotkać jakiś okręt królewski, który bez mojej winy dogoni nas, każe się zatrzymać i wyśle marynarzy tu na pokład, żeby sprawdzić cel naszej podróży. Oni strzegą pilnie tego wybrzeża, wie pan dobrze, dlaczego. Otóż, gdyby się tak stało, chciałbym, abyście pozostawili mi pieniądze.

- Kapitanie - odparł Alan - jeśli dojrzy pan ich banderę, pańska w tym głowa, aby umknąć. A teraz, ponieważ podobno cierpicie tam u was na niedostatek wódki, proponuję następującą zamianę: butelka wódki za dwa kubły wody.

Był to ostatni punkt naszych układów, który też został sumiennie dopełniony przez obie układające się strony. Mogliśmy dzięki temu z Alanem zmyć podłogę w kajucie i usunąć ślady po stoczonej przez nas walce, kapitan zaś i pan Riach mogli także pocieszyć się na swój sposób - to znaczy zaglądnąć do kieliszka.

## XII. Dowiaduję się o Czerwonym Lisie

Zanim zdołaliśmy oczyścić kajutę, podniosła się bryza od strony północno-wschodniej, przegnała deszcz i sprowadziła słońce.

Teraz muszę coś wytłumaczyć, a czytelnikowi przyda się rzut oka na mapę. Tego dnia, w którym zapadła gęsta mgła i zdruzgotaliśmy łódź Alana, płynęliśmy przez cieśninę Little Minch. Raniutko, zaraz po bitwie, znajdowaliśmy się w ciszy morskiej, na wschód od wyspy Canna lub pomiędzy nią a wyspą Eriska, należąca do archipelagu Wysp Hebrydzkich. Stamtąd do Linnhe Loch prosty kurs prowadzi wąską i długą cieśniną oddzielającą wyspę Mull od Szkocji właściwej. Lecz kapitan nie miał locji \* [\*Locja - (mapa morska) opis danego obszaru wodnego i jego wybrzeży z punktu widzenia potrzeb i warunków żeglugi.] i obawiał się żeglugi wśród wysp, a że wiatr był po temu pomyślny, wolał sterować na zachód od wyspy Tiree i opłynąć dokoła południowego wybrzeża wielkiej wyspy Muli.

Przez cały dzień bryza wiała pod tym samym kątem i wzmagala się raczej, niż zamierała, a około południa ukazała się martwa fala nadciągająca od północnych Wysp Hebrydzkich. Aby opłynąć dokoła południowych Wysp Hebrydzkich, wzięliśmy kurs na południo-zachód, tak że początkowo martwa fala uderzała prostopadle do osi statku i kołysanie boczne dało się nam bardzo we znaki. Lecz o zmroku, gdy opłynęliśmy wyspę Tiree i zaczęliśmy sterować bardziej na wschód, zwróciliśmy rufę prosto do fali.

Tymczasem pierwsza połowa dnia, nim napotkaliśmy martwą falę, upłynęła bardzo przyjemnie, żeglowaliśmy bowiem w pełnym blasku słońca i wśród wielu górzystych wysp widocznych z różnych stron. Siedzieliśmy z Alanem w kajucie, mając drzwi otwarte po obu stronach, i paliliśmy fajki nabite dobrym tytoniem kapitana. Wówczas to opowiedzieliśmy sobie wzajemnie nasze dzieje, co zwłaszcza dla mnie było ważne, dowiedziałem się bowiem coś niecoś o dzikim kraju szkockich górali, w którym miałem wkrótce wylądować. W czasach bowiem, po wielkiej rebelii wskazane było, aby człowiek zapuszczający się w pokryte wrzosowiskami wzgórze i góry wiedział, co czyni.

Pierwszy dałem przykład, opowiadając o mojej niedoli. Alan wysłuchał mnie bardzo skwapliwie, ale gdy wymieniłem nazwisko mego dobrego przyjaciela pana Campbella, pastora, wzdrygnął się i wykrzyknął, że nienawidzi wszystkich noszących to nazwisko.

- Ależ to jest człowiek - powiedziałem - którego dłoń można tylko z dumą uściskać.

- Nie oddałbym nigdy żadnemu Campbellowi jakiegokolwiek przysługi, chyba tylko za pomocą ołowianej kuli. Polowałbym na nich wszystkich jak na koguty pardwy. Nawet

konając, poczołgałbym się na kolanach do okna mej izby, gdybym mógł do któregoś z nich strzelić.

- Dlaczego tak nienawidzisz Campbellów?

- Wiesz dobrze, że należę do rodu Stewartów z Appin, a Campbellowie długo prześladowali i starali się zgnać wszystkich noszących to nazwisko. Tak, a nawet wydarli nam ziemię zdradziecko, bo z szablą w rękę im się to nie udało! - zawołał głośno i uderzył pięścią w stół.

Nie potraktowałem tego zbyt poważnie, wiedziałem bowiem, iż przegrywający zwykle tak twierdzą.

- Ale to nie wszystko - mówił dalej Alan. - Z nimi zawsze to samo, kłamliwe słowa, kłamliwe dokumenty, oszustwa godne kramarzy, kruczki prawnicze i wszelkiego rodzaju łotrostwa!

- Tak lekkomyślnie rozdajesz guziki, że trudno cię uznać za znawcę spraw pieniężnych.

- Ach - rzekł z uśmiechem - odziedziczyłem rozrzutność po tym, od którego mam te guziki. To jest po moim biednym ojcu, Duncanie Stewart, niech się Pan Bóg zlituje nad jego duszą! Ojciec mój był najdzielniejszym człowiekiem w naszym rodzie i najlepszym szermierzem w Górnej Szkocji \*. [\*Szkocja dzieli się na południowo-wschodnią, czyli Dolną (Lowlands), rolniczą i gęsto zaludnioną oraz na północno-zachodnią, czyli Górną (Highlands), bardzo górzystą, malowniczą, niedostępną i nieurodzajną. Górna Szkocja broniła się długo przed wpływami angielskimi.] A to znaczy tyle samo, co powiedzieć... w całym świecie. Wiem coś o tym, bo mnie uczył fechtunku. Zaciągnął się do Black Watch \*, [\*Black Watch - sławny pułk piechoty szkockiej, nadal istniejący, utworzony w 1725 roku.] gdy po raz pierwszy ten pułk zwerbowano, i jak inni dżentelmeni służący jako prości żołnierze, miał pacholika, który podczas marszów nosił za nim muszkiet. Otóż król chciał podobno zobaczyć na własne oczy, jak szkoccy górale władają szablą. Wybrano więc mego ojca oraz trzech innych i posłano do miasta Londynu, aby tam pokazali, co tylko umieją najlepszego. Zaprowadzono ich do pałacu, gdzie przez dwie godziny bez przerwy popisywali się swym kunsztem w obecności króla Jerzego, królowej Karoliny, „Rzeźnika” \* [\*„Rzeźnik” - książę Cumberland, Wilhelm August, trzeci syn króla Jerzego II, zwany „Rzeźnikiem” z powodu okrutnych represji w stosunku do szkockich górali i innych zwolenników dynastii Stewartów.] Cumberlanda i wielu innych dostojników, których nie pamiętam. A gdy skończyli, król, aczkolwiek był niecnym uzurpatorem, przemówił do nich łaskawie i dał każdemu do ręki po trzy gwinee. Wychodząc z pałacu musieli przejść przez bramę, w której



odźwierny miał swą siedzibę. Przyszło wtedy do głowy memu ojcu, że jest zapewne pierwszym przechodzącym przez tę bramę żołnierzem-dżentelmenem ze szkockich gór i że ów odźwierny winien się przekonać, z jak dobrze urodzonym ma do czynienia. Wsunął więc owe trzy otrzymane od króla gwinee do ręki odźwiernego, jak by to było stałym jego zwyczajem, a trzej pozostali, idący za nim, uczynili to samo. Tak więc, gdy znaleźli się na ulicy, nie mieli po tylu trudach ani grosza więcej niż poprzednio.

Są tacy, którzy powiadają, że to nie mój ojciec, ale ktoś inny tak obdarował odźwiernego w pałacu, ale prawdą jest, że uczynił to Duncan Stewart, i jestem gotów to dowieść z pistoletem lub szablą w ręku. Takiego miałem ojca, światłość wiekuista niech mu świeci!

- Nie sędzę, aby twój ojciec pozostawił ci znaczną schedę.

- To prawda, portki gwoli przykrycia nagości mojej i niewiele co więcej. I dlatego też zaciągnąłem się do wojska, co w najlepszych czasach było plamą na moim charakterze i byłoby nadal przykrą sprawą, gdybym się dostał w ręce czerwonych kaftanów.

- Jak to? Służyłeś w angielskim wojsku?

- Tak jest, ale zdezerterowałem na stronę broniącą słusznej sprawy, pod Prestonpans, i to jest pewną pociechą.

Trudno mi było podzielić tę opinię; uważałem bowiem dezercję z bronią w ręku za niewybaczalne skalenie honoru. Chociaż bardzo młody, byłem jednak wystarczająco rozsądny i nie wyjawiałem Alanowi moich myśli.

- Bój się Boga - rzekłem - za to ci grozi kara śmierci!

- Tak. I gdyby mnie schwytali, Alan zawisłby wkrótce na długim sznurze! Co prawda, mam w kieszeni patent oficerski króla francuskiego i to mogłoby mnie uratować.

- Bardzo wątpliwe.

- I ja tak sędzę - odrzekł kwaśno Alan.

- Na miłość boską, człowieku! Jesteś rebeliantem, banitą, dezzerterem i jurgieltnikiem króla francuskiego, cóż więc mogło cię skłonić do powrotu do ojczyzny? To wyzwanie rzucone Opatrzności!

- Tere, fere! Powracam tu co roku, od czterdziestego szóstego!

- Ale co cię do tego skłania, człowieku?

- Tęskno mi za przyjaciółmi i za krajem. Pięknie tam jest we Francji, ani chybi, ale markotno mi bez wrzosowisk i jeleni. A poza tym mam trochę spraw do załatwienia. Od czasu do czasu zabieram ze sobą paru chłopaków, to jest rekrutów, na służbę do króla

francuskiego i na tym zarabiam nieco pieniędzy. Ale przede wszystkim chodzi o sprawy mego wodza, Ardshiela.

- Myślałem, że twój wódz nazywa się Appin.

- Ardshiel jest kapitanem mego klanu - odpowiedział, ale nie wytłumaczył mi przez to bynajmniej, o co chodzi. - Otóż Ardshiel, który był przez całe życie wielkim człowiekiem, należy do królewskiego rodu i nosi królewskie nazwisko, upadł tak nisko, że zmuszony jest żyć we francuskim mieście jako uboga i nieznaczną osobą. Tego, który miał czterysta szabel na zawołanie, widziałem na własne oczy, jak kupował masło na targu i niósł je do domu zawinięte w chustkę. To jest nie tylko boleść i hańba dla nas, należących do tej samej rodziny i klanu. Oprócz niego są dzieci, przyszłość i nadzieja naszego Appin; w tym dalekim kraju trzeba je nauczyć czytać i trzymać szablę w garści. Dzierżawcy w Appin muszą płacić czynsze królowi Jerzemu, ale ich serca są nieugięte i pozostają wierni swemu wodzowi. Przywiązanie do niego, odrobina przymusu, a czasem trochę pogroźek, to wszystko sprawia, że ci biedacy ciułają drugi czynsz dla Ardshiela. Otóż, Davie, ja jestem jego wysłannikiem i moim zadaniem jest dostarczyć mu te czynsze do Francji - uderzył się w trzos u pasa, aż zabrzęczały monety.

- Czy dzierżawcy płacą obydwóm?

- Tak, obydwóm.

- Jak to? Płacą podwójny czynsz?

- Tak. Przedstawiłem to nieco inaczej twemu kapitanowi, ale taka jest prawda. I pełen jestem podziwu, jak niewiele przymusu trzeba stosować. Zajmuje się tym mój dobry krewniak i przyjaciel mego ojca, James of the Glens - to jest James Stewart, przyrodni brat Ardshiela. On to zbiera pieniądze i wszystkim zarządza.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Jamesie Stewarcie, który stał się bardzo sławny później, gdy go skazano na powieszenie. Nie zwróciłem wówczas większej uwagi na to nazwisko, gdyż rozmyślałem nad wspaniałomyślnością biednych górali.

- Ja to nazywam szlachetnością! - zawołałem. - Chociaż jestem Whigiem lub kimś niewiele lepszym, ale nazywam to szlachetnością!

- Tak - odrzekł Alan - jesteś Whigiem, ale i dżentelmenem, dlatego więc tak sądzisz. Gdybyś był jednym z przekłętej rasy Campbellów, zgrzytałbyś zębami słysząc o tym, a gdybyś był Czerwonym Lisem... - Alan zacisnął zęby na wspomnienie tego nazwiska i umilkł. Wiele widziałem w życiu groźnych twarzy, ale nigdy groźniejszej od twarzy Alana, kiedy wspominał o Czerwonym Lisie.

- Kim jest ten Czerwony Lis? - zapytałem onieśmielony, lecz nadal ciekawy.

- Kim jest? Zaraz ci na to odpowiem. Gdy wojownicy klanów zostali pobici pod Culloden i legła słuszna ich sprawa, a konie skąpane były aż po pęciny w najlepszej krwi północy, Ardshiel musiał jak jeleni uciekać w góry - on, jego żona i dzieci. Namęczyliśmy się niezgorzej, zanim zdołaliśmy wsadzić ich na okręt. A kiedy Ardshiel ukrywał się jeszcze we wrzosowiskach, już angielskie zbiry, nie mogąc go uśmiercić, uderzyli w jego prawa i pozbawiwszy władzy zagarnęli jego ziemie, rozbroili członków jego klanu, a nosili oni broń od wieków trzydziestu, ba, nawet zdarli im odzież z grzbietów. Wszak teraz noszenie pledów z tartanu \* [\*Tartan - gruba tkanina wełniana w kratę, złożona z różnobarwnych pasów niejednakowej szerokości. Barwy tych pasów oraz ich tła są różne - w zależności od klanów. Każdy klan ma swój odrębny, jemu tylko przysługujący tartan.] jest grzechem i człowiek może znaleźć się w więzieniu za to tylko, że mu się kilt \* [\*Kilty - są to noszone przez mężczyzn w Szkocji krótkie spódniczki do kolan, gęsto plisowane, sporządzane z tartanu.] po nogach płacze. Lecz jednego zabić nie mogli: miłości członków klanu do wodza. Te gwinee są tego dowodem. A teraz opowiem ci o jednym z Campbellów, rudowłosym Colinie z Glenure...

- Więc dlatego nazywasz go Czerwonym Lisem?

- Ach, gdybyś mógł mi jego kitę dostarczyć! - zawołał buńczucznie Alan. - Tak, to jego mam na myśli. On dostał od króla Jerzego papiery mianujące go pełnomocnikiem królewskim na ziemiach Appin. Na początku śpiewał cienko i był za pan brat z Jamesem of the Glens, agentem mego wodza. Ale pomału doszło do jego uszu to, co ci powiedziałem, że biedni prostaczkowie z Appin: chłopci, czynszownicy i dzierżawcy nie oszczędzają nawet swych pledów, aby wycisnąć drugi czynsz i posłać go Ardshielowi i jego dzieciom. Jak ty to nazwałeś?

- Szlachetnością.

- Otóż właśnie! A jesteś przecież kimś nieco tylko lepszym od zwykłego Whiga. Ale gdy się o tym Colin Roy dowiedział, zawrzała w nim nikczemna krew Campbellów. Siedział przy stole popijając wino i zgrzytał zębami. Jak to? Stewart miał dostawać pieniądze na kawałek chleba, a on nie potrafiłby temu przeszkodzić? Ach, Czerwony Lisie, jeśli kiedykolwiek się znajdziesz naprzeciw mojej lufy, niech się Bóg nad tobą zlituje! Alan zamilkł na chwilę, taka dławiała go wściekłość.

Czy wiesz, Davie, co on zrobił? Ogłosił, że wszystkie farmy są do wynajęcia, i knował w swym podłym sercu, że znajdą się wkrótce dzierżawcy, którzy gotowi będą płacić wyższe czynsze niż Stewartowie, Maccollowie, Macrobowie (to są wszystko nazwiska rodzin

należących do mego klanu). - A wtedy - tak sobie myślał - Ardshiel będzie musiał zebrać z czapką w rękę na francuskich gościach.

- I cóż z tego wynikło?

Alan odłożył fajkę, od dawna już zgasłą, i złożył obie ręce na kolanach.

- Nigdy się nie domyślisz! - rzekł. - Otóż ci sami Stewartowie, Maccollowie, Macrobowie (którzy płacili dwa czynsze: jeden królowi Jerzemu, z ciężkiego przymusu, drugi Ardshielowi, z dobroci serca) podjęli się płacić wyższe czynsze niż którykolwiek z Campbellów z całej Szkocji, po których daleko musiał posyłać, bo aż po brzegi Clyde i okolice Edynburga. Szukał ich, prosił i namawiał, by przybyli tam, gdzie można zmusić Stewarta do przymierania głodem i ukontentować tym czerwonogłowego niecnotę Campbella!

- Dziwna to jest opowieść, Alanie, i piękna zarazem. A chociaż jestem Whigiem, cieszę się z przegranej tego człowieka.

- Przegranej? Jakże mało znasz Campbellów, a jeszcze mniej Czerwonego Lisa! On miałby przegrać?! Nie stanie się to, dopóki krwią swą nie zrosi on naszych pagórków. Lecz jeśli nadejdzie dzień, gdy będę miał czas i sposobność, żeby zapolować nieco, w całej Szkocji nie starczy wrzosowisk, aby go ukryć przed moją zemstą!

- Alanie, rzucanie gniewnych słów nie jest ani bardzo rozsądnym, ani bardzo chrześcijańskim postępowaniem. Nie zaszkodzą one człowiekowi, którego nazywasz Czerwonym Lisem, a tobie nic dobrego nie przyniosą. Powiedz mi po prostu, co on zrobił?

- Słuszna to jest uwaga, Davie, gdyż zaiste jemu to nie zaszkodzi. Tym bardziej ubolewać nad tym należy! I pomijając to, co powiedziałeś o chrześcijaństwie - moja opinia o tym jest całkiem odmienna, inaczej bowiem nie byłbym chrześcijaninem - podzielam twoje zdanie.

- Cokolwiek byś o tym mniemał, znaną jest jednak rzeczą, że chrześcijaństwo zabrania zemsty.

- Widać od razu, że Campbell był twoim nauczycielem. Takim jak oni byłoby bardzo na rękę, gdyby nie istniało nic takiego jak chłopak ze strzelbą za krzakiem. Ale nie o to chodzi. Oto, co uczynił Czerwony Lis...

- Tak, o tym właśnie mi opowiedz.

- Ponieważ uczciwym sposobem nie mógł się pozbyć wiernych prostaczków, zaprzysiągł, że osiągnie to nieuczciwą drogą. Ardshiel musi głodować! To było celem Czerwonego Lisa. A skoro ci, którzy żywili Ardshiela na wygnaniu, nie dali się podkupić, postanowił ich tak czy inaczej - wykurzyć. Postarał się więc o prawników, o dokumenty i o

poparcie czerwonych kaftanów. Doprowadził do tego, że zacni ludzie z naszych okolic pakować muszą całą swą chudobę i wędrować, gdzie oczy poniosą. Syn opuszcza dom ojca i miejsce, w którym się wychował, wyżywił i gdzie igrał jako młode pacholę. I któż ma po nich nastąpić? Bosonogie żebractwo! Król Jerzy może sobie gwizdać na czynsze, może się bez nich obejść, cieniem chleb masłem smarować! Ale o co chodzi Czerwonemu Lisowi? Jeśli uda mu się dokuczyć Ardshielowi - w to mu graj! Jeśli uda mu się zgarnąć strawę ze stołu mego wodza i wyrwać zabawki z rąk jego dzieci - to raduje najbardziej Czerwonego Lisa!

- Pozwól mi coś powiedzieć - wtrąciłem. - Otóż możesz być pewny, że jeśli wpływają mniejsze czynsze, dzieje się to za zgodą rządu. To nie jest wina Campbella, który tylko wykonuje rozkazy. I gdybyś jutro go zabił, cóż byś na tym zyskał? Szybko, co koń wyskoczy, pojawi się inny pełnomocnik i obejmie jego obowiązki.

- W bitwie jesteś dobrym kompanem, ale whigowska krew w tobie płynie.

Powiedział to dosyć uprzejmie, lecz tyle było złości kryjącej się w jego słowach, że wolałem zmienić przedmiot rozmowy i wyraziłem zdumienie, iż człowiek w jego położeniu może się swobodnie poruszać w kraju pełnym wojska i strzeżonym jak obleżone miasto.

- Łatwiejsze to, niżli ci się wydaje - odpowiedział Alan. - Nagie zbocze górskie jest podobne do drogi. Gdy natkniesz się na wartownika pilnującego jednej strony - możesz przejść z drugiej. Nie lada pomocą są wrzosowiska... I wszędzie znajdują się przyjaciele, domostwa przyjaciół, ich kopy siana i obory. A ponadto, gdy ludzie mówią, że dana okolica pokryta jest wojskiem, nie więcej w tym prawdy niż w niejednym przysłowiu. Żołnierz tyle ziemi zajmuje, ile się mieści pod jego podeszwą. Zdarzyło mi się łowić ryby, gdy wartownik stał po drugiej stronie kotliny... i złapać pięknego pstrąga. Siedziałem już w krzaku wrzosowym o sześć stóp od żołnierza i nauczyłem się naprawdę ładnej melodii, którą ten pogwizdywał. Ot, tak - i zaczął gwizdać.

- Poza tym - ciągnął dalej - nie jest już teraz tak źle, jak bywało w roku czterdziestym szóstym. Górna Szkocja została, jak to oni powiadają, spacyfikowana. Nic w tym dziwnego, skoro nie znajdziesz nigdzie flinty czy szabli, od Cantyre do przylądka Wrath, z wyjątkiem tych, które roztropni ludzie pochowali w strzechach! Chciałbym jednak wiedzieć, Davie, jak długo to potrwa? Jak długo, twoim zdaniem, skoro tacy ludzie jak Ardshiel przebywają na wygnaniu, a tacy jak Czerwony Lis siedzą, żłowiąc wino, i prześladują biedotę w jej własnym kraju. Trudno odgadnąć, co ludzie gotowi są znieść, a na co przystać nie mogą albo dlaczego Czerwony Lis rozjeżdża konno po moich rodzinnych stronach i nie znalazł się dotychczas żaden dzielny chłopak, by go poczęstować kulą.

Alan popadł w zadumę i siedział długo, zasępiony i milczący.

Dodam, co mam jeszcze do powiedzenia o moim przyjacielu. Był on bardzo biegły we wszelkiego rodzaju muzyce, a zwłaszcza w grze na kobzie, i cenionym poetą we własnym, to jest szkockim języku. Przeczytał sporo francuskich i angielskich książek. Był świetnym strzelcem, dobrym rybakiem i doskonałym szermierzem władającym równie dobrze szpadą jak szablą - narodową bronią górali. Jeśli chodzi o wady, miał je wypisane na twarzy i wszystkie znałem na wylot. Najgorszą z nich była dziecinna skłonność do obrażania się i wywoływania kłótni i zwad, nad którą starał się przy mnie panować ze względu na bitwę wspólnie stoczoną w kajucie. Nie wiem tylko, czy dlatego, że się w niej dobrze spisałem, czy też dlatego, że byłem wtedy świadkiem jego wyczynów znacznie moje przewyższających, bo chociaż Alan cenił wysoko męstwo innych, podziwiał najbardziej okazywane przez Alana Breck.

### XIII. Zatonięcie brygu

Dawno już noc zapadła i było tak ciemno, jak jest możliwe o tej porze roku (to znaczy nadal zupełnie widno), gdy Hoseason wetknął głowę w drzwi kajuty.

- Niech pan wyjdzie - rzekł do Alana - i spróbuje nas pilotować.

- Czy to aby nie jedno z pańskich krętactw? - odrzekł Alan.

- Czy wyglądam na to? Mam inne kłopoty na głowie, mój bryg jest w niebezpieczeństwie!

Jego zafrasowana twarz, a zwłaszcza ostry ton, gdy mówił o swym brygu, wskazywały nam ponad wszelką wątpliwość, że był najzupełniej szczery, toteż Alan i ja wyszliśmy na pokład nie obawiając się zdrady.

Księżyc w pełni świecił jasno, a niebo było czyste i sporo dziennego światła błąkało się jeszcze na nim. Dał przejmujący, zimny wiatr. Płynęliśmy dokoła południowo-zachodniego cypla wyspy Muli, której wzgórza i przewyższająca je wszystkie góra Ben More, otoczona na szczytach smugami mgły, widoczne były na lewo od naszego kursu. Aczkolwiek płynęliśmy mając wiatr z boku, Covenant rwał szybko naprzód, kołysząc się wzdłużnie, goniony przez martwą falę z zachodu. Nic tej nocy nie zdawało się zagrażać statkowi i zacząłem się zastanawiać, co tak niepokoiło kapitana, gdy nagle bryg znalazł się na grzbiecie wysokiej fali i Hoseason krzyknął do nas, na coś wskazując.

Na podwietrznej stronie, niedaleko dzioba, coś na kształt fontanny wzniosło się ponad oświecone księżycowym blaskiem morze i natychmiast potem usłyszeliśmy głuchy huk.

- Jak pan to nazywa? - zapytał ponuro kapitan.

- Morzem bijącym o rafy - odpowiedział Alan. - Teraz wie pan przynajmniej, gdzie się rafa znajduje, o cóż więc chodzi?

- O to, że raf jest tutaj więcej.

I rzeczywiście, gdy wypowiadał te słowa, druga fontanna ukazała się dalej na południu.

- Sam pan widzi - rzekł kapitan. - Gdybym wiedział o istnieniu tych raf i miał locję lub gdyby Shuan żył jeszcze, nie zaryzykowałbym brygu na takie wody pełne skał ani za sześćdziesiąt, ani za sześćset gwinei. Ale miał pan nas pilotować i gdzie jest pańskie słowo?

- Wydaje mi się - rzekł Alan - że to są tak zwane Torran Rocks.

- Czy daleko się ciągną?

- Doprawdy, panie kapitanie, nie jestem pilotem, ale coś mi się płacze po głowie, że jest tego dziesięć mil.

- Przypuszczam, że istnieje jakiś kanał pomiędzy nimi?

- Na pewno, ale gdzie? Wydaje mi się znowu, że gdzieś bliżej lądu.

- Tak? - rzekł kapitan. - W takim razie, panie Riach, musimy dopłynąć, jak tylko zdołamy, najbliższej półwyspu Muli; wtedy ląd będzie nas zasłaniał od wiatru, a ten kamienisty cmentarz pozostanie na naszej podwietrznej. Ale skorośmy już tutaj zabrnęli, musimy pchać się dalej.

Po czym rzucił rozkaz sternikowi i posłał Riacha na mars \* [\*Mars - platforma łącząca pień masztu ze stengą, czyli środkową częścią masztu.] fokmasztu. Tylko pięciu ludzi załogi, łącznie z oficerami, w tym dwóch rannych, znajdowało się na pokładzie: tylu zaledwie zdolnych było do pracy - reszta bowiem nie mogła lub nie chciała spełniać swych obowiązków. Toteż, jak powiadam, pan Riach musiał się sam wdrapać na maszt; usadowiwszy się tam, rozglądał się dokoła i wołał na pokład o wszystkim, co dostrzegł.

- Morze jest spienione na południu! - zawołał po chwili. - Wydaje się być gładsze bliżej lądu!

Kapitan zwrócił się do Alana: - Spróbujemy się trzymać pańskich wskazówek, ale sądzę, że moglibyśmy z równym powodzeniem powierzyć nasze losy ślepemu skrzypkowi wędrownemu. Módlmy się, abyś miał rację!

- Modłę się i ja - rzekł do mnie Alan. - Ale gdzieś o tym przecież slyszalem? Ha, cóż, co się ma stać, niech się stanie.

W miarę jak okrążaliśmy cypel, zbliżając się do lądu, rafy podwodne zaczęły się pojawiać tu i ówdzie, wprost przed nami i pan Riach raz po raz krzyczał z góry o zmianę kursu. Niekiedy czynił to w ostatniej chwili. Jedna z raf znalazła się tak blisko nawietrznej strony brygu, że gdy w nią uderzyła fala, część bryzgów opadła na pokład i zmoczyła nas jak deszcz.

Noc była jasna i widzieliśmy te niebezpieczeństwa równie wyraźnie, jak w świetle dziennym, przez co wydawały się jeszcze bardziej przerażające. Widziałem również dokładnie twarz kapitana stojącego koło sternika, przerzucającego - w miarę kołysania się statku - ciężar ciała z jednej nogi na drugą, chuchającego w dłonie, lecz wciąż czujnego i nieugiętego jak stal. Chociaż ani on, ani pan Riach nie okazywali zbytnej odwagi w walce, przekonałem się jednak, że obaj, gdy w swoim żywiole, byli mężnymi ludźmi, i podziwiałem ich tym bardziej, że Alan już zbladł ze strachu.

- Dawie, mój chłopcze - mówił - to nie jest rodzaj śmierci, który by mnie odpowiadał.

- Czyżbyś się bał, Alanie?

- Nie - odrzekł zwilżając wargi - ale przyznasz sam, że byłby to zimny koniec.



Wówczas właśnie, coraz to zmieniając kurs, aby uniknąć raf podwodnych, ale trzymając się wciąż blisko wiatru, i lądu, przebrnęliśmy dokoła wyspy Iona i zaczęliśmy płynąć równoległe do wybrzeża wyspy Muli. Fale przyływu biegły tu z wielką siłą i rzucały brygiem na wszystkie strony. Dwóch marynarzy stanęło u steru i sam Hoseason pomagał im w razie potrzeby.

Dziwny to był widok: trzech mężczyzn rzucających cały swój ciężar na sterownicę, która jak żywe stworzenie odpychała ich i stawiała opór. Fale te stanowiłyby wielkie niebezpieczeństwo, gdyby morze nie było od pewnego czasu wolne od raf. Pan Riach zapowiedział z góry, że widzi gładką wodę przed nami.

- Miał pan rację - rzekł kapitan do Alana. - Uratował pan bryg, będę o tym pamiętał, gdy nadejdzie pora rozrachunków.

Jestem przekonany, że mówił szczerze i byłby tak postąpił, bowiem w skali uczuć kapitana Covenant zajmował poczesne miejsce.

Jest to jednak tylko przypuszczenie, gdyż wypadki potoczyły się inaczej, niż przewidywał.

- Ster w lewo o rumb \*! [\*Rumb - część horyzontu, jeden z 32 kierunków kompasu.] - krzyknął pan Riach. - Rafa na nawietrznej.

W tym właśnie momencie fala przyływu pochwyciła bryg i obróciła go znosząc wiatr z żagli. Statek zakręcił się i w następnej chwili uderzył w rafę z takim impetem, że padliśmy plackiem na pokład, a pan Riach o mało nie zleciał z masztu.

Po chwili byłem już na nogach. Rafa podwodna, na którą się natknęliśmy, znajdowała się przy południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy Muli, przed małą wyspą zwaną Earraid, czerniejącą nisko nad wodą opodal nas, za lewą burtą. Chwilami fala przewalała się przez pokład ponad naszymi głowami, chwilami zaś podnosiła nieszczęsny statek i ciskała nim o rafę, aż słyhać było łoskot druzgotanych belek. Na domiar tego głośne trzaskanie żagli, wycie wichru, piana morska bryzgająca zewsząd w świetle księżyca oraz poczucie niebezpieczeństwa tak mnie oszołomiły, że straciłem głowę i zaledwie mogłem zrozumieć, co się dokoła mnie dzieje.

Dojrzałem wreszcie pana Riach i marynarzy borykających się przy spuszczeniu łodzi i wciąż ogłupiały, podbiegłem, aby im pomóc. Gdy tylko ręce wzięły się do roboty, rozjaśniło mi się w głowie.

Spuszczenie łodzi nie było łatwym zadaniem, znajdowała się bowiem w środku pokładu, wypełniona żeglarskim sprzętem. Uderzenia większych fal zmuszały nas nieustannie

do chwytania lin, inaczej bowiem nie utrzymalibyśmy się na pokładzie. Pomiędzy jednym a drugim uderzeniem fali harowaliśmy jak konie.

Tymczasem ranni, którzy mogli się poruszać o własnych siłach, powyłazili z luku na przednim pokładzie i zaczęli nam pomagać, inni natomiast leżeli bezradnie w kojach i przerażali mnie wrzaskiem i błaganiami o ratunek.

Kapitan nie brał w tym wszystkim udziału i był zupełnie ogłupiały. Stał, trzymając się olinowania, i jęczał głośno za każdym uderzeniem statku o rafę. Bryg był dla niego żoną i dzieckiem; mógł patrzeć codziennie, jak znęcają się nad nieszczęsnym Ransome'em, lecz gdy chodziło o bryg, wydawało się, że odczuwa te same co statek cierpienia.

Gdyśmy się zmagali z łodzią, pamiętam tylko, jak spoglądając na wybrzeże zapytałem Alana, co to są za okolice, na co mi odpowiedział, że dla niego najgorsze ze wszystkich na świecie, były to bowiem ziemie Campbellów.

Kazaliśmy jednemu z rannych marynarzy zważać na morze i ostrzegać nas przed zbliżającymi się falami. Łódź była już prawie gotowa do spuszczenia, gdy ów marynarz krzyknął przeraźliwie: - Na miłość boską! Trzymajcie się!

Z tonu jego głosu zrozumieliśmy, że stanie się coś niezwykłego. Istotnie, zaraz potem zwała się na nas tak ogromna fala, że podniosła cały bryg i pochyliła go na bok. Nie wiem, czy okrzyk ten zabrzmiał zbyt późno, czy też zbyt słabo trzymałem się olinowania, dość, że przy nagłym pochyleniu statku zostałem wyrzucony za burtę, prosto w morze.

Zanurzyłem się i napiłem sporo wody, a wynurzywszy się na chwilę dojrzałem blask księżyca, po czym znowu znalazłem się pod wodą. Powiadają, że człowiek tonie ostatecznie za trzecim zanurzeniem. W takim razie jestem ulepiony z innej gliny niż reszta ludzi, gdyż wolałbym nie pisać, ile razy zapadałem się pod wodę i wynurzałem ponownie. Morze rzucało mną, tłukło, dławiło i połykało całego, a to wszystko tak skotłowało moje myśli, że nie odczuwałem strachu ni troski.

Wreszcie uświadomiłem sobie, że trzymam się belki, i zaraz mi się lżej zrobiło.

Nagle znalazłem się w spokojnej wodzie i zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje.

Belka, której się uchwyciłem, okazała się wyrzuconą wraz ze mną w morze zapasową reją i byłem zdumiony, jak bardzo oddaliłem się od brygu. Zacząłem krzyczeć w stronę statku, ale było oczywiste, że znajduje się on poza zasięgiem głosu.

Bryg trzymał się jeszcze na rafie, lecz znajdowałem się zbyt daleko i zbyt nisko na wodzie, aby móc dojrzeć, co się dzieje na pokładzie i czy spuścili łódź.

Krzycząc w ich stronę dostrzegłem na przestrzeni dzielącej mnie od statku pasmo wody, na której nie było większych fal, lecz w poświacie księżyca widziałem, jak morze w tym miejscu najeżone wirami kłębi się i pieni. Chwilami całe to pasmo przesunęło się jak ogon żywego węża, chwilami zniknęło zupełnie, aby znowu zabłysnąć zwałem białej piany. Nie miałem pojęcia, co to za zjawisko, co wówczas jeszcze zwiększało moje przerażenie, teraz zaś wiem, że musiało to być przesilenie przyływu, które tak szybko mnie uniosło i ciskało okrutnie, aż wreszcie, jakby znużone tą zabawą, uniosło mnie i zapasową reję aż ku wybrzeżu.

Znajdowałem się w zupełnie spokojnej wodzie i zacząłem zdawać sobie sprawę, że człowiek może nie tylko utonąć, ale i umrzeć z zimna. Wybrzeże wyspy Earraid widoczne było opodal; w świetle księżyca mogłem dostrzec kępy wrzosów i połysk miki w skałach.

„Dziwne byłoby, gdybym nie zdołał tam dopłynąć” - pomyślałem sobie.

Nie miałem żadnej wprawy w pływaniu, bowiem w moich rodzinnych stronach Essen Water była małą rzeczką, położyłem się więc płasko na wodzie, trzymając się oburącz rei, i zacząłem kopać i przebierać nogami, aż stało się oczywiste, że posuwam się naprzód. Ciężka to była praca i okropnie powolna; po mniej więcej godzinie nieustannego miotania się w wodzie znalazłem się jednak dosyć daleko wewnątrz małej zatoki.

Morze tam było zupełnie gładkie i szum fal nie zakłócał ciszy. Księżyc świecił jasno i pomyślałem, że nigdy jeszcze nie widział tak rozpaczliwego pustkowi. Lecz był to ład stały i gdy wreszcie woda stała się tak płytka, że mogłem porzucić reję i iść, brodząc, do brzegu, nie wiem doprawdy, co górowało we mnie: zmęczenie czy radość. Zmęczony byłem zresztą i wdzięczny Bogu zarazem. Zmęczony jak nigdy przedtem i wdzięczny jak mi się to często, chcę wierzyć, zdarzało, ale nigdy z ważniejszych powodów.

#### XIV. Wysepka

W chwili wyjścia na ląd rozpocząłem najgorszy okres moich przygód. Minęła już północ i chociaż ląd osłaniał zatokę przed wiatrem, noc była bardzo chłodna. Nie odważyłem się usiąść, gdyż wydawało mi się, że zmarznę na śmierć, lecz zdjawszy buty i znudzony do ostateczności, chodziłem boso po piasku i usiłowałem się rozgrzać uderzając rękami po piersiach. Żaden dźwięk nie zdradzał obecności człowieka lub bydła; żaden kur nie zapiął, a przecież była to pora, kiedy budzą się one ze snu. Z dala dochodził tylko szum fal, co przypominało mi o niebezpieczeństwach czyhających na mego przyjaciela. Samotne błąkanie się nad morzem o tak wczesnej godzinie, na takim odludziu, budziło we mnie uczucie bardzo pokrewne przerażeniu.

Skoro tylko zaczęło świtać, włożyłem buty i wdrapałem się na pagórek - najcięższa to była wspinaczka w moim życiu - wpadając co chwila pomiędzy granitowe bloki lub skacząc z jednego na drugi. Zanim wygramoliłem się na szczyt, rozwidniło się zupełnie. Bryg zniknął bez śladu, musiał zatonąć, zniesiony z rafy przez fale. Nie dostrzegłem nigdzie łodzi ani jakiegokolwiek żagla na morzu, a w tej części lądu, którą mogłem objąć wzrokiem, nie widać było ani człowieka, ani domu.

Bąłem się myśleć o losie moich towarzyszy podróży; bąłem się również patrzeć dłużej na skalistą pustynię. Miałem i bez tego dosyć własnych trosk; przemoczona odzież, zmęczenie i głód boleśnie dawały mi się we znaki. Wyruszyłem więc na wschód, wzdłuż południowego brzegu, w nadziei znalezienia jakiegoś domu, w którym mógłbym się ogrzać, a może i dowiedzieć czegoś o rozbitkach. „W najgorszym wypadku - myślałem sobie - słońce wkrótce wszędzie i wysuszy mi odzież”.

Po pewnym czasie zagroziła mi drogę mała odnoga morska, wrzynająca się dosyć głęboko w głąb lądu, a że nie mogłem w żaden sposób przedostać się na drugą jej stronę, musiałem zmienić kierunek marszu, żeby ją obejść. Brnąłem dalej z największym trudem. Nie tylko wyspa Earraid, ale i cała najbliższa część półwyspu zwanego Ross jest tylko zwałiskiem granitowych skał porośniętych tu i ówdzie wrzosami.

Początkowo odnoga zwężała się, jak się tego spodziewałem, lecz wkrótce, ku memu zdziwieniu, zaczęła się znowu rozszerzać. Podrapałem się w głowę, wciąż jeszcze nie podejrzewając prawdy, aż wreszcie doszedłem do małego wzniesienia i wówczas zrozumiałem, że znajduję się na małej, bezludnej wyspie pozbawionej żyjących istot, odcięty od świata przez słone morze.

Zamiast słońca, które miało mnie wysuszyć, pojawił się deszcz i gęsta mgła. Moje położenie stawało się rozpaczliwe.

Stałem na deszczu skostniały, przemoczony i rozmyślałem, co dalej robić, aż przyszło mi do głowy, że odnoga może być płytka i uda mi się przebyć ją w bród. Powróciłem więc do najwęższego miejsca odnogi i wszedłem do wody, ale nie dalej niż trzy jardy od brzegu zanurzyłem się w niej powyżej uszu i jeśli zdołałem wyjść cało z tej opresji, zawdzięczam to bardziej miłosierdziu boskiemu niż własnej przezorności.

Na skutek tego niefortunnego wypadku byłem równie przemoczony jak przedtem (bardziej już być nie mogło), zimno dokuczało mi coraz dotkliwiej, a utracona nadzieja powiększyła jeszcze udrękę.

Wtem, zupełnie nagle, przypomniałem sobie o rei. Skoro dzięki niej utrzymałem się na falach przyływu i dopłynąłem do wyspy, mogłem się nią oczywiście posłużyć do przeprawy na drugi brzeg. Niezrażony, wyruszyłem z powrotem przez szczyt wysepki, aby reję odszukać i przynieść. Ciężka to była pod każdym względem wędrówka i gdyby nie podtrzymująca mnie nadzieja, upadłbym na ziemię i zrezygnował ze wszystkiego. Czy to z powodu soli zawartej w wodzie morskiej, czy też ogarniającej mnie gorączki, bardzo mnie gnębiło pragnienie i musiałem zatrzymywać się po drodze i pić zgniłą wodę z kałuż.

Dotarłem wreszcie do zatoki bardziej umarły niż żywy. Wydało mi się na pierwszy rzut oka, że reja znajduje się dalej na wodzie niż miejsce, w którym ją porzuciłem. Zanurzyłem się w morze po raz trzeci. Piasek na dnie był gładki i twardy; stopniowo opadał coraz niżej i mogłem się łatwo posuwać naprzód, aż do chwili, gdy woda dosięgła mi szyi i drobne fale pryskały w twarz. Wówczas to zacząłem tracić grunt pod nogami i bałem się iść dalej. Reja huśtała się spokojnie na wodzie, o jakie sześć jardów ode mnie. Trzymałem się dzielnie, ale teraz wróciwszy rozczarowany na brzeg, upadłem na piasek i zapłakałem.

Okres spędzony na wyspie jest dla mnie nadal tak okropnym wspomnieniem, że trudno mi się zdobyć na jego opisanie. We wszystkich czytanych przeze mnie książkach rozbitkowie i ludzie porzuceni samotnie na wyspach mieli zawsze pełne kieszenie narzędzi lub znajdowali skrzynię napełnioną różnym dobytkiem, wyrzuconą jak by celowo na nadbrzeżny piasek. Moja sytuacja była zupełnie inna. W kieszeniach nie miałem nic oprócz pieniędzy i srebrnego guzika ofiarowanego mi przez Alana, a ponieważ wychowałem się z dala od morza, doświadczenie moje szwankowało w tej samej mierze co środki.

Wiedziałem co prawda, że mięczaki są jadalne, a wśród skał wyspy znalazłem mnóstwo małżów, których początkowo nie umiałem odrywać od skał nie wiedząc, że należy to czynić szybkim ruchem. Dwa te rodzaje fauny morskiej złożyły się na moje wyłączne

pożywienie. Połykałem je na zimno i na surowo, a głód skłonił mnie do uznania ich za prawdziwy przysmak.

Nie wiem, czy to z powodu nieodpowiedniej pory roku, czy też morze dokoła mojej wyspy zawierało coś szkodliwego, ale zaledwie przełknąłem pierwszy mój posiłek, poczułem tak gwałtowne mdłości i zawroty głowy, że leżałem czas dłuższy w stanie bliskim śmierci. Gdy spróbowałem po raz drugi tego pożywienia (a nie miałem przecież innego), nie wywołało żadnych objawów choroby i odzyskałem nieco sił. Przez cały jednak okres mego pobytu na wyspie nie wiedziałem nigdy, co się ze mną stanie po jedzeniu; czasami czułem się zupełnie dobrze, czasami zaś chorowałem okropnie. Nie umiałem również odróżnić, które z tych mięczaków mi szkodzą.

Przez cały dzień deszcz padał bez ustanku. Całą wyspę zalała woda i nie sposób było znaleźć suche miejsce. Gdy położyłem się spać pomiędzy dwiema skałami, tworzącymi coś w rodzaju dachu, nogi miałem w trzęsawisku.

Na drugi dzień obszedłem wyspę ze wszystkich stron. Żadna jej część nie różniła się korzystnie od innych; wszędzie skały, pustka i nic żyjącego oprócz wodnego ptactwa, na które z braku broni zapolować nie mogłem, i mew obsiadających w olbrzymich ilościach skały opadające ku morzu. Odnoga morska lub cieśnina, oddzielająca wyspę Earraid od półwyspu Ross, rozszerzała się na północy w zatokę, a ta zaś z kolei w kanał morski łona. W pobliżu tego miejsca postanowiłem zamieszkać; lecz gdybym pomyślał, co to oznacza, rozplakałbym się na pewno.

Wybór mój był celowy; w tej części wyspy odkryłem bowiem małą chatkę, a raczej budę o kształcie przypominającym chlewik, w której nocowali czasem rybacy, o ile mieli powody, by przybyć na wyspę. Dach z torfu zapadł się do wnętrza i okazało się, że chatka zapewnia mi gorsze schronienie niż moje skały. Ważniejszą jednak była obfitość mięczaków, które utrzymywały mnie przy życiu. Podczas odpływu mogłem ich zebrać całą garść, co miało oczywiście swoje dobre strony.

Istniał jeszcze inny powód, by przebywać w sąsiedztwie cieśniny. Nie pogodziłem się bowiem z pobytem na tym okropnym pustkowiu i rozglądałem się wciąż na wszystkie strony - jak to czyni ścigany człowiek - targany nadzieją i obawą ujrzenia zbliżającej się ludzkiej istoty. Otóż z małego wzniesienia nad zatoką mogłem dojrzeć wielki, stary kościół i dachy domów na wyspie łona. Na nizinnych obszarach półwyspu Ross widziałem wznoszący się rano i wieczorem dym, jak by z domu stojącego w kotlinie.

Przemoczony i zziębnięty patrzyłem na dym, aż mi się w głowie mąciło z samotności. Rozmyślałem o ogniu płonącym na kominie, o towarzystwie ludzi i serce me napępniało się

rozpaczą. Te same uczucia ogarniały mnie, gdy patrzyłem na dachy w łona. Widok ludzkich osiedli i oznak wygodnego życia, chociaż zwiększał cierpienia, podtrzymywał jednak nadzieję, ułatwiał połykanie małży, do których rychło nabrałem wstrętu, i ratował mnie przed obłądnym przerażeniem, jakiemu ulegałem, ilekroć znalazłem się w zupełnej samotności, nie widząc nic oprócz skał, ptactwa, deszczu i zimnego morza.

Jak powiadam, widok ten podtrzymywał we mnie nadzieję, bo wydawało mi się niemożliwe, abym miał umrzeć na wybrzeżu mego kraju, patrząc na wieżę kościelną i dym ludzkich siedzib. Jednakże mijał już dzień drugi i chociaż do zapadnięcia zmroku wyglądałem pilnie łodzi na zatoce i ludzi przechodzących opodal w Ross, nie pojawiła się żadna pomoc. Deszcz padał ciągle i położyłem się spać wciąż przemoczony do nitki, z bolącym gardłem, ale cokolwiek pocieszony życzeniem dobrej nocy, złożonym moim najbliższym sąsiadom, mieszkańcom łona.

Karol II mawiał, że w angielskim klimacie człowiek może przebywać na wolnym powietrzu więcej dni w roku niż w jakimkolwiek innym kraju. Takiego zdania mógł być król mający pod ręką pałac i suchą odzież na zmianę. Podczas swej ucieczki z Worcester \* [\*Pod Worcester miała miejsce w roku 1650 słynna bitwa, w której brali udział: przybyły z Francji do Szkocji i tam proklamowany królem Karol Stewart, syn Karola I, z oddziałami szkockimi z jednej strony i ścigające je wojska angielskie (armia Cromwella) z drugiej. W bitwie tej Szkoci ponieśli klęskę i Karol II zmuszony był ratować się ucieczką.] musiał mieć więcej szczęścia niż ja na samotnej wyspie. Chociaż to był środek lata, deszcz padał bez przerwy przeszło dobę i ustał zupełnie dopiero trzeciego dnia po południu.

Był to dzień pełen wydarzeń. Rano zobaczyłem pięknego rudego jelenia o rozłożystych rogach, stojącego w deszczu na najwyższym wzgórzu wyspy. Zaledwie mnie dojrzał, wyłażącgo spod skały, pocwałował w przeciwną stronę. Pomyślałem, że musiał przepłynąć przez cieśninę, ale nie mogłem sobie wyobrazić, co mogło to stworzenie zwabić na wyspę.

Niedługo potem skakałem ze skały na skałę w poszukiwaniu małżów, gdy zdziwił mnie dźwięk złotej monety, która upadła przede mną i stoczyła się do morza. Marynarze brygu zwrócili mi pieniądze, ale zatrzymali dla siebie nie tylko jedną trzecią sumy, lecz również skórzaną sakiewkę mego ojca. Nosiłem więc złoto luzem w kieszeni zapinanej na guzik. Domyśliłem się, że musi tam być dziura, i przyłożyłem czym prędzej rękę do kieszeni. Było to jednak zamykanie obory po kradzieży wołu. Opuściłem Queen's Ferry mając prawie pięćdziesiąt funtów; po dwóch dniach pobytu na bezludnej wyspie kieszeń moja zawierała już tylko dwie gwinee i jeden srebrny szyling.

Znalazłem co prawda wkrótce potem trzecią, leżącą w pełni swej złotej krasy na kawałku torfu. Tak więc na całą fortunę chłopca będącego prawym dziedzicem majątku ziemskiego, lecz przymierającego głodem w najdalszym zakątku dzikich gór zachodniej Szkocji, składa się suma trzech funtów i czterech szylingów w angielskim pieniądzu.

Ten stan rzeczy przygnębił mnie jeszcze bardziej, a moje położenie trzeciego dnia było zaiste pożałowania godne. Odzież zaczęła na mnie gnić; zwłaszcza pończochy były zupełnie podarte i nic nie kryło nagości moich łydek. Ręce miałem wymokłe od ciągłego zanurzania ich w wodzie, gardło mnie bolało, czułem się coraz bardziej wycieńczony, a do paskudztwa, które musiałem jeść, nabrałem takiego wstrętu, że na sam jego widok dostawałem mdłości.

Wszelako najgorsze miałem jeszcze przed sobą.

W północno-zachodniej części wyspy znajdowała się dosyć wysoka skała o płaskim szczycie, skąd mogłem dobrze objąć wzrokiem odnogę morską, oddzielającą mnie od wyspy Iona. Toteż często tam przebywałem. Nigdy co prawda nie pozostawałem długo na jednym miejscu, chyba że spałem, gdyż moje cierpienia nie dawały mi spokoju. Te właśnie nieustanne i bezcelowe wędrówki najbardziej wyczerpywały moje siły.

Zaraz po wschodzie słońca położyłem się na szczycie skały, by się wysuszyć. Nie jestem w stanie opisać dobroczynności słonecznego ciepła; pod jego wpływem odżyły moje nadzieje i powróciły myśli o wyzwoleniu, w które zacząłem już powątpiewać. Tym gorliwiej wpatrywałem się w morze i półwysep Ross. Wysunięty dosyć daleko na południe od mojej skały cypel wyspy zasłaniał mi widok na pełne morze, tak iż od tej strony łódź mogłaby, nie zauważona przeze mnie, podpłynąć całkiem blisko.

I tak właśnie się stało. Łódź o brązowym żaglu, w której siedziało dwóch rybaków, pojawiła się zniemacka zza cypla, mknąc szybko w stronę Iona. Wrzasnąłem, po czym padłem na kolana i podniosłem ręce do góry, jak bym modlił się do nich. Byli tak blisko, że mogli mnie dosłyszeć; dostrzegłem nawet kolor ich włosów, a oni widzieli mnie na pewno, gdyż zaczęli się śmiać i wołać coś po szkocku, lecz łódź nie zboczyła ani na chwilę, płynąc przed moimi oczyma prosto ku wyspie Iona.

Nie mogłem uwierzyć w taką podłość i biegłem wzdłuż wybrzeża, skacząc ze skały na skałę i wołając do nich o litość. Nawet kiedy znaleźli się poza zasięgiem mego głosu, krzyczałem jeszcze i wymachiwałem rękami, a gdy oddalili się ostatecznie - myślałem, że mi serce pęknie. Przez cały okres moich tragicznych przygód dwa razy tylko płakałem. Raz, gdy nie mogłem dosięgnąć rei, i drugi, gdy rybacy okazali się głusi na moje wołanie, ale tym razem łkałem i ryczałem jak nieznośne dziecko, szarpiąc torf paznokciami i tarzając się



twarzą po ziemi. Gdyby życzenia mogły zabijać, rybacy ci nie ujrzeliby następnego poranka, ja zaś zmarłbym prawdopodobnie na mojej wyspie.

Gdy złość przeszła mi nieco, musiałem znowu zjeść cokolwiek i uczyniłem to ze wstrętem, który zaledwie zdołałem przezwyciężyć. Jednakże post byłby bardziej wskazany, bowiem znowu zatrąłem się małżami. Ogarnęły mnie te same bóle co po pierwszym ich spożyciu, gardło miałem tak spuchnięte, iż z największym trudem mogłem przełykać, wstrząsały mną gwałtowne dreszcze zaciskające mi zęby. Poczułem się tak straszliwie chory, że na określenie tego stanu nie znajduję słów ani angielskich, ani szkockich. Pomyślałem, że śmierć się zbliża, więc pojednałem się z Bogiem, przebacząc wszystkim ludziom, nawet memu stryjowi i rybakom. Zaledwie jednak przygotowałem się na najgorsze, powróciła otucha i jasność umysłu. Uświadomiłem sobie, że noc zapowiada się bez deszczu, odzież wyschła już prawie; położenie więc moje było lepsze niż kiedykolwiek od chwili wylądowania na wyspie. Zasnąłem wreszcie wdzięczny Opatrzności i pocieszony.

Następnego dnia - a był to czwarty tej okropnej udręki - zdałem sobie sprawę, że wycieńczenie mego ciała posunęło się bardzo daleko. Wszelako jednak słońce świeciło, powietrze było łagodne, a przełknięcie paru mięczaków uszło mi bezkarnie. Wszystko to podniosło mnie na duchu.

Zaledwie powróciłem na moją skałę - udawałem się tam zawsze zaraz po jedzeniu - dostrzegłem łódź płynącą z wyspy łona i jak mi się zdawało, zwróconą dziobem w moją stronę.

Ogarnęła mnie natychmiast szalona nadzieja i obawa. Pomyślałem, że pożałowali oni widocznie swego okrucieństwa i zdążają mi na pomoc. Nie mógłbym jednak znieść jeszcze jednego, takiego jak wczorajsze, rozczarowania, stanąłem więc plecami do morza i nie odwróciłem się, zanim nie doliczyłem do paru setek. Łódź płynęła wciąż w stronę wyspy. Znowu liczyłem do tysiąca, jak tylko mogłem najwolniej, czując boleśnie każde uderzenie serca. Wreszcie znikły wszelkie wątpliwości: łódź kierowała się prosto na wyspę.

Nie mogłem się już opanować i pobiegłem nad brzeg morza, jak najbliższej wody, skacząc ze skały na skałę. Dziwne, doprawdy, że się wówczas nie utopiłem, bo gdy się zatrzymałem, nogi drżały pode mną, a usta miałem tak suche, że musiałem je zwilżyć wodą morską, aby móc głośno z nich wydobyć.

Łódź zbliżała się ciągle i mogłem się przekonać, że jest to ta sama łódź i ci sami ludzie, co poprzedniego dnia. Poznałem ich po włosach. Jeden był blondynem, drugi miał kruczą czuprynę, lecz tym razem siedział z nimi w łodzi trzeci mężczyzna, wyglądający na należącego do zamożniejszej od nich sfery.

Skoro tylko znaleźli się w zasięgu głosu, opuścili żagiel i łódź się zatrzymała. Pomimo moich błagań nie zbliżali się, a ten trzeci, co mnie najbardziej przeraziło, mówił coś, patrząc na mnie i śmiejąc się głośno.

Wreszcie powstał w łodzi i - posługując się licznymi gestami rąk - zaczął szybko do mnie przemawiać. Powiedziałem mu, że nie rozumiem po szkocku. Bardzo go to oburzyło i zacząłem podejrzewać, iż uważa się za mówiącego po angielsku. Słuchając bardzo uważnie zrozumiałem parokrotnie powtórzone słowo „cokolfik”, lecz wszystko inne brzmiało po szkocku i było dla mnie równie niezrozumiałe, jak język grecki lub hebrajski.

- Cokolwiek - odezwałem się, chcąc mu dać znać, że uchwyciłem sens tego słowa.

- Tak, tak - odrzekł i odwrócił się do dwóch pozostałych, jak by chciał im powiedzieć:

- A nie mówiłem wam, że umiem po angielsku? - po czym dalejże perorować do mnie po szkocku.

Tym razem zrozumiałem inne słowo: „odpływ”. Wówczas zabłysnął mi promyk nadziei. Przypomniałem sobie, że on wciąż wymachiwał ręką w stronę półwyspu Ross.

- Czy pan chce powiedzieć, że odpływ... - zawołałem i nie mogłem dokończyć.

- Tak, tak, odpływ.

Odwróciłem się od łodzi, w której mój doradca zaczął znowu śmiać się głośno, i skacząc ze skały na skałę powróciłem z powrotem na wysepkę i zacząłem biec, jak nigdy przedtem, w stronę odnogi morskiej. Mniej więcej po pół godzinie znalazłem się na jej brzegu. Woda istotnie opadła pozostawiając tylko wąski strumyk, w który skoczyłem i brodząc nie głębiej niż po kolana, wylądowałem z krzykiem na wyspie Muli.

Chłopiec wychowany nad morzem nie pozostawałby ani jednego dnia na wysepce Earraid, gdyż można się na nią dostać i dwa razy w ciągu doby suchą nogą albo, w najgorszym wypadku, brodząc przez płytką wodę. Nawet ja, który widziałem przyływ i odpływ morza w zatoce i zwracałem uwagę na to zjawisko, aby móc łatwiej zbierać mięczaki, gdybym był usiadł i pomyślał zamiast rozpaczać nad swoim losem, musiałbym wkrótce odkryć tę tajemnicę i wydostać się na wolność.

Trudno się dziwić, że rybacy mnie nie rozumieli. Należało się raczej dziwić, iż domyślili się mojej nieszczęsnej iluzji i zechcieli powrócić. Umierałem powoli z zimna i głodu na wyspie przez sto godzin prawie. Gdyby nie rybacy, byłbym tam pozostawił kości - z własnej po prostu głupoty.

Bądź co bądź zapłaciłem za nią cenę dosyć wysoką; nie tylko w postaci przeżytych na wyspie cierpień, ale i dalszych następstw; zniszczyłem bowiem odzież i wyglądałem jak

żebrak, a ból gardła dokuczał mi srodze i z największym tylko trudem mogłem utrzymać się na nogach.

Spotkałem w życiu bardzo wielu niegodziwców i tyłuż głupców; jestem przekonany, że i jedni, i drudzy pokutują za to, ale głupcy pokutują przede wszystkim.

## XV. Chłopiec ze srebrnym guzikiem. Wędrówka przez wyspę Muli

Drugi półwysep, zwany Ross, na którym się znalazłem, był pagórkowatym pustkowiec, tak samo jak opuszczona przeze mnie wysepka; nic - tylko trzęsawiska, wrzosa i wielkie kamienie. Znający dobrze te okolice potrafią odnaleźć wśród nich drogę, lecz ja nie mogłem polegać na lepszym niż własny nos przewodniku, a jedynym punktem ułatwiającym mi orientację była góra Ben More leżąca w środku wyspy Muli.

Kierowałem się, jak umiałem najlepiej, w stronę dymu, który tak często widziałem z wyspy, i pokonując ogromne znużenie oraz napotykaną po drodze przeszkodę, dobiegłem około godziny szóstej wieczorem do domu stojącego w głębi małej kotliny. Dom był niski i raczej długi, zbudowany z kamienia, bez zaprawy murarskiej i pokryty dachem z torfu. Na małym wzniesieniu przed budynkiem siedział w słońcu stary dżentelmen i palił fajkę.

Niewiele umiał po angielsku, potrafił mi jednak dać do zrozumienia, że moi towarzysze ze statku wydostali się szczęśliwie na wybrzeże i pożywiali się w tym właśnie domu następnego dnia po zatonięciu brygu.

- Czy był pomiędzy nimi - zapytałem - jeden, ubrany jak dżentelmen?

Odpowiedział, że wszyscy byli ubrani w płaszcze z grubego sukna, jednakże pierwszy z nich, który pojawił się sam, miał na sobie spodnie do kolan i pończochy, podczas gdy reszta nosiła długie marynarskie spodnie.

- Ten właśnie miał pewnie kapelusz z piórami?

- Nie - odrzekł stary - był z gołą głową, tak samo jak inni.

Pomyślałem z początku, że Alan zgubił kapelusz, przypomniałem sobie jednak o deszczu i wydało mi się bardziej prawdopodobne, że schował cenne nakrycie głowy pod płaszcz. Uśmiechnąłem się, częściowo z radości na wieść o uratowaniu się mego przyjaciela, częściowo na myśl o jego próżności we wszystkim, co dotyczyło stroju.

Nagle stary dżentelmen uderzył się dłonią w czoło i wykrzyknął, że to ja muszę być chłopcem ze srebrnym guzikiem.

- Tak, to ja jestem, istotnie - rzekłem z niemalym zdziwieniem.

- W takim razie mam panu coś do powiedzenia. Pański przyjaciel prosił, abyś szedł za nim, przez Torosay, do jego kraju.

Zapytał mnie potem, co się ze mną działo, i opowiedziałem mu swoje przejścia. Rodak z południowej Szkocji śmiałby się na pewno, natomiast ten stary dżentelmen (określam go w ten sposób, ze względu na jego maniery, gdyż zniszczona odzież rozlatywała mu się na plecach) wysłuchał mnie z powagą do końca i okazał tylko współczucie. Gdy

skończyłem opowiadanie, wziął mnie za rękę, zaprowadził do swej chaty - siedziba ta nie zasługiwała na lepsze miano - i przedstawił żonie, tak jak by była królową, a ja księciem.

Pocziwa staruszka postawiła przede mną owsiany chleb i zimną pieczoną pardwę, poklepując mnie po ramieniu i uśmiechając się bez ustanku, nie rozumiała bowiem ani słowa po angielsku. Stary zaś dżentelmen, nie chcąc się okazać mniej gościnnym od żony, sporządził dla mnie mocny poncz ze spirytusem domowego wyrobu. Jedząc i pijąc nie mogłem się nadziwić własnemu szczęściu, a dom, aczkolwiek pełen torfowego dymu i dziurawy jak rzeszoto, wydawał mi się pałacem.

Pod wpływem ponczu zacząłem się mocno pocić i poczułem przemożną senność. Dobrzy gospodarze pozwolili mi się położyć i dopiero następnego dnia koło południa wyruszyłem w dalszą drogę, z mniejszym znacznie bólem gardła i znakomicie pokrzepiony na duchu dobrą strawą i takimiz nowinami. Stary dżentelmen, pomimo mych natarczywych nalegań, nie chciał przyjąć ode mnie pieniędzy, a widząc, że pozbawiony jestem nakrycia głowy, ofiarował mi starą wełnianą czapkę. Przyznaję, co prawda, że zaledwie się znalazłem z dala od tego gościnnego domu, wyprałem starannie jego podarunek w przydrożnym źródleku.

Pomyślałem sobie: „Jeśli to są ci sławetni dzicy górale, to chciałbym, aby moi rodacy byli do nich podobni”.

Wyruszyłem w drogę późno, a ponadto zmitrężyłem przeszło połowę czasu, błędąc po tych bezdrożach. Napotykałem co prawda wielu ludzi grzebiących na małych, nędznych poletkach, na których i kot by się nie wyżywił, lub doglądających stadka krów nie większych od osłów. Noszenie szkockiego góralskiego stroju było zakazane przez prawo od czasu wielkiej rebelii, a mieszkańcy skazani, ku głębokiemu ich niezadowoleniu, na ubieranie się na modłę Szkocji Dolnej. Toteż różnorodność ich odzieży była zadziwiająca. Niektórzy byli nadzy pod powłóczystrą opończą lub płaszczem i nosili spodnie na plecach niczym bezużyteczny ciężar, jedni sporządzili sobie coś naśladującego tartan, z różnobarwnych pasków wszelkiego rodzaju tkanin, pozszywanych razem jak pierzyna starej baby; inni znowu nosili nadal góralskie spódniczki, zamienione za pomocą kilkunastu szwów na parę spodni przypominających kształtem szerokie hajdawery noszone przez Holendrów. Wszystkie te wybiegi były zakazane i karane, bowiem prawo stosowano z całą surowością, w nadziei złamania ducha solidarności klanowej. Lecz na dalekiej i otoczonej morzem wyspie niewielu było zwracających na to uwagę, a mniej jeszcze skłonnych do opowiadania, co się tam dzieje.

Mieszkańcy wyspy żyli w ubóstwie, co było zjawiskiem niewątpliwie zrozumiałym, gdyż uprawianie rozboju groziło zbyt surowymi karami, a wodzowie klanów i głowy rodzin

nie prowadzili już domów otwartych. Toteż zakałą dróg (nawet tych wiejskich ścieżyn, którymi posuwałem się naprzód) byli liczni żebracy.

Pod tym względem kraj ten także różnił się od moich rodzinnych stron, nasi bowiem żebracy, w Dolnej Szkocji, nawet ci uprawiający swój zawód za zezwoleniem władz, mieli unizony sposób bycia, a gdy się im dało srebrną monetę i prosiło o resztę, wydawali ją bardzo uprzejmie. Góralscy żebracy natomiast dbali o swoją godność, prosili o jałmużnę jedynie, by kupić tabaki do zażywania - tak przynajmniej twierdzili - i reszty nie wydawali.

Niewiele mnie to obchodziło, chyba tylko o tyle, że dostarczało mi rozrywki w drodze. Najgorsze jednak było dla mnie to, że niewielu z nich umiało cokolwiek po angielsku, a nieliczni, z którymi mogłem się dogadać, niezbyt chętnie, jako że nie należeli do bractwa żebraków, służyli mi znajomością tego języka. Celem mojej podróży było Torosay, powtarzałem więc tę nazwę i pytałem gestami o drogę. Zamiast jednak wskazać mi kierunek odpowiednim gestem, męcili mi w głowie potokiem szkockich słów. Toteż zbaczałem z właściwej drogi równie często, jak ją odnajdywałem.

Wreszcie, około ósmej wieczorem, będąc już bardzo znużony, zbliżyłem się do samotnego domu i poprosiłem o gościnę, której mi odmówiono, aż do chwili, gdy przypomniałem sobie o potędze pieniądza w tym biednym kraju i pokazałem trzymaną w palcach jedną z moich gwinei. Gospodarz, który dotychczas udawał, że nie rozumie po angielsku, przemówił nagle na jej widok tak wyraźnie, jak tego wymagały okoliczności, i za pięć szylingów zgodził się mnie przenocować, a nazajutrz zaprowadzić do Torosay.

Nie spałem zbyt spokojnie tej nocy obawiając się rabunku. Płonne to były jednak troski, bowiem mój gospodarz nie był rabusiem, lecz tylko biednym i wytrawnym oszustem. Jego ubóstwo nie było zjawiskiem wyjątkowym w tym kraju, gdyż następnego ranka mu sieliśmy iść pięć mil do domu należącego, jego zdaniem, do bogacza, aby zmienić jedną z moich gwinei.

Na wyspie Muli właściciel tego domu mógł uchodzić za magnata, na południu Szkocji trudno by go było zaliczyć do zamożnych, musiał bowiem zebrać całą posiadaną gotowiznę - przewróciwszy w tym celu cały dom do góry nogami - i jeszcze zapożyczyć się u sąsiada, zanim uskładał dwadzieścia szylingów w srebrze. Za moją gwineę należał mi się jeszcze jeden szyling, ale bogacz zatrzymał go dla siebie, twierdząc, że nie może sobie pozwolić na „unieruchomienie” tak wielkiej sumy.

Z tym wszystkim jednak był bardzo uprzejmy, wyrażał się z godnością, zaprosił nas obu na rodzinny obiad i sporządził poncz w pięknej porcelanowej wazie, co doprowadziło

mego szelmę-przewodnika do takiego stanu wesołości, że odmówił wyruszenia w dalszą drogę.

Rozzłościło mnie to i zwróciłem się do bogacza (nazywał się Heक्टर Maclean), który był świadkiem naszej umowy i wypłacenia przeze mnie pięciu szylingów, na co ten - brał również żywy udział w opróżnianiu wazy z ponczem - zaczął przysięgać, że żaden dżentelmen nie powinien opuszczać jego stołu po ukazaniu się na nim tejże wazy. Nie pozostawało mi nic innego, jak siedzieć i słuchać jakobickich toastów i szkockich piosenek, aż wszyscy się upili i ślaniając się poszli do łóżek lub do stodoły na nocny spoczynek.

Następnego dnia (czwarty dzień mej wędrówki) byliśmy na nogach, zanim piąta wybiła na zegarze, lecz mój hultajski przewodnik zabrał się natychmiast do butelki i dopiero po trzech godzinach udało mi się go wyciągnąć z domu i to, jak się dowiecie, na większe jeszcze moje utrapienie.

Tak długo, jak szliśmy pełną wrzosów doliną leżącą przed domem Macleana, wszystko było w porządku; mój przewodnik oglądał się co prawda wciąż poza siebie, a gdy spytałem o przyczynę, uśmiechnął się tylko złośliwie. Zaledwie jednak przekroczyliśmy grzbiet wzgórza i z okien domu nie można nas było już dostrzec, powiedział mi, że Torosay leży wprost przede mną i aby tam dojść, wystarczy się trzymać kierunku wytyczonego przez wysokie wzgórze, które mi wskazał.

- To mnie bardzo mało obchodzi - rzekłem - ponieważ pójdziesz ze mną.

Bezczelny oszust odpowiedział po szkocku, że nie rozumie po angielsku.

- Mój dobry człowieku - powiedziałem na to. - Wiem doskonale, iż twoja znajomość angielskiego przychodzi i odchodzi. Powiedz, co mam zrobić, aby pojawiła się znowu. Czy chcesz więcej pieniędzy?

- Jeszcze pięć szylingów, a zaprowadzę cię na miejsce.

Po namyśle ofiarowałem mu dwa, na co zgodził się chciwie i upierał się, aby mu je zaraz wręczyć „na szczęście”, jak powiadał, ale nic szczęśliwego z tego, przynajmniej dla mnie, nie wynikło.

Dwa szylingi zaprowadziły go o niespełna tyleż mil dalej, po osiągnięciu tej odległości usiadł obok drogi i zdjął buty, jak ktoś zamierzający odpoczywać czas dłuższy.

Tym razem miałem tego dosyć. - Więc nie rozumiesz już po angielsku? - spytałem.

- Nie - odparł beczelnie.

Zawrzałem wściekłością i podniosłem rękę chcąc go uderzyć, ale on wy dobył nóż spod łachmanów i śmiejąc się szyderczo, przysiadł jak dziki kot gotów do skoku. Zapominając o wszystkim, poza miotającym mną gniewem, skoczyłem ku niemu, odtrąciłem

lewą ręką nóż, a prawą wyrzuciłem go w usta. Byłem silnym chłopcem i bardzo w tej chwili wzburzonym, on zaś niewielkiego wzrostu mężczyzną. Zwalił się na ziemię przede mną. Na szczęście upadając wypuścił nóż z ręki.

Zabrałem nóż i buty, złożyłem mu pożegnalny ukłon i poszedłem swoją drogą, pozostawiając go bosego i rozbrojonego. Idąc śmiałem się do siebie, gdyż byłem pewny, że pozbyłem się ostatecznie tego nicponia, a to dla różnych powodów. Po pierwsze: wiedział, że nie wyszachruje ode mnie więcej pieniędzy, po drugie: jego buty warte były w tym kraju co najwyżej kilkanaście pensów; wreszcie, noszenie broni - a jego nóż był w rzeczywistości sztyletem - narażało na prawem przewidziane kary.

Po półgodzinnym mniej więcej marszu dogoniłem wysokiego, odzianego w łachmany mężczyznę, który szedł dosyć szybko, ale laską wymacywał drogę przed sobą. Był zupełnie ślepy i przedstawił mi się jako wędrowny katecheta, co powinno było wzbudzić zaufanie, lecz twarz jego nie podobała mi się wcale. Była ciemna, tajemnicza i groźna. Idąc obok dostrzegłem po chwili stalową kolbę pistoletu, wystającą spod klapy kieszeni jego płaszcza. Noszenie takiej rzeczy oznaczało grzywnę piętnastu funtów za pierwszym tego rodzaju przestępstwem i wywiezienie do kolonii za drugim. Nie bardzo mogłem również zrozumieć, dlaczego nauczyciel religii miałby podróżować uzbrojony i na co mógł się przydać ślepcowi pistolet.

Opowiedziałem mu o przewodniku, gdyż dumny byłem z rozprawy z nim, i młodzieńcza swada wzięła górę nad ostrożnością. Słyszając o pięciu szylingach zachnął się głośno, postanowiłem więc nie wspominać o następnych dwóch i cieszyłem się, że nie widzi rumieńców wstydu na mojej twarzy.

- Czy dałem mu zbyt wiele? - zapytałem, cokolwiek stropiony.

- Zbyt wiele! Zaprowadziłbym ciebie sam do Torosay za szklankę gorzały, a miałbyś ponadto przyjemność i korzyść z mego towarzystwa, albowiem jestem człowiekiem dosyć uczonym.

Gdy wyraziłem zdziwienie, że ślepiec może się podjąć roli przewodnika, roześmiał się głośno i rzekł, że jego kostur służy mu równie dobrze, jak orle oczy.

- Przynajmniej na wyspie Muli - mówił - gdzie znam każdy kamień i każdy krzak wrzosu poznam po omacku. Oto tutaj - uderzył laską w lewo i w prawo, jak by sprawdzając, co mówi - znajdujemy się na małej polanie, a na jej końcu jest wzgórek ze stojącym na szczycie kamieniem. Pod samym tym wzgórzem biegnie droga do Torosay, a ścieżka, którą teraz idziemy, służy do pędzenia bydła i dlatego jest mocno stratowana. Trawa rośnie tutaj wszędzie dokoła, pomiędzy wrzosami.



Potwierdziłem to ze zdumieniem.

- Ha! - rzekł - to jeszcze nic. Czy dasz wiarę teraz, gdy ci powiem, że mogłem strzelać, zanim nie nastało nowe prawo i wolno było mieć broń w tym kraju? Tak! Mogłem strzelać! - zawołał i dodał podstępnie: - Gdybyś miał przy sobie taką rzecz jak pistolet, pokazałbym ci, jak się to robi.

Odpowiedziałem mu, że nie posiadam nic podobnego, i oddaliłem się nieco. Pistolet wyglądał wyraźnie z jego kieszeni i mogłem dostrzec błysk słońca na stalowej kolbie. Na szczęście nie wiedział o tym i sądził, że jest dobrze ukryty, co mu pozwalało kłamać swobodnie.

Następnie zaczął mnie bardzo chytrze wypytywać, skąd pochodzę, czym bogaty, czy mógłbym mu zmienić pięcioszylingową monetę, którą miał jakoby w swym sporran \*. [\*Sporran - skórzana płaska, półkolista torba, noszona zawsze przy szkockim stroju, na dwóch paskach przymocowanych na biodrach.] Podczas tej rozmowy starał się nieustannie do mnie zbliżyć, ja zaś trzymałem się stale w pewnej odległości od niego. Znajdowaliśmy się wówczas właśnie na jakimś porośłym trawą szlaku przeznaczonym głównie dla bydła i prowadzącym przez wzgórza w kierunku Torosay, a idąc obok siebie, zmienialiśmy miejsca na przemian - jak para tancerzy. Miałem tak oczywistą nad nim przewagę, że dodało mi to otuchy, a nawet gra ta zaczęła mnie bawić. Katecheta natomiast okazywał coraz gorszy humor, zaczął kłąć po szkocku, a nawet próbował laską dosięgnąć moich nóg. Odpowiedziałem mu na to stanowczo, że mam w kieszeni pistolet, tak samo jak on, i jeśli nie odejdzie zaraz prosto na południe, łeb mu kulą roztrzaskam.

Stał się natychmiast bardzo grzeczny i przez dłuższą chwilę starał się mnie ułagodzić, a gdy to się okazało bezskuteczne, przeklął mnie raz jeszcze po szkocku i odszedł swoją drogą.

Patrzyłem za nim, jak szedł posuwistym i szybkim krokiem poprzez krzaki wrzosu i trzęsawiska, uderzając kosturem przed sobą, aż dotarł do szczytu wzgórza i znikł w następnej kotlinie. Wtedy dopiero wyruszyłem w stronę Torosay, czując się znacznie lepiej w samotności aniżeli w towarzystwie tego uczonego męża. Był to nieszczęśliwy dzień, a ci dwaj, których jednego po drugim się pozbyłem, okazali się najgorszymi ze wszystkich, jakich napotkałem w Górnej Szkocji.

W Torosay, miejscowości położonej nad cieśniną Sound of Mull, oddzielającą wyspę Mull od okolic zwanych Morven, napotkałem oberżę, a w niej oberżystę nazwiskiem Maclean, należącego jakoby do bardzo znamienitej rodziny. W Górnej Szkocji bowiem, jeszcze bardziej niż u nas, zawód oberżysty uważany jest za stosowny dla szlachetnie

urodzonych, może dlatego, że wiąże się z gościnnością, a może dlatego, że sprzyja próżniactwu i pijaństwu. Oberżysta w Torosay umiał „dobrze po angielsku, a gdy stwierdził, że jestem nieco wykształcony, zbadał najpierw moją biegłość w języku francuskim, w którym przewyższył mnie z łatwością, a potem w łacinie; na tym polu nie wiem, która strona uzyskała przewagę. Miła ta rywalizacja nawiązała szybko pomiędzy nami przyjazne stosunki. Siedziałem i piłem z nim poncz (a raczej, gwoli ścisłości, siedziałem i przyglądałem się, jak on pije) aż do czasu, gdy miał tak dobrze w czubie, iż płakał na moim ramieniu.

Wypróbowałem go pokazując, niby przypadkiem, guzik Alana, ale zrozumiałem od razu, że nigdy Alana nie widział ani nie słyszał o nim. Żywił nawet jakąś urazę do tej rodziny i do przyjaciół Ardshiela i - zanim się upił do reszty - przeczytał mi fraszkę w doskonałej łacinie, ale bardzo złośliwą, którą ułożył elegijnym wierszem, chcąc dokuczyć komuś z członków tego rodu.

Gdy mu wspomniałem o katechecie, pokiwał głową i orzekł, że bardzo tanim wykręciłem się kosztem.

- To wielce niebezpieczny człowiek - dodał. - Nazywa się Duncan Mackiegh. Potrafi strzelać na słuch, na kilkanaście jardów i często już był oskarżany o rozbój na drogach, a raz nawet o morderstwo.

- Ależ on w dodatku podaje się za katechetę!

- A dlaczegożby nie, skoro nim jest? Zawdzięcza to Macleanowi of Duart, który go uczył, litując się nad nim. Ale źle mu się może przysłużył - ciągnął dalej mój gospodarz - bo on jest wciąż w drodze, odwiedzając kolejno różne miejscowości i ucząc młodzież religii, co naraża oczywiście tego biedaka na niejedną pokusę.

Wreszcie, gdy mój oberżysta nie mógł już więcej pić, zaprowadził mnie do łóżka i położyłem się spać w bardzo dobrym nastroju. Przewędrowałem większą część wyspy Muli, od Earraid do Torosay - pięćdziesiąt mil, gdybym szedł prosto, jak ptak leci, ale prawie sto przy ciągłym błędzeniu - w cztery dni i z niewielkim wysiłkiem. Zaiste, czułem się silniejszy na ciele i duchu na końcu tej długiej podróży aniżeli na jej początku.

## XVI. Chłopiec ze srebrnym guzikiem. Wędrówka poprzez Morten

Pomiędzy Torosay a Kinlochaline, miejscowością położoną na właściwym wybrzeżu Górnej Szkocji, chodzi regularnie prom. Ziemię po obu stronach cieśniny należą do potężnego klanu Macleanów i prawie wszyscy, przepływający się wraz ze mną, byli członkami tego klanu. Szyper promu nazywał się Neil Roy Macrob, a ponieważ Alan wymienił rodzinę Macrob jako należącą do jego klanu i sam mnie skierował do tego promu, pilno mi było rozmówić się bez świadków z Neilem Roy.

Nie mogłem oczywiście uczynić tego na zatłoczonym promie, a przeprawa trwała okropnie długo. Dzień był bezwietrzny, statek bardzo kiepsko wyposażony, mogliśmy się więc posługiwać tylko dwoma wiosłami - po jednej stronie i jednym - po drugiej. Załoga jednak zabrała się rażno do pracy, pasażerowie kolejno zastępowali ją przy wiosłach, a reszta śpiewała szkockie piosenki żeglarskie. Śpiew, morskie powietrze, beztroska i wesołość jadących na promie oraz słoneczna pogoda umilały nam tę podróż.

Nie obeszło się wszakże bez smutnego epizodu. Przy ujściu Loch Alinę zastaliśmy zakotwiczony wielki statek morski. Zdawało mi się z początku, że jest to jeden z krążowników królewskich, strzegących zimą i latem tych wybrzeży, aby nie dopuścić do utrzymywania stosunków z Francją. Zbliżając się rozpoznaliśmy w nim statek handlowy, lecz jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, iż nie tylko pokłady, ale i pobliskie wybrzeże aż roiło się od ludzi i łodzi, krążących tam i z powrotem. W miarę jak się zbliżaliśmy, do uszu naszych docierał głośny lament. Ludzie na statku i na brzegu zawodzili wymieniając pomiędzy sobą tak żalosne okrzyki, że aż wzdrygało się serce.

Zrozumiałem wówczas, że jest to statek emigrantów, udający się do amerykańskich kolonii.

Przybyliśmy więc do statku i wygnańcy, wychylając się ponad nadburciem, płakali i wyciągali ręce do znajdujących się wraz ze mną na promie ludzi, wśród których mieli wielu dobrych przyjaciół. Nie wiem doprawdy, jak długo by to trwało, gdyż zdawali się być pozbawieni poczucia czasu, lecz wreszcie kapitan statku, który w tym wrzasku i zamęcie zdawał się tracić głowę (czemu się trudno dziwić), podszedł do burty i prosił nas, byśmy się oddalili.

Neil kazał odbić od burty i sterować do Kinlochaline, a pierwszy na naszym promie śpiewak zaintonował tęskną pieśń podchwyconą po chwili zarówno przez emigrantów, jak ich przyjaciół na brzegu, tak iż zewsząd rozległy się smętne pienia jak na pogrzebie. Dostrzegłem

łzy spływające po policzkach kobiet i mężczyzn na promie, nawet tych pochylających się nad wiosłami. Okoliczności te i melodia pieśni również na mnie wywarły wstrząsające wrażenie.

Na plaży w Kinlochaline odciągnąłem Neila na bok i wyraziłem moje przekonanie, iż należy on do klanu zamieszkującego Appin.

- A to dlaczego? - zapytał.

- Szukam kogoś i wydaje mi się, że będzie pan miał o nim wiadomości. Nazywa się Alan Breck Stewart. - I bardzo nierozsądnie, zamiast pokazać guzik, usiłowałem mu wcisnąć szyling do ręki.

Żachnął się na to. - Wielki mnie z pańskiej strony afront spotyka - rzekł. - Nie tak powinien się zachowywać dżentelmen w stosunku do drugiego. Człowiek, o którego pan pyta, jest we Francji, ale gdyby nawet był w mojej sakiewce, a pański brzuch pełen szylingów, nie uczyniłbym nic, co by mogło naruszyć choćby włos na głowie tamtego.

Zrozumiałem, jak fałszywą obrałem metodę postępowania, i nie tracąc czasu na przeprosiny pokazałem mu guzik ukryty w mej dłoni.

- Dobrze, dobrze - odrzekł. - Od tego właśnie należało zacząć. Jeśli jesteś chłopcem ze srebrnym guzikiem, wszystko jest w porządku i mam polecenie zaopiekować się tobą. Lecz, wybac mi tak szczerą wypowiedź: jest nazwisko, którego nie powinieneś nigdy wymawiać - nazwisko Alana Breck, i druga rzecz, której robić nie powinieneś nigdy - ofiarowywać twych plugawych pieniędzy dżentelmenowi ze szkockich gór.

Trudno mi go było przebłagać. Nie mogłem wszak powiedzieć, iż nawet nie śniło mi się uważać go za dżentelmena, dopóki mi się w ten sposób sam nie zaprezentował. Neil ze swej strony nie miał ochoty przedłużać ze mną konszachtów, pragnął tylko wykonać otrzymane rozkazy i co rychlej mnie się pozbyć. Nie zwlekał więc z przekazaniem mi dalszej marszruty. Miałem zanocować w Kinlochaline, w miejscowej karczmie, nazajutrz iść przez Morven aż do Ardgour i nocować tam w domu niejakiego Johna of the Claymore, któremu dano znać o moim ewentualnym przybyciu, trzeciego zaś dnia przedostać się przez jedną zatokę w Corran i przez drugą w Balachulish, po czym zapytać o drogę do domu Jamesa of the Glens, w Duror of Appin.

Jak wynika z powyższego, miałem się parokrotnie przeprawiać przez wodę. Morze wszędzie w tych stronach wdziera się głęboko w góry i otacza z wielu stron ich podnóża, przez co kraj ten nadaje się doskonale do obrony, lecz nie do podróży, za to jest niezwykle malowniczy.

Neil udzielił mi ponadto kilku rad. Miałem unikać rozmów po drodze, Whigów, Campbellów i „czerwonych żołnierzy”; porzucać drogę i leżeć w krzakach, skoro tylko dojrzę

zbliżające się wojsko, gdyż „z takiego spotkania nic dobrego wyniknąć nie może”, czyli - pokrótce - zachowywać się jak rozbójnik lub agent Jakobitów, za jakiego Neil mnie prawdopodobnie uważał.

Ze wszystkich miejsc, będących zarazem schronieniem dla ludzi i chlewem dla świń, karczma w Kinlochaline pełna dymu, robactwa i milczących górali była miejscem najbrzydliwszym. Nie czułem się zadowolony z tej kwatery, a ponadto\* zły na siebie, gdyż pokpiłem niewątpliwie sprawę z Neilem, i jak najgorzej oceniałem moje położenie. Bardzo niesłusznie, jak się to wkrótce okazało. Nie bawiłem bowiem w karczmie dłużej niż pół godziny (stojąc przeważnie w drzwiach, aby uchronić oczy przed dymem z palącego się na kominku torfu), gdy niedaleko stąd rozpętała się burza, wezbrały źródła na wzgórzu, gdzie stała karczma, i część ich zamieniła się w rwący potok. W owych czasach miejsca publicznych spotkań w całej Szkocji pozostawiały bardzo dużo do życzenia, byłem jednak zdumiony, gdy chcąc przejść od komina do łóżka musiałem brodzić w wodzie powyżej kostek.

Nazajutrz, zaraz na początku podróży, dogoniłem małego, tęgiego mężczyznę, o solennym wyrazie twarzy, kroczącego bardzo powoli, szeroko rozstawiając nogi. Idąc, zaglądał od czasu do czasu do książki, palcem zaznaczając czytane miejsce. Ubrany był przyzwoicie i skromnie, jak zwykli ubierać się duchowni.

Jak się potem okazało, był to również katecheta - ale zupełnie innego rodzaju niż ślepiec na wyspie Muli - wysłannik Towarzystwa Szerzenia Wiedzy Chrześcijańskiej w Edynburgu, mający za zadanie rozpowszechniać wiarę w bardziej dzikich miejscowościach Górnej Szkocji. Nazywał się Henderland i mówił językiem Dolnej Szkocji, za którym zaczynałem już tęsknić. Po krótkiej z nim rozmowie wyszło na jaw, iż nie tylko jesteśmy rodakami, ale łączą nas ponadto pewne szczególne więzy, bowiem dobry mój przyjaciel, pastor z Essendean, przetłumaczył w wolnych chwilach na język szkocki nieco hymnów i nabożnych ksiązek, którymi z kolei pan Henderland posługiwał się w swej duszpasterskiej pracy i bardzo je cenił. Jedną z takich ksiązek niósł i czytał, gdyśmy się spotkali.

Postanowiliśmy więc iść dalej razem aż do Kingairloch, tam bowiem rozchodziły się nasze drogi. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, Henderland zatrzymywał się i rozmawiał ze wszystkimi napotkanymi podróżnymi i pracującymi na polach wieśniakami, a chociaż nie rozumiałem, o czym mówili, pojąłem, że pan Henderland jest szczególnie lubiany w tych okolicach, gdyż widziałem, jak wielu wydobywało tabakerki i dzieliło się z nim szczyptą tabaki.

Opowiedziałem mu tyle o moich sprawach, ile uznałem za rozsądne, to jest nie wspominałem ani o Alanie, ani o niczym, co go dotyczyło. Podałem Balachulish, gdzie miałem się jakoby spotkać z przyjacielem, jako cel mojej podróży. Sądziłem bowiem, iż wymienienie Aucharn, a nawet Duror, zbyt by go wtajemniczyło i mogłoby wzbudzić podejrzenia. On zaś, ze swej strony, opowiedział mi wiele o swojej pracy i ludziach, wśród których przebywał, o ukrywających się księżach i Jakobitach, ustawie o rozbrojeniu, o strojach góralskich i wielu innych ciekawostkach tego kraju i tych czasów. O wszystkim tym wypowiadał się w sposób umiarkowany i bezstronny; niejedno miał za złe Parlamentowi, a zwłaszcza potępiał takie ułożenie prawa, które surowiej karało noszących narodowe góralskie stroje niż noszących broń.

Okazywany przez niego umiar skłonił mnie do zapytania o Czerwonego Lisa i o dzierżawców z Appin, takie bowiem pytanie wydawało się naturalne w ustach podróżującego po tym kraju człowieka.

- To smutna sprawa - rzekł. - Należy podziwiać, skąd ci dzierżawcy biorą pieniądze, bo życie ich to po prostu przymieranie głodem. Nie ma pan tabaki, panie Balfour? Nie? Ha, trudno, dobrze mi zrobi, jeśli się bez niej obejść. Lecz dzierżawcy ci, jak mówiłem, są niewątpliwie w znacznej mierze do tego zmuszani. James Stewart of Duror - to jego nazywają Jamesem of the Glens - przyrodni brat Ardshiela, wodza klanu, jest człowiekiem ogólnie poważanym i rządzi bardzo twardą ręką. Jest również taki, którego nazywają Alan Breck...

- Któż to taki? - zawołałem.

- To wiatr, który dmie, gdzie i kędy mu wola. On jest tam i ówdzie, dzisiaj jest tu, a jutro go już nie ma. Prawdziwy dziki kot. Gdyby w tej chwili spozierał na nas z tych oto krzaków, nie zdziwiłoby mnie to zupełnie. Nie ma pan przy sobie tabaki?

Odpowiedziałem przecząco, dodając, że parokrotnie pytał mnie już o to.

- To bardzo możliwe - rzekł z westchnieniem. - Dziwię się, swoją drogą, że nie nosi pan przy sobie tabaki. Otóż, jak już wspominałem, Alan Breck jest zdolnym do wszystkiego śmiałkiem, dobrze znanym jako prawa ręka Jamesa. Jego głowa ma już wyznaczoną cenę. Nie cofnie się on przed niczym i gdyby jakiś dzierżawca stawiał opór, Breck bez wahania dźgnąłby go sztyletem w brzuch.

- Bardzo ponuro przedstawia pan te sprawy, panie Henderland. A więc tylko strach rządzi po obu stronach? Nie chcę o tym więcej słyszeć.

- Ależ nie, rządzi nimi również miłość, ofiarność i poświęcenie, które takich jak pan i ja łącznie zawstydzają. Jest w tym coś szlachetnego, niekoniecznie w chrześcijańskim, ale w ludzkim znaczeniu tego słowa. Nawet Alan Breck, z tego, co o nim słyszę, jest

człowiekiem godnym szacunku. Niejeden w naszych stronach obłudnik i przechera, wysiadujący wciąż w kościele i cieszący się miernym u moźnych tego świata, jest znacznie gorszym człowiekiem od tego grzesznika, co się już nie raz we krwi bliźniego ubroczył. Tak, tak, moglibyśmy pod niejednym względem brać z nich przykład. A może pan sądzi, że za długo już przebywam wśród górali? - dodał śmiejąc się.

Zapewniłem go, że daleki jestem od tego i że sam nauczyłem się niejedno podziwiać w tym kraju, a jeśli już o to chodzi, to pan Campbell też się z nich właśnie wywodził.

- Tak - rzekł - to dobra krew.

- A jakież są zamiary królewskiego pełnomocnika? - zapytałem.

- Colina Campbella? On chce wsadzić głowę w sam środek ula.

- Słyszałem, że zamierza usunąć siłą dzierżawców?

- Tak, ta sprawa różnoraki przybierała obrót. Nasamprzód James of the Glens pojechał do Edynburga, wynalazł tam jakiegoś prawnika (nie wątpię, że należał do klanu Stewartów, oni się trzymają razem jak nietoperze w dzwonnicy) i uzyskał zawieszenie kroków egzekucyjnych. Wówczas pojawił się tam znowu Colin Campbell i przekabacił na swoją stronę przedstawicieli Skarbu Królewskiego. A teraz, jak powiadają tutejsi ludzie, wyrzucanie pierwszych dzierżawców nastąpi jutro. Ma to się zacząć w Duror, pod samymi oknami Jamesa, co trudno - moim skromnym zdaniem - zaliczyć do rozsądnych postępów.

- Czy myśli pan, że będą stawiać opór?

- Oni są rozbrojeni, a przynajmniej nie powinni mieć broni, ale sporo jest jeszcze żelaziwa w bezpiecznym ukryciu leżącego. Ponadto Colin Campbell sprowadził wojsko. Pomimo to, gdybym był jego żoną, nie zasnąłbym spokojnie, dopóki mąż nie wróciłby do domu. To butny i nieużyty ród ci Stewartowie z Appin.

Zapytałem, czy gorsi są od sąsiadów.

- Nie - odrzekł - i to jest właśnie najgorsze w tej sprawie. Jeśli bowiem Colin Roy postawi na swoim w Appin, będzie musiał rozpoczynać wszystko na nowo w dalszych okolicach zwanych Mamore, a są to ziemie należące do klanu Cameron. On jest i tu, i tam pełnomocnikiem króla i zamierza i tu, i tam wyrugować dzierżawców. Nie będę doprawdy ukrywał przed panem przekonania, iż jeśli uda mu się uniknąć szwanku z rąk jednych, nie ujdzie on śmierci z rąk drugich.

Tak to gawędząc wędrowaliśmy razem przez większą część dnia; aż wreszcie pan Henderland, po wyrażeniu bardzo pochlebnej opinii o moim towarzystwie i satysfakcji doznanej na skutek napotkania jednego z przyjaciół pastora Campbella („którego ośmielię się - rzekł - określić jako natchnionego piewę naszego prezbiteriańskiego kościoła”),

zapropował mi krótki postój i nocleg w jego domu znajdującym się nieco poza Kingairloch. Byłem tym - prawdę powiedziawszy - uradowany, nie miałem bowiem zbytnej ochoty zawitać w gościną Johna of the Claymore. Po niemiłych doświadczeniach, najpierw z przewodnikiem, a następnie z szyprem promu, obawiałem się nieco każdego tubylca. Toteż uścisnęliśmy sobie dłonie na przypieczętowanie zaproszenia i po południu doszliśmy do małego domku stojącego samotnie nad wybrzeżem zatoki Linnhe Loch.

Słońce opuściło już pustynne góry Ardgour i przeszło na drugą stronę horyzontu, lecz oświetlało jeszcze góry Appin. Wody w zatoce nie marszczyła żadna fala i cisza panowała na niej jak na jeziorze, tylko kwilenie mew rozlegało się dokoła. Cały ten krajobraz uroczysty był i dziwny.

Zaledwie doszliśmy do drzwi domu, pan Henderland, ku memu wielkiemu zdziwieniu (byłem już przyzwyczajony do wytwornego obejścia szkockich górali), wyprzedził mnie gwałtownym ruchem, wpadł do pokoju, pochwycił gliniany garnczek oraz małą rogową łyżkę i zaczął ładować do nosa tabakę w niezwykle przesadnych ilościach. Kichał serdecznie przez czas dłuższy, po czym spojrzał na mnie z głupkowskim raczej uśmiechem.

- Ślubowałem - rzekł - iż nie będę nosił przy sobie tabaki. Oczywiście, jest to wielkie umartwienie. Ale gdy myślę o męczennikach, nie tylko szkockiego kościoła, lecz i innych wyznań chrześcijańskich, wstydę się odczuwać jej braku.

Zaraz po posiłku (zaczny ów człowiek nie rozporządzał niczym poza owsianką i zbieranym mlekiem) pan Henderland przybrał poważny wyraz twarzy i rzekł, iż poczuwa się do pewnego obowiązku w stosunku do pana Campbella, a mianowicie zbadania stanu mego umysłu pod względem pobożności i bojaźni bożej. Od incydentu z tabaką byłem skłonny traktować z pobłażliwym uśmiechem jego apostolską misję, lecz nie musiał przemawiać długo, aby wywołać łzy w moich oczach.

Dwie są rzeczy, które nigdy nie powinny znużyć człowieka: dobroć i pokora. Nie spotykamy ich zbyt często na tym brutalnym świecie wśród samolubnych i wyniosłych ludzi, a pan Henderland przemawiał właśnie językiem tych dwóch cnót. I aczkolwiek zbywało mi na pokorze z racji mych przygód, z których wyszedłem - jak się to mówi - z rozwiniętym sztandarem, to jednak wkrótce upadłem na kolana, obok tego prostego, ubogiego, starego mężczyzny, i obaj byliśmy z tego dumni i szczęśliwi.

Zanim położyliśmy się spać, ofiarował mi sześć pensów na dalszą drogę, ze szczupłego zapasu gotówki złożonej w zbudowanej z torfu ścianie jego domu. Nie wiedziałem, doprawdy, jak postąpić z tym nadmiarem dobroci. Tak usilnie jednak nalegał, iż uznałem za bardziej godne ustąpić jego woli, i pozostawiłem go biedniejszym ode mnie.





## XVII. Śmierć Czerwonego Lisa

Następnego dnia pan Henderland wyszukał dla mnie człowieka, który miał własną łódź i udając się na połów ryb zamierzał przepłynąć do Appin, na drugą stronę zatoki Linnhe, a że był owieczką tego duszpasterza, zgodził się zabrać mnie ze sobą. W ten sposób zaoszczędziłem jeden dzień podróży i pieniędzy za dwukrotny przewóz promem, bez którego usług nie mógłbym się obejść.

Zanim wyruszyliśmy, dobiegało południe. Ciemny był to dzień, słońce rzadko wyglądało spomiędzy pokrywających niebo chmur. Morze było bardzo głębokie i tak spokojne, bez żadnej prawie fali, że musiałem nabrać wody do ust, aby uwierzyć w jej słoność. Po obu stronach zatoki wznosiły się góry bardzo wysokie, urwiste i nagie, czarne i posępne w cieniu chmur, lecz gdy słońce padało na liczne opadające z gór potoki, lśniły one jakby całe pokryte srebrzystą koronką. Ten ubogi i nieprzystępny kraj nie wydawał się godzien tak silnej jak Alana i jego pobratymców miłości.

Jednemu natomiast zjawisku należy się tu wzmianka. Wkrótce po rozpoczęciu naszej przeprawy słońce oświetliło małą, szkarłatną plamę poruszającą się wzdłuż północnego brzegu zatoki. Kolor ten przypominał czerwone, żołnierskie kaftany, raz po raz dostrzegaliśmy również drobne iskierki i błyski, jak gdyby promienie słońca padały na błyszczącą stal.

Zapytany o to przewoźnik odpowiedział, iż jest to, jego zdaniem, oddział królewskich żołnierzy, maszerujący z Fort William do Appin, przeciwko biednym dzierżawcom w tym kraju. Zasmucił mnie ten widok i - czy to z powodu mych myśli o Alanie, czy też jakiegoś proroczego przeczucia nurtującego mi serce - aczkolwiek po raz drugi dopiero widziałem wojsko króla Jerzego, nie towarzyszyły mu dobre życzenia z mojej strony.

Dotarliśmy wreszcie tak blisko wylotu zatoki Leven, że zwróciłem się do mego przewoźnika z prośbą o przybicie do brzegu. Uczciwy ten człowiek, pomny obietnicy złożonej katechecie, byłby mnie chętnie dostawił do Balachulish, ale oddaliłoby mnie to od sekretnego celu mej podróży. Nalegałem więc i wylądowałem w lesie Lettermore, w Appin, ojczystym kraju Alana.

Był to las brzozy, rosnący na stromym, urwistym zboczu góry wznoszącej się nad samą zatoką, o licznych polanach i pełen wądołów zarosłych kępami paproci. Środkiem lasu biegła na północ i południe droga czy raczej ścieżka dla pojedynczego jeźdźca, a na jej skraju, w miejscu gdzie tryskało źródło, usiadłem, aby pożywić się danym mi przez pana Henderlanda owsianym chlebem i pomyśleć nad swoim położeniem.

Opadły mnie tam nie tylko chmary kąśliwych komarów, ale i gorsze od nich - wątpliwości. Jak winienem postąpić? Dlaczego miałbym się przyłączyć do człowieka wyjętego spod prawa i szczycącego się swymi morderczymi zamiarami, takiego właśnie jak Alan? Czy nie byłoby bardziej zgodne z rozsądkiem wędrować bezpośrednio na południe, własnym przemyśleniem i na własną rękę? Co pomyśleliby o mnie pan Campbell i pan Henderland, gdyby się kiedykolwiek dowiedzieli o mojej lekkomyślności i zarozumiałstwie? Takie to wątpliwości zaczęły mnie dręczyć silniej niż przedtem.

Podczas gdy tak siedziałem zamyślony, doszły do moich uszu odgłosy poruszających się w lesie ludzi i koni. Po chwili, zza zakrętu drogi, ukazało się czterech podróżnych. Droga w tym miejscu była tak wyboista i wąska, że szli gęsiego, prowadząc konie za wodze. Pierwszy kroczył wysoki, rudowłosy mężczyzna, o butnej i zaczerwienionej twarzy. Wachlował się trzymanym w rękę kapeluszem, był bowiem bardzo zgrzany i zdyszany. W drugim, po jego schludnej czarnej szacie i białej peruce, trafnie odgadłem prawnika. Trzeci szedł sługa, ubrany częściowo w ciemne sukno w kratę o barwach klanowych, co dowodziło, że jego pan należał do szkockiej rodziny góralskiej i był człowiekiem albo wyjętym spod prawa, albo cieszącym się szczególnymi względami rządu, gdyż noszenie tartanów było przez prawo zakazane.

Gdybym lepiej był obznajomiony z tymi sprawami, poznałbym, że to barwy klanu Campbellów. Zgodnie z powszechnie w tej części Szkocji przyjętym przez bogatych podróżników zwyczajem, do siodła sługi przytroczony był okazałych rozmiarów worek podróżny i siatka pełna cytryn służących do warzenia ponczu.

W czwartym podróżnym, idącym na końcu, poznałem natychmiast urzędnika szeryfa, widziałem bowiem już jemu podobnych.

Zaledwie dostrzegłem tych ludzi, postanowiłem od razu (nie potrafię powiedzieć, jakim ulegając pobudkom) brnąć dalej w rozpoczętą przygodę i gdy pierwszy z nich znalazł się koło mnie, powstałem spomiędzy wysokich kęp paproci i zapytałem o drogę do Aucharn.

Zatrzymał się, spojrzął na mnie nieco krzywo, jak mi się zdawało, po czym zwrócił się do prawnika:

- Mungo - rzekł - niejednen uznałby to za ostrzeżenie. Jestem właśnie w drodze do Duror, wiesz dobrze, w jakim celu, i ten oto młody człowiek wyskakuje z paproci pytając, czy udaję się do Aucharn.

- Glenure - odpowiedział prawnik - niestosowna to materia do żartów.

Ci dwaj znajdowali się przy mnie, pozostali zaś dwaj zatrzymali się w tyle, w odległości rzutu kamieniem.

- A kogóż to poszukujesz w Aucharn? - zapytał Colin Roy Campbell, zwany Czerwonym Lisem, jego to bowiem zatrzymałem.

- Człowieka, który tam mieszka - odpowiedziałem.

- Jamesa of the Glens - rzekł Glenure i zamyślił się na chwilę, po czym zwrócił się do prawnika: - Czy myślisz, że on zbiera swoich ludzi?

- W każdym razie - odparł prawnik - należałoby pozostać tu, gdzie jesteśmy, i poczekać, aż przyłączą się do nas żołnierze.

- Jeśli panom o mnie chodzi - powiedziałem - to nie należę ani do jego ludzi, ani do waszych. Jestem uczciwym poddanym króla Jerzego, nikomu nie podlegającym i nie obawiającym się nikogo.

- Godna to jest odpowiedź - rzekł na to pełnomocnik królewski - ale ośmielę się zapytać, cóż porabia ten uczciwy człowiek tak daleko od swego rodzinnego kraju? I dlaczego chce się widzieć z bratem Ardshiela? Ja tutaj mam władzę, trzeba ci wiedzieć. Jestem Pełnomocnikiem Króla na kilkunastu posiadłościach i dwanaście rot żołnierzy maszeruje za mną.

- Słyszałem w tych okolicach pogłoskę, że jest pan władczy i nieustępliwym człowiekiem - odpowiedziałem, nieco dotknięty.

Przyglądał mi się nadal, jak by się wahając.

- Ha - rzekł wreszcie - śmiały masz język. Ale ja lubię szczerość. Gdybyś jakiegokolwiek innego dnia zapytał mnie o drogę do drzwi Jamesa Stewarta, to bym ci ją wskazał i życzył szczęśliwej podróży, ale dzisiaj... co myślisz o tym, Mungo? - Odwrócił się i spojrzał na prawnika.

W tej właśnie chwili na górze, ponad nami, rozległ się strzał z rusznicy i natychmiast potem Czerwony Lis upadł na drogę.

- Zabili mnie! - zawołał.

Prawniki pochyliwszy się nad nim, podźwignęli go i objęli ramionami, sługa zaś stał obok i załamywał ręce. Ranny spojrzał na nich kolejno i rzekł wzruszająco zmienionym głosem:

- Zważajcie na siebie... Ja umieram...

Próbował rozpiąć odzież na piersiach, jak by w poszukiwaniu rany, lecz palce ześliznęły się z guzików. Zaraz potem westchnął głęboko, głowa zwisała mu na ramię i skonał.

Od chwili wystrzału prawnik nie odezwał się ani słowem, ale twarz jego była ostra jak pióro i trupio blada. Służący zaczął lamentować i szlochać jak dziecko, ja zaś stałem,

wpatrując się w nich, przejęty grozą. Natomiast urzędnik szeryfa na odgłos strzału pobiegł, aby przyspieszyć nadejście żołnierzy.

Wreszcie prawnik złożył zmarłego na zroszonej jego krwią drodze i staniając się powstał.

Zdaje mi się, że ten jego ruch przywołał mnie do przytomności, gdyż zaledwie prawnik wstał, począłem wdzierać się na górę, krzycząc: - Morderca! Morderca!

Tak mało czasu upłynęło od wystrzału, że gdy wydostałem się na szczyt pierwszego stoku i mogłem objąć wzrokiem otwarte zbocze góry, oddalający się morderca znajdował się w niewielkiej jeszcze odległości. Był to wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu z metalowymi guzikami i niósł strzelbę myśliwską o długiej lufie.

- Tutaj! - zawołałem. - Widzę go!

Morderca rzucił szybko okiem poza siebie i zaczął biec. W następnej chwili znikł w kępie brzoź; wypadł z niej po drugiej, wyżej położonej stronie i widziałem, jak wspinał się niczym małpa, gdyż następny stok góry był również bardzo stromy. Po czym dał nura w któryś z wądołów i nie widziałem go już więcej.

Przez cały ten czas biegłem naprzód i byłem już dosyć wysoko na zboczu góry, gdy jakiś głos zawołał na mnie każąc mi się zatrzymać.

Znajdowałem się na skraju lasu porastającego wyższy stok góry i gdy przystanąwszy spojrzałem poza siebie, widziałem poniżej całe otwarte zbocze.

Prawniki i urzędnik szeryfa stali tuż ponad drogą krzycząc do mnie i dając mi rękami znaki, bym wrócił, a na lewo od nich żołnierze w czerwonych kaftanach, z muszkietami w ręku, zaczęli pojedynczo wynurzać się z lasu otaczającego drogę, przedzierając się z trudem przez gęste podszycie.

- Dlaczego mam wracać?! - zawołałem. - Chodźcie tu do mnie!

- Dziesięć funtów za schwytanie tego chłopaka! - zawołał prawnik. - To wspólnik! Miał polecone zatrzymać nas tutaj rozmową!

Na te słowa (a mogłem je całkiem wyraźnie dosłyszeć, aczkolwiek nie do mnie, lecz do żołnierzy były skierowane) serce we mnie zamarło, z innego zupełnie rodzaju grozy, bowiem inna to sprawa ryzykować utratę życia, a zgoła inna narażać zarówno życie, jak i dobre imię. Oskarżenie to spadło na mnie tak nagle jak grom z jasnego nieba, że zdumienie obezwładniło mnie zupełnie.

Żołnierze zaczęli się rozpraszać, jedni ruszyli biegiem, drudzy podnieśli broń i wzięli mnie na cel, ja zaś stałem wciąż nieruchomy i bezradny.

- Padnij tu pomiędzy drzewa - odezwał się głos gdzieś w pobliżu.

Usłuchałem, niezbyt zdając sobie sprawę z tego, co robię. W tejże chwili usłyszałem huk muszkietów i świst kul pomiędzy brzozami.

Tuż za osłoną drzew zastałem Alana Breck stojącego z wędką w ręku. Nie powitał mnie, zaiste, nie była to pora na wymianę uprzejmości, rzekł tylko: - Chodź! - i pobiegł zboczem góry w stronę Balachulish, ja zaś ruszyłem za nim jak owca.

Biegliśmy wśród brzoź, coraz to przysiadając za niskimi zwałami ziemi i kamieni lub czołgając się pomiędzy wrzosami. Tempo biegu było śmiertelnie szybkie; serce łomotało mi o żebra tak silnie, że myślałem, iż pierś mi rozsadzi. Nie miałem ani czasu na myślenie, ani oddechu na wypowiedzenie słowa.

Pamiętam tylko moje zdziwienie, gdy widziałem, jak Alan od czasu do czasu powstaje, prostuje się i ogląda, a za każdym razem, gdy to czynił, rozlegały się w oddali radosne okrzyki żołnierzy.

Po piętnastu minutach Alan zatrzymał się, leż płasko we wrzosach i zwrócił się do mnie:

- Teraz - rzekł - sprawa przedstawia się poważnie. Czyn to, co i ja, jeśli ci życie miłe.

I równie szybko jak przedtem, ale zachowując tym razem większą jeszcze ostrożność, ruszyliśmy zboczem góry w tę samą stronę, z której przybyliśmy, tylko może nieco wyżej. Wreszcie Alan dopadł lasu w Lettermore, gdzie go spotkałem poprzednio, i runął twarzą w paprocie, dysząc jak pies. Mnie zaś kłuło boleśnie w boku, kręciło się w głowie, a spieczony język zwisał ze zgrzanych ust. Zwalilem się jak trup obok Alana.

## XVIII. Rozmowa z Alanem w lesie Lettermore

Alan pierwszy odzyskał siły, powstał, wyszedł na skraj lasu, rozglądnął się nieco, po czym wrócił do mnie i usiadł.

- No cóż, Davie - rzekł - nabiegałeś się nieźle!

Nic na to nie odpowiedziałem, nie podniosłem nawet twarzy. Byłem świadkiem dokonanego morderstwa, widziałem, jak wielmożny, tryskający zdrowiem, jowialny dżentelmen został w jednej chwili pozbawiony życia. Nie mogłem się otrząsnąć z bolesnego wrażenia po okropnym zdarzeniu, lecz nie na tym polegało najgorsze z moich utrapień. Otóż ofiarą morderstwa padł człowiek znienawidzony przez Alana; Alan zaś ukrywał się między drzewami i uciekał przed wojskiem. Nie miało więc wielkiego znaczenia, czy strzał padł z jego ręki, czy też na jego rozkaz tylko, bo w moim pojęciu jedyny mój w tym dzikim kraju przyjaciel winny był najgorszego rodzaju morderstwa. Czuję wstręt do Alana. Nie chciałem spojrzeć mu w oczy. Wolałbym raczej leżeć wśród deszczu na mej zimnej wyspie niż w zacisznym lesie obok mordercy.

- Jesteś jeszcze zmęczony? - zapytał Alan.

- Nie - odpowiedziałem leżąc wciąż z twarzą ukrytą w paprociach - nie jestem zmęczony i mogę mówić. Musimy się rozstać! Lubiłem cię bardzo, Alanie, ale ty innymi niż moje kierujesz się w życiu zasadami, a nie są one zgodne z prawem boskim. I wynika z tego pokrótce, że musimy się rozłączyć.

- Niełacno mi się z tobą rozłączyć, Davie, bez jakiegoś ważnego powodu - odrzekł Alan z ogromną powagą. - A jeśli masz mi cokolwiek do zarzucenia, co by cię rzucało na mą reputację, powinienes przynajmniej, w imię starej znajomości, powiedzieć mi, o co chodzi. A jeśli przestałeś tylko gustować w mym towarzystwie, moją jest rzeczą osądzić, czy mam to uznać za zniewagę.

- Alanie, jakież sens ma to wszystko? Wszak wiesz dobrze, że twój wróg Campbell leży na drodze, skąpany we własnej krwi.

Milczał przez chwilę, po czym rzekł: - Czy słyszałeś kiedy bajkę o Człowieku i Dobrym Narodzie?

- Nie - odparłem. - I nie chcę słyszeć.

- Jednakże, z pańskim pozwoleniem, panie Balfour, opowiem ci ją. Pewien człowiek, trzeba ci wiedzieć, został porzucony na skale wśród morza. Dobry Naród zwykł na niej jakoby wypoczywać, żeglując do Irlandii. Skala ta nazywała się Skerryvore i znajduje się opodal miejsca, gdzie zatonął nasz bryg. Człowiek ten lamentował tak żałośnie, chcąc przed

śmiercią ujrzyć raz jeszcze swe dziecię, iż wreszcie król Dobrego Narodu zlitował się nad nim i wysłał skrzydlatego posłańca, który przyniósł dziecię w mieszku i podczas gdy ów człowiek spał, złożył je koło niego. Obudziwszy się ujrzał człowieka koło siebie mieszek, w którym coś się poruszało. Otóż należał ów człowiek do tych, którzy dopatrują się we wszystkim najgorszego, i gwoździ większej ostrożności przebił mieszek sztyletem, a potem dopiero go otworzył i znalazł w nim martwe dziecię. Wydaje mi się, panie Balfour, że ów człowiek i ty bardzo jesteście do siebie podobni.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie przyłożyłeś do tamtego ręki? - zawołałem siadając.

- Powiem ci przede wszystkim, panie Balfour of Shaws, jak przyjaciel przyjacielowi, że jeślibym zamierzał zabić dzentelmena - to nie we własnym kraju, nie chcę bowiem narażać mego klanu. I nie znajdowałbym się tutaj bez broni i szabli, z wędką na plecach jedynie.

- To prawda!

- A teraz - mówił dalej Alan wydobywając sztylet i składając nań rękę w jakiś szczególny sposób - przysięgam na Święte Żelazo, że ani myślą, ani czynem nie brałem w tym udziału.

- Dziękuję za to Bogu! - zawołałem i podałem mu rękę.

Zdawał się tego nie widzieć.

- Czyż nie za wiele kramu o jednego Campbella? - rzekł. - O ile mi wiadomo, dosyć jest ich na świecie.

- O to przynajmniej nie możesz mieć do mnie żalu - powiedziałem. - Wszak wiesz dobrze, coś mi mówił na brygu. Lecz, dzięki Bogu, pokusa i czyn to nie to samo. Każdego z nas może nawiedzić pokusa, ale z zimną krwią pozbawić kogoś życia... Alanie! - Nie mogłem nic więcej wypowiedzieć przez chwilę. - Czy wiesz, kto to uczynił? - dodałem. - Czy znasz tego mężczyznę w czarnym płaszczu?

- Niezbyt dokładnie sobie przypominam, jaki miał płaszcz - odpowiedział chytrze Alan. - Ale coś mi się wydaje, że niebieski.

- Czarny albo niebieski. Ale czy go znasz?

- Nie mógłbym z czystym sumieniem na to przysiąc. Przebiegał co prawda blisko mnie, ale dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie w tej chwili zawiązywałem sobie buty.

- Czy możesz przysiąc, że go nie znasz, Alanie?! - zawołałem na poły z gniewem, na poły ze śmiechem zauważywszy wykręty Alana.

- Jeszcze nie. A krótką mam pamięć, gdy mi na tym zależy.



- Widziałem przecież wyraźnie, jak narażałeś siebie i mnie chcąc ściągnąć żołnierzy w naszą stronę.

- To bardzo prawdopodobne. Każdy dżentelmen tak samo by postąpił. Byliśmy wszak niewinni w tej sprawie.

- Tym bardziej więc, skoro niesłuszne padło na nas podejrzenie, trzeba nam było uciekać myśląc tylko o sobie. Czy nie należy dbać o niewinnego więcej niż o winowajcę?

- Ależ, Davie, niewinny może się nieraz wykręcić jeszcze przed sądem, dla chłopca zaś, który tę kulę wystrzelił, najodpowiedniejszym miejscem są, moim zdaniem, wrzosowiska. Ci, którzy nie maczali nigdy rąk w żadnej drobnej sprawce, winni mieć na względzie los ludzi, którym się to przydarzyło. To obowiązek dobrego chrześcijanina. Bo gdyby sprawa przedstawiała się odwrotnie i chłopak, którego nie zdołałem dojrzeć wyraźnie, był w naszej skórze, a my w jego (bo mogłoby się to łatwo zdarzyć), sądzę, że bylibyśmy mu bardzo wdzięczni za odciążenie od nas żołnierzy.

Zaprzestałem więc przekonywać o mej racji Alana, który podczas naszej rozmowy wyglądał niewinnie, a wszystko, co mówił, wypływało z dobrej wiary i wyraźnie gotów był się poświęcić w obronie tego, co uważał za swój obowiązek, że zamknęło mi to usta. Przypomniałem sobie pana Henderlanda, który powiadał, że należałoby nieraz brać przykład z dzikich górali. To, co mówił Alan, było dla mnie takim właśnie przykładem. Moralność jego była przewrócona do góry nogami, lecz za taką, jaką była, oddałby bez wahania życie.

- Alanie - rzekłem - nie powiem, aby to był obowiązek dobrego chrześcijanina, tak jak ja go rozumiem, ale to mi wystarczy. I oto podaję ci moją dłoń po raz drugi.

Podał mi obie dłonie mówiąc, że musiałem go oczarować, wszystko bowiem gotów jest mi zawsze wybaczyć. Potem przybrał bardzo poważny wyraz twarzy i rzekł, iż nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia, musimy bowiem obaj uchronić z tych okolic: on - jako że był dezertorem, i ja - ponieważ byłem niewątpliwie zamieszany w morderstwo, bo z pewnością przeszukają całe Appin dokładnie i każdy będzie musiał dobrze wytłumaczyć, gdzie przebywał i co porabiał.

- Eh - rzekłem chcąc mu dać małą nauczkę - nie obawiam się sprawiedliwości w moim kraju.

- Mówisz, jak by to był twój kraj. I jak byś miał stanąć przed sądem Stewartów.

- Wszędzie tu jest Szkocja.

- Człowieku, dziwię ci się, doprawdy. Zabity został jeden z Campbellów, będzie więc to podlegać sądowi w Inverara, w głównym siedlisku tego klanu. Piętnastu Campbellów zasiądzie na ławie przysięgłych, a najpotężniejszy z nich, książę Argyle, będzie się panoszył

wśród sędziów. Sprawiedliwość, Davie? Ta sama to będzie sprawiedliwość, którą niedawno spotkał na drodze Czerwony Lis.

Przestraszyło mnie to nieco, wyznaję, a przestraszyłoby jeszcze bardziej, gdybym wiedział, jak bliskie prawdy okazały się przewidywania Alana. Przesadził bowiem pod jednym tylko względem: wśród przysięgłych zasiadło jedenastu Campbellów. Miało to jednak mniejsze znaczenie, niż mogłoby się wydawać, gdyż pozostali czterej byli również uzależnieni od księcia. Wszelako głośno zarzuciłem Alanowi stronnictwo w opinii o księciu, twierdząc, że chociaż książę należy do stronnictwa Whigów, jest jednak mądrym i uczciwym szlachcicem.

- Tere, fere - odparł Alan. - Jest Whigiem, to pewne. Ale nie zaprzeczę, że jest również dobrym wodzem swego klanu. A cóż by sobie pomyśleli jego klanowi pobratymcy i własny ich wódz będący Najwyższym Sędzią, gdyby nikt nie został za zastrzelenie jednego z Campbellów powieszony? Nieraz już zresztą zauważyłem, że wy w Dolnej Szkocji nie macie zupełnie pojęcia o tym, co dobre, a co złe.

Wybuchnąłem na to śmiechem i ku memu zdziwieniu, Alan roześmiał się również wesoło.

- Jesteśmy w Górnej Szkocji, Davie, i skoro ci powiadam - umykaj, wierz mi na słowo i umykaj. Ciężko jest oczywiście ukrywać się i głodować wśród wrzosów, ale gorzej by ci było w kajdanach, w królewskim więzieniu.

Zapytałem go, dokąd winniśmy uciekać, a gdy odpowiedział, że do Dolnej Szkocji - nabrałem jeszcze bardziej ochoty iść za nim. Pilno mi było tam powrócić i rozprawić się ze stryjem. W dodatku Alan tak mnie zapewniał, iż nie mogę liczyć na sprawiedliwość, że obawa przed trafnością jego przewidywań zaczęła brać górę. Ze wszystkich sposobów rozstania się z życiem, śmierć na szubienicy najmniej mi się uśmiechała. Obraz tego groźnego narzędzia stanął mi przed oczyma z niezwykłą wyrazistością (widziałem kiedyś jego wizerunek na sztychu ilustrującym balladę o włóczęgach) i odebrał wszelką ochotę do zetknięcia się z władzami sądowymi.

- Zdam się na los szczęścia - powiedziałem - i pójdę z tobą, Alanie.

- Pamiętaj jednak, że niełatwe jest to zamierzenie. Przygotuj się na wielkie trudy o głodzie i chłodzie. To samo co dzikie ptactwo będziesz miał posłanie, żyć będziesz jak ścigany jeleni i spać nie wypuszczając z rąk broni. Nieraz znużone nogi odmówią ci posłuszeństwa, ale inaczej nie zdołamy umknąć. Powiadam ci to na początku, bo takie życie dobrze mi jest znane. Lecz jeśli mnie zapytasz, czy jest inne wyjście, odpowiem: nie ma żadnego. Albo dasz ze mną drapakę we wrzosowiska, albo będziesz wisiał.

- Z łatwością więc dokonam wyboru - rzekłem i po tych słowach uścisnęliśmy sobie dłonie.

- A teraz rzućmy jeszcze raz okiem na to, co porabiają czerwone kaftany - rzekł Alan i powiódł mnie na północno-wschodni skraj lasu.

Wyglądając spomiędzy drzew mogliśmy dostrzec wysokie zbocza górskie, opadające stromo ku zatoce. Był to bardzo trudny do przebycia obszar: same zwisające kamienie, wrzosa i małe kępki brzoźek. Daleko w stronę Balachulish maleńkie, czerwone postacie żołnierzy coraz to nikły i ukazywały się wśród urwistych jarów i turni. Nie pokrzykiwali już wesoło, mogli zapewne lepiej spożytkować resztki tchu, jakie im pozostały, lecz trzymali się wyznaczonego przez nas szlaku, sądząc, że znajdujemy się niedaleko.

Alan patrzył na nich i uśmiechał się do siebie.

- Tak - rzekł - nieźle się zmęczą, zanim im to zajęcie obrzydnie. Możemy więc usiąść, przegryźć coś niecoś, odsapnąć porządnie i pociągnąć łyk z mojej manierki. Ruszymy potem do Aucharn, do domu mego krewniaka, Jamesa of the Glens, skąd muszę zabrać odzież, broń i pieniądze na dalszą drogę. Wtedy, Davie, zawołamy: - Prowadź, Fortuno! - i skoczmy we wrzosowiska.

Jedliśmy więc i piliśmy siedząc w miejscu, skąd mogliśmy widzieć słońce zachodzące za rozległe zwały wysokich, dzikich i bezludnych gór, wśród których wędrować miałem z moim towarzyszem.

Częściowo tam i częściowo później, w drodze do Aucharn, każdy z nas opowiedział swoje przygody. Z dotyczących Alana wspomnę tylko te, których opis wydaje mi się ciekawy lub pożyteczny.

Otóż Alan, podbiegłszy do nadburcia zaraz po odpłynięciu fali, która zmyła mnie z pokładu brygu, dojrzał mnie, stracił z oczu, dojrzał znowu - jak borykałem się z przyplływem, ale po raz ostatni widział mnie trzymającego się rei. To właśnie wzbudziło w nim nadzieję, że może wydostaną się jakoś na ląd, i skłoniło go do pozostawienia za sobą poszlak i wskazówek, które umożliwiły mi (za me grzechy) dojście do tych nieszczęsnych okolic w Appin.

Pozostali na brygu ludzie spuścili tymczasem łódź i jeden lub dwóch już się w niej znajdowało, gdy nadbiegła następna fala, jeszcze większa od poprzedniej, pochwyciła bryg i byłaby go na pewno zatopiła, gdyby statek nie uderzył o jakiś występ rafy i nie utknął na nim. Pierwsza wielka fala runęła ze strony dzioba i od tej chwili rufa była najniżej położoną częścią statku, druga zaś wyrzuciła rufę do góry i dziób zanurzył się w morze, przez co woda

zaczęła się wlewać przednim lukiem do wnętrza statku tak gwałtownie, jak by spadała z tamy obok młyna.

Nawet twarz Alana pobladła, gdy opowiadał, co się potem stało. Dwóch rannych i bezwładnych marynarzy leżało jeszcze w kojach. Widzieli, jak woda zalewa pomieszczenie, i rozumiejąc, iż statek tonie, zaczęli krzyczeć tak przeraźliwie, że wszyscy znajdujący się na pokładzie skoczyli jeden przez drugiego do łodzi i rzucili - się do wiosł. Nie odpłynęli jeszcze dwustu jardów, gdy nadeszła trzecia wielka fala i podniosła bryg z rafy. Żagle naprężyły się na chwilę, jak by bryg ruszył w pogoń za łodzią, ale tymczasem zanurzał się jednak coraz bardziej, jak by ręka jakaś ciągnęła go w głębinę. Wreszcie morze zamknęło się nad brygiem Covenant z portu Dysart.

Wiosłujący do brzegu rozbitkowie nie wypowiedzieli ani słowa, przejęci grozą tych straszliwych okrzyków. Zaledwie jednak dotknęli stopą lądu, Hoseason ocknął się jakby z głębokiej zadumy i kazał marynarzom powalić Alana. Wahali się, nie okazując zbytnej ochoty na takie przedsięwzięcie, lecz Hoseason zaczął rzucać się jak opętany, wrzeszcząc, że Alan jest sam i ma dużo przy sobie pieniędzy, że za jego to przyczyną zatonął statek i postradali życie ich towarzysze, że za jednym zamachem zemstę i bogactwo mogą osiągnąć. Było ich siedmiu przeciwko jednemu. W miejscu, gdzie wylądowali, nie było żadnej skały, o którą Alan mógłby się oprzeć plecami, a marynarze tymczasem zaczęli się rozpraszać i zachodzić go od tyłu.

- Wtedy to - mówił Alan - ów mały mężczyzna, z rudą głową... nie pamiętam, jak on się nazywa...

- Riach! - rzekłem.

- Tak, Riach! Otóż on to właśnie stanął w mojej obronie, zapytał marynarzy, czy nie boją się sądu bożego i dodał: „Ja sam osłonię plecy tego górala”. Nie był to całkiem zły człowiek, ten twój mały z rudym łbem. Miał w sobie jakieś resztki przyzwoitości.

- Tak. I dla mnie był on dobry po swojemu.

- Okazał się dobry i dla mnie. Dalibóg, uznałem jego postawę za godną pochwały. Widzisz, Davie, zatonięcie brygu i wrzaski owych nieszczęsnych marynarzy wywarły na nim bardzo silne wrażenie. Zdaje mi się, że to właśnie stało się pobudką jego postępowania względem mnie.

- I ja tak sądzę, bo na początku był na nas nie mniej od innych zażarty. A cóż na to kapitan Hoseason?

- O ile pamiętam, bardzo się pieklił, ale ten mały mężczyzna zawołał do mnie, abym uciekał. Uznałem to za bardzo rozsądną radę, więc w nogi! Gdy spojrzałem na nich po raz ostatni, stali kupą na brzegu - jak ludzie, których dzieli poważna różnica zdań.

- Co przez to rozumiesz?

- Pięści były w ruchu i widziałem, że jeden z nich zwałił się na ziemię jak szmata. Wołałem jednak nie czekać dłużej. W tej części wyspy Muli zamieszkuje spora gromada Campbellów, a to nie jest dobre towarzystwo dla takiego jak ja dżentelmena. Gdyby nie to, byłbym poczekał i zaczął szukać ciebie, nie mówiąc już o daniu pomocy małemu panu Riach. (Śmieszne było to ciągle podkreślanie jego nikłej prezencji, gdyż prawdę powiedziawszy Riach nie był o wiele niższy od Alana). Wyciągnąłem więc szparko nogi - mówił dalej - a do każdego napotkanego wołałem, że na brzegu leży rozbity statek. Żaden z nich się nie zatrzymał nawet, z czego tylko kłopot mógłby dla mnie wyniknąć. Trzeba ich było widzieć, jak rwali w stronę brzegu. Dobiegłszy tam, nic oczywiście nie zastali. Przelecieli się więc na darmo, co jeszcze żadnemu Campbellowi nie zaszkodziło. Bryg zatonął w całości i nie rozleciał się na kawałki, co uważam za ciężki dopust boski dla klanu. Dla ciebie to się okazało również nieszczęściem, bo gdyby fale zaniosły na brzeg szczątki statku, byłiby ich wszędzie szukali i wkrótce ciebie znaleźli.

## XIX. Popłoch w domu Jamesa Stewarta

Noc zapadła podczas naszego marszu i chmury, które rozpełzły się w ciągu popołudnia, zebrały się i zgęstniały tak, iż niezwykle, jak na tę porę roku, panowały ciemności. Szliśmy po bardzo urwistych zboczach i chociaż Alan śmiało posuwał się naprzód, nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, czym się kierował.

Wreszcie, około wpół do jedenastej wieczorem, doszliśmy do szczytu jakiegoś wzgórza i zobaczyliśmy w dole światła, jak by przez otwarte drzwi domu wydobywał się blask świec i ognia. Pięć czy sześć osób, z zapalonymi łuczycami w rękach, uwijało się wokół domu.

- James musiał stracić głowę - rzekł Alan. - Gdyby to byli żołnierze, a nie my, dopiero by sobie biedy napytał. Co prawda on ma pewnie wartownika na drodze i wie dobrze, że tędy, skąd my zejdziemy, żaden żołnierz by się nie przedostał.

Gwizdnął trzy razy w szczególny sposób. Zdziwiający to był widok, gdy na pierwszy odgłos gwizdania znieruchomiały wszystkie pochodnie, jak by niosących ogarnął strach, ale po trzecim razie krzątania rozpoczęła się po dawnemu.

Uspokoiwszy ich w ten sposób, zeszliśmy ze wzgórza. Przy bramie - obejście to bowiem wyglądało na dostatnią farmę - spotkał nas wysoki, przystojny mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, który przemówił do Alana po szkocku.

- Nie mów, proszę, po szkocku - rzekł Alan - gdyż przybył tu ze mną pewien młody dżentelmen, który nie włada tym językiem. Oto on - dodał biorąc mnie pod rękę - jest to młody dżentelmen z Dolnej Szkocji i dziedzic w swoim kraju, ale wydaje mi się, że pominięcie jego nazwiska wyjdzie mu bardziej na zdrowie.

James Stewart of the Glens przyglądał mi się przez chwilę i powitał dosyć uprzejmie. Po czym zwrócił się do Alana.

- To okropny wypadek! - zawołał załamując ręce. - Ściągnie wielkie nieszczęście na te okolice.

- Furda! - odpowiedział Alan. - Trzeba przełykać kwaśne kąski wraz ze słodkimi. Colin Roy nie żyje i bądź za to wdzięczny!

- Dalibóg, wolałbym, aby ożył! Pogróżki i przechwałki niewiele znaczą, ale teraz to się stało, Alanie. I na kogóż za to spadnie odpowiedzialność? Wypadek zdarzył się w Appin, pamiętaj o tym, Alanie, i Appin musi za to zapłacić. A ja mam rodzinę.

Podczas gdy rozmawiano, przyglądałem się zabiegom służby. Jedni stali na drabinach - szperając w strzechach domu i gospodarskich zabudowań, skąd wydobywali strzelby, szable

i broń wszelkiego rodzaju, inni ją odnosili, a sądząc po rozlegających się w pobliżu uderzeniach motyki przypuszczam, że broń tę zakopywali. Chociaż jednak wszyscy pilnie przykładali się do roboty, pracowali bezładnie: kilku na raz chwyciło za tę samą strzelbę, inni zaś przeszkadzali sobie wzajemnie, biegając z płonącymi pochodniami. James przerywał co chwila rozmowę z Alanem i wykrzykiwał rozkazy, których nikt nie zdawał się rozumieć. Na twarzach ludzi, widocznych w świetle pochodni, malował się pośpiech i panika, a chociaż żaden z nich nie mówił inaczej jak szeptem, w słowach brzmiała złość i niepokój.

Wówczas to właśnie wyszła z domu dziewczyna niosąc jakieś zawiniątko. Nieraz uśmiechałem się wspominając, jak widok ten obudził swoisty instynkt Alana.

- A cóż niesie ta dziewczyna? - zapytał.

- Porządkujemy właśnie dom - odpowiedział James przestraszonym i nieco przymilnym głosem. - Przeszukają całe Appin ze świecą w ręku i musimy się na to przygotować. Jak widzisz, zakopujemy w mech strzelby i szable, a to jest pewnie twoja francuska odzież.

- Chcecie zakopać mój francuski surdut?! - wykrzyknął Alan. - Przenigdy! - Pochwycił zawiniątko i poszedł do stodoły się przebrać, polecając mnie względem swego krewniaka.

Zgodnie z tym James zaprowadził mnie do kuchni i usiadł przy stole, uśmiechając się z początku i gościnnie rozmawiając ze mną. Po chwili jednak spochmurniał znowu. Siedział marszcząc się i gryząc palce. Tylko od czasu do czasu przypominał sobie o mojej obecności i rzucał parę słów z wymuszonym uśmiechem, po czym zagłębiał się znowu w swe troski. Żona Jamesa siedziała przy ogniu i płakała z twarzą ukrytą w dłoniach, starszy syn przykucnął na podłodze, przeglądając wielki stos papierów i raz po raz niektóre palił starannie. Po kuchni krzątała się, pochlipując głośno, nieprzytomna ze strachu służąca o czerwonej twarzy. Co chwila któryś z mężczyzn zaglądał z podwórza i wołał o rozkazy.

Wreszcie James nie mógł już dłużej wysiedzieć i przepaszając mnie za brak uprzejmości zapytał, czy nie mam nic przeciwko temu, aby poruszał się po kuchni.

- Niezbyt wesoło, panie, dotrzymuję wam towarzystwa - dodał. - Ale o niczym nie mogę myśleć, jak tylko o tym okropnym wypadku i o kłopotach, jakie spadną na całkiem niewinne osoby.

Wkrótce potem dostrzegł, jak syn jego pali papier, który jego zdaniem należało zachować, i takiemu uległ wzburzeniu, że przykro mi było na to patrzeć. Uderzył chłopca parokrotnie.

- Czyś oszalał? Chcesz, żeby mnie powiesili?! - wołał i zapominając o mojej obecności lajał go przez czas dłuższy po szkocku. Chłopak milczał, żona natomiast, na wzmiankę o powieszeniu, narzuciła fartuch na głowę i szlochała jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem.

Dla mnie, obcego w tym domu, widzieć to i słyszeć było prawdziwą udręką. Toteż ucieszyłem się z powrotu Alana wystrojonego w francuską odzież, tak zmięta co prawda i zniszczona, że niezbyt zasługiwała na miano stroju. Moje ubranie od dawna również dopominało się zmiany. Jeden z synów Jamesa zaprowadził mnie więc do sąsiedniej izby i dał świeżą odzież tudzież parę góralskich butów z jeleniej skóry. Początkowo czułem się w nich dziwnie, ale po niedługim użyciu okazały się bardzo wygodnym obuwiem.

Zanim powróciłem, Alan zdążył widocznie opowiedzieć, co zaszło, gdyż było postanowione, że mam uciekać wraz z nim, i zajęto się naszym ekwipunkiem. Dostaliśmy po parze pistoletów i szabli, chociaż przyznałem się do mojej nieumiejętności we władaniu tą bronią. Uzbrojeni i wyposażeni w amunicję, worek mąki owsianej, żelazną patelnię i butelkę dobrej, francuskiej gorzały byliśmy gotowi wyruszyć we wrzosowiska. Pieniądzy natomiast mieliśmy za mało. Mnie pozostało około dwóch gwinei. Trzos Alana wysłano przez kogoś innego i na całą fortunę tego zaufanego posłannika składało się siedemnaście pensów. James, jak się okazało, tak się wykosztował na podróż do Edynburga i prawowanie się w obronie dzierżawców, że zdołał wysupłać zaledwie pięć szylingów i pięć i pół pensa, z czego większość w miedziakach.

- To nie wystarczy - rzekł Alan.

- Musisz gdzieś wynaleźć bezpieczną kryjówkę - odpowiedział James - i dać mi o niej znać. Trzeba ci się z tej całej sprawy gracko wykręcić, więc nie pora teraz na liczenie się z wydatkiem jednej lub dwóch gwinei. Oni na pewno wywąchają coś o tobie, będą cię szukać i złożą, moim zdaniem, na ciebie winę za dzisiejszy wypadek, tym samym i na mnie, który jestem bliskim krewnym i udzielałem ci schronienia podczas twego pobytu w kraju. A jeśli do tego przyjdzie... - zamilkł, twarz mu zbladła i zaczął gryźć palce. - Nie mały to byłby cios dla naszych przyjaciół, gdyby mnie powiesili.

- Smętny to byłby dzień dla Appin - rzekł Alan.

- Na myśl o tym czuję, jak coś dławi mnie w gardle. Ach, Alanie, nieraz przemawialiśmy jak dwaj głupcy! - zawołał James uderzając ręką w ścianę, aż dom się zatrzęsł.

- To prawda - odparł Alan. - A ten oto mój przyjaciel - wskazał mnie ruchem głowy - dawał mi także dobre rady pod tym względem, ale nie chciałem co słuchać.



- Jeśli dobiorą się do mnie - mówił James - wtedy właśnie będziesz potrzebował pieniędzy. Po wszystkim, cośmy wygadywali przeciwko Czerwonemu Lisowi, na nas przede wszystkim padnie podejrzenie. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Otóż słuchaj mnie uważnie, a zrozumiesz, że ja sam będę musiał ciebie denuncjować! Ofiarować nagrodę za twoją głowę. Tak! Będę musiał to uczynić! Ciężko jest się na to zdobyć pomiędzy takimi jak my przyjaciółmi, ale jeśli mnie oskarżą o ten okropny wypadek, będę musiał się bronić. Czy rozumiesz to?

Mówił, błagalnym gestem chwytając Alana za klapy surduta.

- Tak - rzekł Alan - rozumiem.

- Będziesz musiał uchodzić z tego kraju, Alanie, a nawet ze Szkocji! Ty i twój przyjaciel. Gdyż będę musiał i jego oskarżyć. Wszak rozumiesz to, Alanie?

Wydawało mi się, że Alan poczerwieniał trochę.

- Trudno się z tym pogodzić mnie, który go tutaj przyprowadziłem - rzekł odrzucając głowę do tyłu. - Czuję się, jak bym był zdrajcą!

- Ależ, Alanie - zawołał James - spójrz w oczy rzeczywistości! Jego i tak oskarżą. Wyślą za nim listy gończe. Mungo uczyni to na pewno. Czyż może więc mu zaszkodzić, jeśli i ja to uczynię? Miejże wzgląd na moją rodzinę, Alanie.

Obaj zamilkli na dłuższą chwilę.

- Pamiętaj, Alanie, że przysięgli należeć będą do klanu Campbellów - dodał James.

- Co prawda - rzekł namyślając się Alan - nikt nie zna jego nazwiska.

- I nie dowiedzą się, Alanie! Oto moja ręka! - zawołał James z takim zapalem, jak by znał moje nazwisko i godził się z utratą jakiejś korzyści. - Tylko o tym jak był ubrany, jak wyglądał, jego wiek i temu podobne rzeczy - nie mógłbym przemilczeć.

- Dziwię się synowi twego ojca! - wykrzyknął surowo Alan. - Czyżbyś zamierzał sprzedać chłopca po obdarowaniu go? Czyżbyś najpierw dał mu inne odzienie, a potem zdradził?

- Nie, nie, chodzi tylko o ubranie, które porzucił. Te, w jakim widział go Mungo.

Jednakże James wydawał mi się bardzo zgnębiony. Miał wciąż przed oczyma twarze swych dziedzicznych wrogów zasiadających na ławie przysięgłych i za sędziowskim stołem oraz majaczące w oddali widmo szubienicy.

- Cóż pan powie na to wszystko? - rzekł Alan zwracając się do mnie. - Jest pan tutaj na pieczy mego honoru. Moją jest więc sprawą, aby nie stało się nic, co panu by nie dogadzało.

- Jedno tylko pragnę powiedzieć - rzekłem na to - bowiem w całym tym sporze nie chcę brać żadnego udziału. Otóż zdrowy rozsądek wskazuje, że należy obarczyć winą tego, kto ją ponosi, to jest tego, kto zastrzelił Colina Roya. Oskarżcie go, skierujcie za nim pościg, a wtedy uczciwi i niewinni ludzie będą mogli bezpiecznie ukazywać swoje oblicze.

Zarówno Alan, jak i James przyjęli te słowa okrzykiem zgrozy. Prosimi mnie, abym zamilkł, tak bowiem postąpić byłoby wprost nie do pomyślenia. Cóż by na to powiedzieli członkowie klanu Cameron z Mamore? (Co utwierdziło mnie w przekonaniu, że zabójca należał do tego właśnie klanu).

- Czyż nie zdajesz sobie sprawy, że ów chłopak mógłby przez to zostać schwytyany? Na pewno o tym nie pomyślałeś - mówili obaj tak szczerze, że opadły mi ręce i porzuciłem wszelką argumentację.

- Dobrze - powiedziałem - oskarżcie więc mnie, jeśli chcecie, oskarżcie Alana, oskarżcie króla Jerzego! Wszyscy trzej jesteśmy niewinni, a jak się okazuje, tacy właśnie są ścigani. - I ochłonąwszy nieco ze złości rzekłem do Jamesa: - Jestem przyjacielem Alana i jeśli mogę oddać przysługę któremukolwiek z jego przyjaciół, chętnie się narażę, aby to uczynić.

Wolałem wyrazić moją zgodę w pogodny sposób, gdyż zdawałem sobie sprawę z rozterki Alana. Poza tym (myślałem sobie), skoro tylko stąd odejdę, oskarżą mnie bez względu, czy zgodziłem się na to, czy też nie. Myliłem się jednak, jak się okazało. Zaledwie bowiem wypowiedziałem te słowa, pani Stewart zerwała się z krzesła, podbiegła do nas i zaczęła płakać, najpierw na mojej szyi, a potem Alana, błogosławiąc naszą dobroć dla jej rodziny.

- Jeśli chodzi o ciebie, Alanie - mówiła - jest to tylko twój święty obowiązek, lecz ten chłopiec, który pojawił się tutaj i widział nas w najgorszym świetle, widział, jak gospodarz tego domu poniżał się i skamlał, gospodarz, który ma prawo rozkazywania niczym każdy król... Serce moje boleje, gdyż nie znam twego nazwiska, ale pamiętam twarz i tak długo, jak serce w mych piersiach bić będzie, nie zapomnę jej, będę myślała o tobie i będę ci błogosławić. - Po czym ucałowała mnie i wybuchła takim płaczem, że stałem patrząc na nią w milczącym zdumieniu.

- Tere, fere - rzekł Alan z bardzo głupią miną. - Dzień wstaje wcześnie w lipcu. A jutro w Appin rozpoczną się harce nie lada. Krążyć tu będą czerwone kaftany, rozjeżdżać dragoni i rozlegać się wrzaski Campbellów skrzykujących się bojowym zawołaniem swego klanu. Czas już na nas najwyższy.

Pożegnaliśmy się więc i wyruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się nieco na wschód, w piękną, ciepłą i mroczną noc, w równie górzysty i nieprzystępny kraj, jak ten, z którego przybyliśmy.

## XX. Ucieczka w góry

Posuwaliśmy się naprzód, idąc lub biegnąc na przemian, a w miarę jak zbliżał się brzask, szliśmy coraz rzadziej i biegliśmy coraz częściej. Aczkolwiek te okolice były na pozór bezludne, minęliśmy jednak około dwudziestu chat i domów, ukrytych w zacisznych ustroniach, wśród gór. Ilekroć znajdowaliśmy się w pobliżu jakiejś ludzkiej siedziby, Alan pozostawiał mnie na boku, sam zaś podchodził do domu, stukał w ścianę i rozmawiał chwilę przez okno z którymś z obudzonych mieszkańców. Chodziło o przekazanie wiadomości. W tym kraju było to do tego stopnia obowiązkiem, że nawet uciekający dla ratowania życia Alan musiał mu zadośćuczynić. Obowiązek ten był tak dobrze spełniany przez innych, że w połowie domów, do których dotarliśmy, słyszeli już o dokonanym morderstwie. W innych, jak mogłem wymiarkować stojąc z dala i słysząc nie znany mi język, wiadomość tę przyjmowano z ubolewaniem raczej niż ze zdziwieniem.

Zaczęło świtać, a my, pomimo pośpiechu, wciąż znajdowaliśmy się daleko od jakiegokolwiek kryjówki. Dzień zastał nas w ogromnej, pełnej skał dolinie, gdzie płynęła bystra rzeka. Otaczały ją dzikie góry, na których ani trawa nie rosła, ani drzewa. Nieraz potem myślałem, że musiała to być dolina Glencoe, pamiętna z rzezi za panowania króla Wilhelma. Nie znam jednak bliższych szczegółów naszej marszruty, wędrowaliśmy bowiem szybko, przeważnie nocą, bądź to na przełaj, bądź to okrążając z daleka pewne miejsca, a gdy pytałem o nazwy miejscowości, podawano mi w języku szkockim, przez co tym łatwiej je zapomniałem.

Brzask poranku ukazał nam tę nieszczęsną dolinę i widziałem, jak się Alan zasepił.

- To nie jest odpowiednie miejsce dla nas - rzekł. - Będą go na pewno pilnować.

Po czym zbiegł, szybciej niż kiedykolwiek, aż do brzegu, gdzie trzy sterczące z rzeki skały dzieliły ją na dwa ramiona. Woda kłębiła się ze strasliwym hukiem pomiędzy skałami, a nad nią rozpościerał się lekki opar wodnej piany. Na widok ten poczułem bolesny skurecz żołądka.

Alan nie spojrział ani na prawo, ani na lewo, lecz skoczył prosto na środkową skałę i upadł na ręce i kolana, aby zahamować rozpęd, skała bowiem nie była wielka, a skacząc mógł ześliznąć się po jej przeciwnej stronie. Skoczyłem za nim, nie zdążywszy odmierzyć odległości i zdać sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Alan pochwycił mnie i przytrzymał.

Staliśmy więc obok siebie na małej skale, śliskiej od wodnej piany. Przed nami widniało szersze ramię rzeki, które należało przeskoczyć, a wszędzie dokoła grzmiała woda. Gdy zrozumiałem, gdzie się znajduję, aż mnie zemdlilo ze strachu i zasłoniłem sobie oczy

dłonią. Alan pochwycił mnie za ramię i zaczął nim potrząsać. Spostrzegłem, że coś mówi, ale łoskot toczących się obok wód i zamieszanie w mej głowie uniemożliwiały dosłyszenie jego słów. Widziałem, jak mu twarz poczerwieniała z gniewu i że tupał nogą o skałę.

Widziałem jednocześnie wodę kotłującą się wściekle tuż pod moimi nogami i wiszącą w powietrzu mgiełkę. Zadrżałem i ponownie zasłoniłem ręką oczy.

W następnej chwili Alan przyłożył mi do warg manierkę i zmusił do przełknięcia około szklanki wódki, co skierowało mi znowu krew do głowy. Potem zwinął dłonie przy ustach, nachylił się nade mną i wrzasnął: - Skacz lub będziesz wisiał! - i odwróciwszy się, skoczył przez szersze ramię rzeki i wylądował szczęśliwie.

Pozostałem na skale sam, przez co zyskałem więcej miejsca. Wódka szumiała mi w uszach. Miałem przed sobą zachęcający przykład Alana i tyleż jeszcze przytomności umysłu, by zrozumieć, że jeśli nie skoczę zaraz, nie skoczę już nigdy. Przysiadłem nisko na zgiętych kolanach i rzuciłem się naprzód z wścieklą rozpaczą, która mi nieraz zastępowała odwagę. Oczywiście tylko ręce dosięgły brzegu - ześliznęły się, zatrzymały, ześliznęły znowu... Zsuwałem się już w koryto rzeki, gdy nagle Alan chwycił mnie najpierw za włosy, później za kołnierz i z niemałym trudem wyciągnął w bezpieczne miejsce na brzegu.

Nie wypowiedział potem ani słowa, lecz zaczął biec, jak by go śmierć ścigała, ja zaś musiałem wstać i ślaniając się biec za nim. Zmęczony byłem okrutnie już przedtem, po przebyciu rzeki zaczęły mnie trapić mdłości, a ponadto byłem posiniaczony i cokolwiek pijany. Biegłem więc potykając się nieustannie, a w pewnej chwili doznałem skurczu mięśni, po którym myślałem, że ani kroku dalej nie uczynię. Gdy Alan zatrzymał się wreszcie pod wielką skałą, stojącą wśród wielu innych, znajdowałem się w stanie zupełnego wyczerpania.

Określiłem ją jako wielką, ale w rzeczywistości były to dwie skały, wysokie na dwadzieścia stóp prawie, których szczyty opierały się o siebie. Na pierwszy rzut oka wydawały się zupełnie niedostępne. Nawet Alan (choć można by o nim powiedzieć, że posługiwał się nogami jak drugą parą rąk) dwukrotnie i bezskutecznie usiłował wspiąć się na nie. Dopiero za trzecim razem, stanąwszy mi na ramionach, z których odbił się z taką siłą, iż myślałem, że złamał mi obojczyki, udało mu się tam dostać. Osiągnąwszy szczyt skały spuścił skórzany pas i za jego pomocą oraz dzięki dwóm płytkim szczelinom w skale zdołałem się wdrapać na szczyt.

Zrozumiałem wtedy, dlaczego się tam znaleźliśmy. Pochylone ku sobie szczyty obu skał posiadały wgłębienie przypominające talerz lub spodek, w którym nawet trzech albo czterech mężczyzn mogło leżeć w ukryciu.

Od chwili gdyśmy przebyli rzekę, Alan nie wypowiedział ani słowa, biegł tylko i wspinał się z namiętym, gorączkowym pośpiechem. Wiedziałem, iż obawia się śmiertelnie, że coś może pokrzyżować nasze plany. Nawet potem, gdy wygramoliliśmy się na skałę, milczał nadal i nie pozbył się chmurnego wyrazu twarzy. Położył się płasko i wysuwając jedno tylko oko ponad krawędź kryjówki rozglądał się bardzo uważnie dokoła. Świt tego dnia był wyjątkowo pogodny. Widzieliśmy wyraźnie kamieniste zbocza doliny, jej dno upstrzone skałami i rzekę płynącą białymi kaskadami z jednego końca w drugi, ale nigdzie śladu dymu ani ludzkiej siedziby, ani też żywej istoty, oprócz paru orłów skwirzących nad skalnym urwiskiem.

Wreszcie Alan się uśmiechnął.

- Tak - rzekł - może uda się nam przemknąć. - Spojrzał na mnie wesoło: - Przydałoby się coś niecoś wprawy w skakaniu.

Musiałem się mocno zaczerwienić ze wstydu, bo zaraz dodał: - Tere, fere! Nie winie ciebie za to. Bać się czegoś, ale jednak tego dokonać - to cecha prawdziwego mężczyzny. A zresztą tam była woda, a to jest coś, co przeraża mnie nawet. Nie, nie, to nie była twoja, ale moja wina.

Zapytałem go, dlaczego.

- Tej nocy dowiodłem, że jestem osłem. Zbłądziłem przede wszystkim, chociaż Appin to moje rodzinne strony. Przez to dzień zastał nas nie tam, gdzie być powinniśmy, i dlatego leżymy tutaj, co nie jest zbyt bezpieczne, a zwłaszcza wygodne. Poza tym (a to już najgorzej świadczy o człowieku, który tyle czasu spędził we wrzosowiskach) nie mam manierki z wodą i będziemy leżeć tutaj przez cały długi, letni dzień nie mając do picia nic prócz czystego spirytusu. Może ci się to wydaje drobną sprawą, lecz nim noc zapadnie, wspomnisz jeszcze o tym.

Zależało mi na oczyszczeniu reputacji, zaproponowałem więc mu, aby wylał wódkę, ja zaś zbiegnę na dół i napełnię butelkę w rzece.

- Nie chcę jednak marnować tego spirytusu - odrzekł. - Okazał się dobrym druhem tej nocy. Gdyby nie on, tkwiłbyś, moim skromnym zdaniem, wciąż jeszcze na owym kamieniu, a zauważyłeś może poza tym, będąc człowiekiem bystrego umysłu, że Alan Breck Stewart szedł nieco szybciej niż zwykle.

- Ty? Biegłeś jak opętany!

- Czyżby? Możesz być pewny, że nie miałem czasu do stracenia. Ale dosyć gadania. Kładź się spać, chłopcze, a ja będę czuwał.

Położyłem się spać zgodnie z jego życzeniem. Wiatry naniósł odrobinę torfiastej ziemi na szczyty obu skał i rosło tam parę paproci, co mi posłużyło za posłanie. Ostatnim usłyszanym przeze mnie dźwiękiem było kwilenie orłów.

Dochodziła już pewnie godzina dziewiąta rano, gdy obudziłem się gwałtownie i poczułem, że Alan przyciska mi dłoń do ust.

- Pssst - szepnął. - Chrapiesz.

- A dlaczego nie miałbym chrapać? - odpowiedziałem zaskoczony niespokojnym i ponurym wyrazem jego twarzy.

Rzucił okiem ponad krawędź skały i dał mi znak ręką, bym go naśladował.

Dzień już był w całej pełni, bezchmurny i bardzo upalny. Całą dolinę widać było jak na dłoni. Około pół mili od nas, w górę rzeki, obozowali królewscy żołnierze. Wielki ogień buzował w środku obozu i niektórzy gotowali strawę. Opodal nas, na szczycie skały tak wysokiej prawie jak nasza, stał wartownik, a jego broń błyszczała w słońcu. W dole, wzdłuż koryta rzeki, rozmieszczono resztę wartowników; jednych w bliskiej od siebie odległości, innych bardziej oddalonych. Niektórzy, jak ów najbliższy nas, stali w miejscach, skąd mieli rozległy widok, inni zaś chodzili wzdłuż i wszerz doliny, spotykając się w pół drogi. Dalej w głębi, gdzie grunt był mniej porośły, łańcuch wartowników był przedłużony przez konnych żołnierzy. Widzieliśmy ich z daleka, jeżdżących tam i z powrotem. Koryto rzeki rozszerzało się tam znacznie, w owym bowiem miejscu wpadał do niej spory strumień. Wartownicy byli tam mniej gęsto rozstawieni i strzegli tylko brodów i kamieni, po których można by się przedostać na drugą stronę rzeki.

Rzuciłem na nich jedno krótkie spojrzenie i przycupnąłem w naszej kryjówce. Dziwny roztaczał się zaiste przed nami widok: dolina tak pusta o świcie, jeżyła się teraz bronią, upstrzona czerwonymi kaftanami i białymi pludrami żołnierzy.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł Alan - że będą pilnować tej strony doliny, po której strumień wpada do rzeki. Zaczęli się tu pojawiać mniej więcej dwie godziny temu, gdyś spał w najlepsze. Jesteśmy w wąskiej części doliny. Jeśli rozejdą się po szczytach gór, mogą nas łatwo wysledzić przez lunetę, ale jeśli pozostaną tylko w pobliżu dna doliny, może się jeszcze uda nam wymknąć. Warty stoją rzadziej w dole rzeki, więc gdy noc nadejdzie, spróbujemy przedostać się koło nich.

- A co będziemy robili do nocy? - zapytałem.

- Będziemy tu leżeli i smażyli się.

Odpowiedź Alana zawierała istotnie treść całego dnia. Musicie pamiętać, że leżeliśmy na nagim szczycie skały, jak bułki na blasze. Słońce prażyło dotkliwie, skała rozgrzewała się

coraz bardziej i zaledwie można ją było dotknąć. Na maleńkiej przestrzeni pokrytej ziemią i paprocią było nieco chłodniej, ale jeden z nas tylko mógł się tam zmieścić. Kładliśmy się więc kolejno na nagiej skale i cierpieliśmy męki godne owego świętego męczennika, którego żywcem upieczono na kracie. „Jakież to dziwne - myślałem sobie wówczas - że w tym samym klimacie, w ciągu kilkunastu zaledwie dni, muszę tak okrutnie cierpieć, najpierw z zimna na mojej wyspie, a następnie z gorąca na tej skale”.

Na cały ten dzień mieliśmy tylko wódkę, to znaczy coś gorszego niż nic. Staraliśmy się jednak chronić butelkę przed upałem i zwilżanie skroni oraz piersi przynosiło nam nieco ulgi.

Żołnierze kręcili się w dolinie przez cały czas bądź zmieniając warty, bądź patrolując wśród skał, tak licznie rozsianych dokoła, że szukanie wśród nich ludzi przypominało poszukiwanie igły w stogu siana. Toteż nie przykładali się zbyt gorliwie do tak beznadziejnego przedsięwzięcia. Wszelako skóra mi cierpła i zimny dreszcz mnie ogarniał, gdy widziałem, jak kłują bagnetami kępy wrzosów. Krążyli parokrotnie tak blisko naszej skały, że obawialiśmy się oddychać głośniej.

Wtedy właśnie usłyszałem po raz pierwszy prawdziwy akcent angielski. Jeden z żołnierzy, przechodząc tuż obok skały, na której leżeliśmy, przyłożył rękę do jej rozpalonej powierzchni i cofnął zaraz z przekleństwem: - A nie mówiłem, że parzy - rzekł. Zdumiał mnie jego śpiewny akcent. Słyszałem co prawda coś podobnego w ustach Ransome'a, ale mówił on tak niepoprawnie i język jego kształtował się pod wpływem tak różnych ludzi, że uważałem wymowę chłopaka za dowód dziecinności.

Nuda i udręka tych godzin na skale wzrastała w miarę upływu czasu. Skała rozgrzewała się coraz bardziej, słońce piekło coraz dotkliwiej. Musieliśmy znosić zawroty głowy, mdłości i ostre bóle w stawach, podobne do reumatyzmu. Przypomniały mi się wówczas, jak i w późniejszych nieraz latach, słowa jednego ze szkockich kościelnych hymnów:

*Księżycowi w nocy nie będzie urągał  
ani słońcu za dnia...*

Zaiste, tylko dzięki miłosierdziu boskiemu żaden z nas nie uległ porażeniu.

Wreszcie około godziny drugiej udręka nasza przekroczyła ludzką wytrzymałość, gdyż musieliśmy nie tylko znosić cierpienie, ale i opierać się pokusie. Słońce bowiem skłoniło się nieco ku zachodowi, przez co wytworzyło się małe ocienione miejsce po



wschodniej stronie, u stóp naszej skały, osłonięte przed wzrokiem żołnierzy przebywających w dolinie.

- Taka śmierć czy inna, wszystko mi jedno - rzekł Alan i zsunąwszy się przez krawędź skały zeskoczył na ziemię po ocienionej stronie.

Niezwłocznie uczyniłem to samo i natychmiast upadłem jak długi, tak byłem wyczerpany bezruchem i działaniem promieni słonecznych. Leżeliśmy tam przez godzinę lub dwie - oboleli na ciele i osłabieni do ostateczności. Każdy nadchodzący od tej strony żołnierz mógłby nas z łatwością dostrzec. Jednakże żaden się nie zjawił, wszyscy przechodzili po tamtej stronie skały, która i w tym położeniu służyła nam za tarczę.

Tak więc odzyskaliśmy nieco sił, a ponieważ żołnierze skupiali się coraz bardziej w pobliżu koryta rzeki, Alan zaproponował, żebyśmy porzucili ich towarzystwo. Bałem się wtenczas jednej tylko rzeczy na świecie: powrotu na skałę. Na wszystko inne zgadzałem się chętnie. Nie tracąc zatem czasu uporządziliśmy się na dalszą drogę i zaczęliśmy kolejno przemykać się od jednej skały do drugiej, czołgając się na brzuchu lub przebiegając, w największym strachu, pomiędzy nimi. Żołnierze, przeszukawszy jako tako tę stronę doliny i ulegając może cokolwiek senności w to skwarne popołudnie, zatarcili w znacznej mierze czujność i zwracali uwagę tylko na to, co się działo wzdłuż brzegów rzeki. Dzięki temu zaczęliśmy się oddalać od ich sąsiedztwa trzymając się doliny, ale jednocześnie posuwając się coraz wyżej ku górom. Był to najbardziej męczący wyczyn w całym moim życiu. Należałoby rozporządzać stu parami oczu na całym ciele, aby się utrzymać w ukryciu na tych urwistych zboczach i w zasięgu głosu tak licznych i szeroko rozstawionych wartowników. Gdy mieliśmy do przebycia otwartą przestrzeń, o powodzeniu decydowała nie tylko szybkość, ale i bystra ocena każdego skrawka ziemi i kamienia, na którym zamierzałyśmy postawić stopę. Zaległo bowiem tak ciche popołudnie, że potoczenie się choćby jednego kamyczka zagrziałoby niczym strzał z pistoletu i rozniosłoby się gromkim echem wśród piętrzących się turni i wzgórz.

Pomimo tak bardzo marudnego posuwania się naprzód, przebrnęliśmy do zachodu słońca pewną przestrzeń, chociaż wartownik na skale był wciąż jeszcze w pełni widoczny. Osiągnęliśmy natomiast coś, co przyniosło ulgę naszym cierpieniom: głęboki, wartki potok górski, rwący ku rzece w dolinie. Na jego widok padliśmy na ziemię i chlupnęliśmy w wodę. Nie potrafię powiedzieć, co większą sprawiło nam rozkosz: czy zanurzenie się całym ciałem w chłodnym nurcie potoku, czy też chciwe picie jego wody.

Leżeliśmy w potoku (spadziste brzegi chroniły nas przed wzrokiem żołnierzy) pijąc raz po raz, zlewając sobie piersi wodą i trzymając dłonie w wartkim nurcie, aż zimno zaczęło nam doskwierać.

Wreszcie, znakomicie odświeżeni, wydobyliśmy worek z mąką owsianą i w żelaznej patelni sporządziliśmy sobie „drammach”. Na szkocką tę potrawę składa się co prawda tylko mąka owsiana i zimna woda, ale głodnemu smakuje wybornie, a gdy nie można rozpałić ognia lub, jak w naszym wypadku, istnieją ważne powody wzbraniające to uczynić, „drammach” stanowi główne pożywienie zbiegów ukrywających się we wrzosowiskach.

Zaledwie cienie nocy rozpostarły się dokoła, ruszyliśmy dalej w drogę. Szliśmy z początku ostrożnie, później coraz śmielej i zwawiej, wyprostowani na całą wysokość. Trudna była wędrówka po stromych górskich wertepach i wzdłuż wąskich perci. Po zachodzie słońca pojawiły się chmury, noc nastąpiła chłodna i ciemna. Szedłem dosyć rześko, ale w ciągłej obawie przed upadkiem i stoczeniem się w otaczające nas ciemne czeluście, nie mając żadnego pojęcia, w jakim kierunku się posuwamy.

Księżyc wszedł wreszcie i zastał nas maszerujących przed siebie. Był w ostatniej kwadrze i chociaż dosyć długo przesłaniały go chmury, jednak rozbłysnął po pewnym czasie i ukazał mi czarne szczyty gór oraz swoje odbicie, daleko w dole na wodnej tafli wąskiej zatoki.

Na ten widok zatrzymaliśmy się obaj: ja ze zdumienia, iż znalazłem się tak wysoko i stąpałem, jak mi się wydawało, po chmurach, Alan zaś, by się upewnić co do kierunku dalszej drogi.

Alan uzyskał pewność, że znajdujemy się poza zasięgiem uszu naszych wrogów, albowiem resztę naszej nocnej wędrówki rozweselał gwizdaniem najrozmaitszych melodii: wojennych, wesołych, żalonych, melodii szkockich tańców, zachęcających nogi do szybszego marszu, melodii z ojczystych mych stron, budzących we mnie tęsknotę do powrotu i niechęć do dalszej włóczędzy; wszystkie zaś towarzyszyły nam w drodze wśród wysokich, ciemnych, bezludnych gór.

## XXI. Kotlina Corrynakeigh

W lipcu dnieje wcześniej, lecz było jeszcze ciemno, gdy dotarliśmy do naszego celu, to jest przepaścistego żlebu na szczycie wysokiej góry. Środkiem żlebu biegł strumyk, a na jednym z bardzo stromych zboczy znajdowała się płytka rozpadlina w skale. Brzozy rosły tam ładnym, rzadkim gajem, który nieco dalej przechodził w sosnowy las. Strumyk pełen był pstrągów, a las dzikich gołębi. Na otwartych stokach góry gwizdały nieustannie siewki i odzywało się mnóstwo kukulek. Z wylotu żlebu patrzyliśmy w dół na rzekę Mamore i na odnogę zatoki, dzielącą ten kraj od Appin. Nie mogłem się nadziwić i nacieszyć widokiem oglądanym z tak wielkiej wysokości.

Żleb ten nazywano kotliną Corrynakeigh. Na skutek jego wysokiego położenia oraz bliskości morza, otaczały go często chmury, ale na ogół przyjemne to było miejsce i pięć dni tam spędzonych upłynęło szczęśliwie.

Sypialiśmy w rozpadlinie, na posłaniach z naciętych w tym celu gałązek wrzosowych, i nakrywaliśmy się płaszczem Alana. Opodał, za zakrętem znaleźliśmy ukryte wgłębienie, w którym ośmielaliśmy się rozpałać ogień. Mogliśmy więc zagrzać się, gdy ogarniały nas chmury, gotować owsiankę i piec małe pstrągi, które wprost ręką chwytałyśmy pod kamieniami i pod zwisającym brzegiem strumienia. Było to nasze główne zajęcie i największa przyjemność. Oszczędzaliśmy w ten sposób mąkę owsianą, zachowując ją na czarną godzinę. Bawiły nas te połowy, spędzaliśmy więc większą część dnia nad strumykiem, obnażeni do pasa, myszkując w poszukiwaniu ryb. Największe z naszych zdobyczy mogły ważyć około ćwierć funta, lecz były mięsiste i smaczne, a po upieczeniu na rozzarzonych węglach brakowało nam tylko soli, by uznać te ryby za przysmak.

W wolnych chwilach Alan uczył mnie sztuki władania szablą, gdyż moja pod tym względem ignorancja napelniała go niepokojem. Od czasu do czasu okazywałem większą od niego zręczność w łapaniu ryb i wydaje mi się, że tym gorliwiej zabierał się do ćwiczenia, w którym miał tak wielką nade mną przewagę. Wkładał w to więcej trudu, niżby należało. Podczas każdej lekcji beształ mnie i nacierał z takim ferworem, iż nieraz się zdawało, że przebiję mnie na wylot, a chociaż często miałem ochotę zrejterować przed nim, stawiałem jako tako opór i skorzystałem nieco z jego nauk. Choćby tyle tylko, aby móc stanąć w szermierczej postawie, z gęstą miną, co nieraz jest zupełnie wystarczające. Tak więc, chociaż nie zdarzyło mi się zadowolić mistrza, byłem raczej zadowolony z siebie.

Nie należałoby jednak sądzić, że w tym czasie zaniechaliśmy najważniejszej sprawy, to jest dalszej ucieczki.

- Sporo czasu upłynie - mówił Alan pierwszego ranka - zanim czerwonym kaftanom przyjdzie chęć tu się pojawić. Musimy zatem dać znać Jamesowi, on zaś musi się postarać o pieniądze dla nas.

- Jakże mu damy znać? - zapytałem. - Jesteśmy w bezludnym miejscu i obawiamy się je opuścić. A jeśli nie użyjemy ptaków jako posłańców, nie wiem doprawdy, co uczynić możemy.

- Tak? - odrzekł Alan. - Jesteś niezbyt przemyślnym człowiekiem, Davie.

Po czym popadł w głęboką zadumę, wpatrując się w żar ogniska. Następnie wyszukał kawałek drzewa, wystrugał z niego krzyż i poczercił węglem jego cztery ramiona. Po chwili spojrzał na mnie nieśmiało.

- Czy nie mógłbyś mi pożyczyć guzika? Nie bardzo to przystoi prosić o zwrot podarunku, ale przyznaję, iż trudno mi się zdobyć na obcięcie innego.

Dałem więc mu guzik. Przyczepił go do skrawka sukna, który poprzednio oderwał od swego płaszcza, by móc związać krzyż, po czym przymocował do krzyża gałązką brzoźową oraz gałązkę sosnową i spojrzał z satysfakcją na swoje dzieło.

- Niedaleko od Corrynakeigh - rzekł Alan - leży mała wioszczyna, zwana Koalinsnacoan. Żyje tam sporo mych przyjaciół, którym mógłbym zawierzyć życie, i nieco takich, których nie jestem zbyt pewny. Widzisz, Davie, na nasze głowy wyznaczono nagrody pieniężne. Sam James ma się do tego przyczynić, a Campbellowie nigdy grosza nie skąpią, gdy chodzi o dokuczenie któremuś ze Stewartów. Gdyby nie to, poszedłbym prosto do Koalinsnacoan i złożyłbym życie w ręce tych ludzi, z tak lekkim sercem, jak komu innemu rękawiczkę.

- A zatem?

- A zatem wolę, aby mnie tam nie widziano. Żli ludzie są wszędzie lub, co gorsza, słabi. Jak tylko znowu się ściemni, zakradnę się więc do wioski i zostawię ten oto przedmiot w oknie mego dobrego przyjaciela Johna Brecka Maccolla, dzierżawcy w Appin.

- Życzę ci powodzenia z całego serca, ale cóż on sobie pomyśli, gdy to znajdzie?

- Chciałbym, aby okazał się człowiekiem bystrego umysłu, bo inaczej, dalibóg, obawiam się, że niewiele może z tego zrozumieć. Krzyż ten, zwany ognistym krzyżem, jest jakby hasłem, sygnałem zbiórki naszych klanów. Jednakże on domyśli się, że to nie jest wezwanie klanów do powstania, bo znajdzie krzyż stojący w oknie, bez żadnych innych wiadomości. Powie więc sobie: „To nie oznacza powstania klanu, ale coś oznacza”. Potem zobaczy guzik i pozna, że należy do Duncana Stewarta. Powie więc sobie: „Syn Duncana ukrywa się we wrzosach i potrzebuje mojej pomocy”.

- Dobrze, ale jeśli nawet założymy, że wszystko stanie się tak, jak powiadasz, wrzosowisk jest mnóstwo pomiędzy naszą kryjówką a zatoką.

- Głęboka to prawda. Ale John Breck zobaczy gałązkę brzoźową i gałązkę sosnową i (jeśli ma w ogóle olej w głowie, co do czego śmiem, niestety, mieć wątpliwości) powie sobie: „Alan ukrywa się w lesie, w którym rosną drzewa zarówno brzoźowe, jak i sosnowe”. I pomyśli sobie: „Takich lasów nie ma zbyt wiele w tych okolicach”. Przyjdzie wówczas do Corrynakiegh i zacznie nas tutaj szukać. A jeśli tak nie postąpi, to, niech go diabli porwą, nie będzie wart soli, którą zjada w owsiance.

- Człowieku - powiedziałem nieco drwiącym tonem - jesteś niezwykle przemyślny! Ale czy nie byłoby prościej napisać do niego parę słów, czarno na białym?

- Nader trafne to jest spostrzeżenie, panie Balfour of Shaws - odrzekł Alan wykiwając mnie z kolei. - Wolałbym oczywiście napisać do niego, ale John Breck miałby nie lada kłopot z przeczytaniem. Musiałby pójść do szkoły na dwa lub trzy lata, a nam tak długie tutaj czekanie mogłoby snadnie obmierznąć.

Też w nocy Alan poszedł do wioski i złożył ognisty krzyż w oknie dzierżawcy. Wrócił dosyć zafrasowany. Psy zaczęły bowiem szczekać i niektórzy mieszkańcy wybiegli ze swych domów. Zdawało mu się również, że słyszał szczęk broni i widział żołnierza podchodzącego do drzwi jednego z domów. Na wszelki wypadek leżeliśmy więc nazajutrz na skraju lasu i wypatrywaliśmy pilnie Johna Breck, aby mu wskazać drogę do nas lub mieć czas na ucieczkę, gdyby pojawili się żołnierze.

Około południa dostrzegliśmy mężczyznę wspinającego się po otwartych zboczach góry, który rozglądał się dokoła, przysłaniając sobie ręką oczy przed blaskiem słońca. Alan zobaczył go i natychmiast zagwizdał. Mężczyzna odwrócił się i podszedł nieco bliżej ku nam. Alan znów zagwizdał, on zaś znowu się zbliżył i kierując się gwizdaniem dotarł aż do miejsca, w którym leżeliśmy.

Był to obdarty, wynędzniały, brodaty mężczyzna, a na jego twarzy, mocno zniekształconej ospą, malowała się dzikość i tępota. Chociaż angielszczyzna jego była skąpa i zła, Alan, który nigdy nie zapominał o tej uprzejmości, gdy znajdowałem się w pobliżu, nie pozwolił mu mówić po szkocku. Nie był może tak nieokrzesany, na jakiego wyglądał, posługując się tym dziwnym dla niego językiem. W każdym razie wydawało mi się, że niezbyt chętnie i tylko pod przymusem zgodził się nam służyć.

Alan chciał przekazać przez niego wiadomość Jamesowi, ale dzierżawca nie chciał o tym słyszeć.

- Ja zapomnieć - mówił piskliwym głosem i dał nam do wyboru: albo dostanie list, albo nas pozostawi na łasce losu.

Myślałem, że Alana stropi taka propozycja, nie mieliśmy bowiem na tym pustkowiu niczego, co by umożliwiałoby pisanie. Nie doceniałem jednak jego przedsiębiorczości. Tak długo bowiem łąził po lesie, aż znalazł pióro dzikiego gołębia i wystrugał z niego pióro do pisania, po czym sporządził z prochu i wody coś w rodzaju atramentu. Oderwał wreszcie róg ze swego francuskiego patentu oficerskiego (nosił go zawsze w kieszeni jako talizman mający go uchronić przed szubienicą), usiadł i napisał, co następuje:

*Drogi krewniaku*

*Przyślij, proszę, pieniądze przez oddawcę niniejszego do miejsca, które on zna.*

*Twój oddany kuzyn*

*A. S.*

Pismo to powierzył dzierżawcy, który obiecał je zanieść jak najszybciej, i zbiegł pędem z góry.

Trzeciego dnia po jego odejściu usłyszeliśmy około godziny piątej po południu gwizdanie w lesie, na które Alan odpowiedział. Wkrótce dzierżawca zjawił się nad potokiem rozglądając się na prawo i lewo. Wydawał się mniej ponury niż przedtem i był niewątpliwie uradowany z wywiązania się z tak niebezpiecznego posłannictwa.

Opowiedział nam o wszystkim, co się działo w Appin. Roilo się tam od żołnierzy. Znalezione broń i codziennie coraz to inny z mieszkańców narażony był na przeróżne utrapienia. James i niektórzy z jego służby zostali już uwięzieni w Fort William, podejrzani poważnie o udział w zabójstwie Czerwonego Lisa. Krążyły wszędzie pogłoski, że zastrzelił go Alan Breck, i ogłoszono przeciwko niemu i mnie listy gończe, wyznaczając sto funtów nagrody.

Trudno było o gorsze wiadomości. Treść przyniesionego przez dzierżawcę krótkiego listu od pani Stewart była również bardzo smutna. Błagała w nim Alana, aby nie dał się schwytać, bo gdyby wpadł w ręce żołnierzy, zarówno on, jak i James na pewno zapłacą za to życiem. Przysłała nam wszystkie pieniądze, jakie zdołała wyprosić lub pożyczyć, i wzywała pomocy Niebios, aby ta suma nam wystarczyła. Załączyła również egzemplarz listu gończego zawierającego nasz opis.

Przyglądaliśmy się temu dokumentowi z wielką ciekawością i niemałym strachem; trochę jak człowiek spoglądający w lustro, trochę jak patrzący w lufę strzelby wroga dla

sprawdzenia, czy dobrze wycelowana. Alan opisany był jako: niewysoki, ospowaty, żwawy mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu, ubrany w kapelusz z piórami, niebieski francuski surdut ze srebrnymi guzikami i galonami, porządnie szerniałymi, w czerwoną kamizelkę i krótkie spodnie z czarnego aksamitu. Ja zaś jako: wysoki, silny chłopak, ubrany w stary, niebieski płaszcz, bardzo postrzępiony, starą czapkę góralską, długą, domowego wyrobu kamizelkę, niebieskie krótkie spodnie; łydki gołe, obuwie wieśniacze, dziurawe przy palcach, mówiący jak mieszkaniec Dolnej Szkocji i nie noszący brody.

Alan był raczej zadowolony z tak dokładnego opisu jego wykwintnego stroju, tylko po przeczytaniu słowa „szerniały”, spojrział cokolwiek markotnie na swe galony. Ja natomiast uznałem przedstawienie mojej postaci za wysoce niepochlebne. Jednakże miałem również powody do zadowolenia: pozbyłem się już tych łachmanów i opis ich - zawarty w liście gończym - przestał być niebezpieczny, a nawet pozwalał ufniej patrzeć w przyszłość.

- Alanie - rzekłem - powinienes zmienić odzież.

- Przenigdy - odpowiedział. - Nie mam innej. Ładny to byłby widok, gdybym powrócił do Francji w szkockiej czapce.

Przyszło mi na myśl, że rozłąka z Alanem ubranym w tak zwracający uwagę strój uchroniłaby mnie przed aresztowaniem i pozwoliłaby na zajęcie się własnymi sprawami. Gdyby mnie schwytali samego, niewiele by mogli mi zarzucić, lecz jeślibym schwytany został w towarzystwie domniemanego mordercy, los mój zapowiadałby się groźnie. Nie śmiałem wypowiedzieć tych myśli, nurtowały jednak mnie, zwłaszcza potem kiedy dzierzawca wydobyl zieloną sakiewkę zawierającą cztery gwinee w złocie i większą część piątej w drobnej monecie. Było to więcej, niż sam posiadałem, lecz Alan, rozporządzając niespełna pięciu gwineami, miał przed sobą podróż do Francji, ja zaś nie dalej niż do Queen's Ferry, toteż, rozważając moje położenie pod tym względem, towarzystwo Alana nie tylko zagrażało memu życiu, ale i obciążało mą kieszeń.

Żadna tego rodzaju myśl nie nawiedziła uczciwej głowy mego towarzysza. Był przekonany, że mnie służy, pomaga i ochrania. Cóż zatem innego mogłem uczynić, jak milczeć, zżymać się i zdać się na los szczęścia u boku Alana?

- To niewiele - rzekł Alan wkładając sakiewkę do kieszeni - ale to powinno wystarczyć. A teraz oddaj mój guzik, gdyż z tym oto dżentelmenem zaraz ruszamy w dalszą drogę.

Dzierżawca pogrzebał we włóchatej sakiewce, którą miał zawieszoną na brzuchu, zgodnie z góralską modłą (aczkolwiek ubrany był jak mieszkańcy Dolnej Szkocji i nosił długie spodnie), i zaczął dziwnie wywracać oczyma.

- Chyba go zgubiłem - rzekł.

- Co takiego?! - wykrzyknął Alan. - Powiem ci na to, żeś nic gorszego od chwili twego urodzenia nie mógł uczynić.

Mówiąc to Alan złożył ręce na kolanach i spojrzał na dzierżawcę z drwiącym uśmiechem, a w oczach jego zamigotał ognik nie wróżący nic dobrego.

Może dzierżawca był szczery, a może chciał nas oszukać, bo rozmyślił się, znalazłszy się sam na sam z nami w bezludnym miejscu, odszukał nagle guzik i wręczył go Alanowi.

- Dobrze się stało, żeś nie splamił honoru Maccollów - rzekł Alan i zawołał do mnie: - Odzyskałem swój guzik i dziękuję ci za rozstanie się z nim, co godnie licuje z twoją dla mnie przyjaźnią.

Następnie pożegnał się bardzo wylewnie z dzierżawcą.

- Oddałeś nam wielką przysługę - rzekł doń - i spisałeś się chwacko, narażając przy tym szyję. Zawsze więc możesz liczyć u mnie na miano dobrego człowieka.

Wreszcie dzierżawca odszedł w jedną stronę, my zaś z Alanem w drugą rozpoczynając dalszą ucieczkę.



## XXII. Mszary

Po przeszło jedenastu godzinach nieustannego, uciążliwego marszu dotarliśmy wczesnym rankiem do skraju łańcucha gór. Przed nami rozciągała się nisko położona, falista, pustynna równina, którą musieliśmy przebyć. Słońce dopiero weszło i świeciło nam prosto w oczy. Lekka mgła unosiła się znad błotnistej równiny jak dym: Alan powiedział, że mogłoby się tam znajdować dwadzieścia szwadronów żołnierzy i nic byśmy o nich nie wiedzieli.

Usiedliśmy więc w małym parowie, na stoku wzgórza, czekając, aż mgła się podniesie, sporządziliśmy sobie „drammach” i rozpoczęliśmy naradę wojenną.

- Davie - rzekł Alan - stoimy przed niełatwym wyborem: albo leżeć tu do nocy, albo zaryzykować i pójść naprzód?

- Jestem dosyć zmęczony, ale mógłbym ująć drugie tyle, jeśli o to ci tylko chodzi.

- Nie o to chodzi, to dopiero połowa zmartwień, bo nasze położenie wygląda tak: powrót do Appin to pewna śmierć. Na południu pełno wszędzie Campbellów i nie ma co o tym myśleć. Jeśli skierujemy się na północ, nic z tego nie przyjdzie ani tobie, który chcesz się dostać do Queen's Ferry, ani mnie, który chce się dostać do Francji. Możemy więc iść tylko na wschód...

- Niech będzie na wschód - odpowiedziałem wesoło, ale pomyślałem jednocześnie: „Człowieku, gdybyś zechciał pójść w jedną stronę świata i zezwolił mi udać się w drugą, byłoby najlepiej dla nas obu”.

- ...Otóż - mówił dalej Alan - na wschodzie ciągną się mszary. Wszystko tam zależne będzie od przypadku. Bo gdzież się może ukryć człowiek na tych płaskich, otwartych, nagich przestrzeniach. Niech tylko czerwone kaftany pojawią się na jakim wzgórzu, mogą nas wypatrzeć o mile i oby czart ich konie ochwacił, dopaść nas wkrótce. Niedobre to dla nas okolice, Davie. I wiem, że gorsze są za dnia aniżeli w nocy.

- Wysłuchaj, Alanie, co ja o tym myślę. Appin - to śmierć dla nas. Pieniądzy mamy mało i jeszcze mniej mąki. Im dłużej nas szukają, tym łatwiej mogą odgadnąć, gdzie jesteśmy. Ryzyko jest wszędzie. Moim zdaniem idźmy naprzód, aż upadniemy ze zmęczenia.

Alan był uradowany.

- Są chwile - rzekł - gdy twa przebiegła i whigowska natura zraza do ciebie takiego jak ja dżentelmena. Ale są chwile, kiedy pokazujesz lwi pazur, i wtedy kocham cię jak brata.

Mgła podniosła się i znikła ukazując nam kraj tak pusty jak morze. Tylko dzikie ptactwo świergotało ponad nim, a daleko na wschodzie poruszało się, niczym małe punkciki, stado jeleni. Znaczna część obszaru czerwieniła się od wrzosowisk, na resztę składały się

przeważnie trzęsawice, bagna i torfowiska. Były tam miejsca wypalone przez pożary wrzosów albo też całe gaje zeschniętych sosen stojących jak szkielety. Oko ludzkie nigdy jeszcze nie spoczywało na bardziej ponurym pustkowiu, ale przynajmniej nie kręciło się tu wojsko, co dla nas było najważniejsze.

Zeszliśmy więc w to odludzie i rozpoczęliśmy znojną i krętą wędrówkę na wschód. Wszędzie widniały dokoła szczyty gór, z których (o czym musicie pamiętać) można nas było dostrzec. Toteż trzymaliśmy się najniższej położonych części równiny, a gdy droga wiodła przez otwartą przestrzeń, szliśmy zachowując wielką ostrożność. Musieliśmy się nieraz przez całe pół godziny czołgać od jednego krzaku wrzosowego do drugiego, jak myśliwi zbliżający się do jelenia. Pogodny to był znowu dzień i słońce jaśniało pełnym blaskiem. Wypiliśmy wkrótce wodę z butelki po wódce. Gdybym był wiedział, co to znaczy posuwać się naprzód bądź czołgać się na brzuchu, bądź iść schylając się niemal do kolan, nie zdecydowałbym się z pewnością na tak zabójcze przedsięwzięcie.

Brnęliśmy naprzód, odpoczywając na przemian, i tak minął poranek. Około południa położyliśmy się spać w gęstym krzaku wrzosowym. Alan czuwał pierwszy. Zdawało się, że zaledwie zamknąłem oczy, a już mną potrząsał, gdyż nadeszła moja kolej. Nie mieliśmy zegarka, więc Alan wetknął w ziemię gałązkę i kazał się obudzić, gdy cień gałązki padnie we wskazanym przez niego miejscu, na wschodzie. Byłem wówczas tak zmordowany, że mógłbym spać przez dwadzieścia godzin bez przerwy; miałem smak snu w ustach i ciało moje spało nawet wtedy, gdy umysł czuwał, duszny zaś zapach wrzosów i brzęczenie os wpływały na mnie usypiająco. Toteż raz po raz wzdrygałem się cały, zdając sobie sprawę, że zdrzemnąłem się nieco.

Gdy ocknąłem się na dobre, zdawało mi się, że słońce przesunęło się daleko po niebie. Musiałem więc tym razem zasnąć na czas dłuższy. Spojrzałem na gałązkę i o mało nie krzyknąłem głośno. Zrozumiałem bowiem, że zawiodłem zaufanie Alana. W głowie mi się zakręciło ze strachu i wstydu, a od tego, co ujrzałem rozglądając się dokoła, serce zamarło w piersiach. Oddział konnych żołnierzy nadjechał podczas mego snu i zbliżał się ku nam od południo-wschodu, w rozproszonym szyku, na kształt wachlarza. Jeźdźcy myszkowali wśród gęściej porośniętych wrzosowisk.

Obudziłem Alana. Rzucił okiem na żołnierzy, potem na gałązkę i położenie słońca. Zmarszczył brwi, spojrzał na mnie ostro, złym i zafrasowanym wzrokiem, lecz nie wyraził żalu ani gniewu.

- Co teraz zrobimy? - zapytałem.

- Musimy się zabrać w zające. Czy widzisz tę górę? - odparł wskazując na jeden ze szczytów rysujących się na północno-wschodniej stronie nieba.

- Tak.

- Postaramy się tam dostać. Nazywa się Ben Alder. Jest to dzika, pustynna góra, pełna urwistych wądołów i jeśli dobrniemy tam przed rankiem, możemy się jeszcze wymknąć z matni.

- Ależ, Alanie, w takim razie musimy przeciąć drogę, skąd właśnie zbliżają się żołnierze!

- Wiem o tym dobrze, ale jeśli nas zagnają z powrotem do Appin, pożegnajmy się z tym światem. A teraz, Davie, zbieraj nogi! - i zaczął biec na czworakach z nieprawdopodobną szybkością, jak by to był jego naturalny sposób chodzenia.

Kluczyliśmy ciągle, trzymając się najniższej położonych części równiny, gdzie najłatwiej było pozostać w ukryciu. Niektóre z nich były całkiem spalone przez ogień, inne lekko tylko spieczone i unosił się z nich prosto w nasze twarze, które mieliśmy stale tuż przy ziemi, duszący i osłepiający pył, tak drobny jak dym. Od dawna już brakowało nam wody, a szybkie posuwanie się naprzód na rękach i kolanach osłabiało bardzo. Bolały nas wszystkie stawy, a kiście dłoni omdlewały pod ciężarem ciała.

Gdy od czasu do czasu udawało się nam dopaść większego krzaku wrzosu, leżeliśmy pod nim dysząc ciężko i odpoczywając patrzyliśmy na dragonów przez rozchylone gałązki. Nie dostrzegli nas, jechali bowiem nadal prosto w tym samym co poprzednio kierunku. Było ich, jak sędzę, z pół kompanii. Ogarniali przestrzeń długą na dwie mile prawie i posuwając się naprzód przeszukiwali ją bardzo starannie. Obudziłem się w samą porę. Nieco później musielibyśmy umykać na wprost przed nimi, zamiast bokiem. Nawet w tym położeniu byle nieszczęśliwy traf mógł nas zdradzić. Toteż, gdy spomiędzy wrzosów raz po raz zrywała się pardwa, furkocząc skrzydłami, warowaliśmy przy ziemi nieruchomo, leżąc jak trupy i bojąc się oddychać głośniej.

Cierpienie i słabość w całym ciele, straszliwy wysiłek serca, pokaleczone ręce, piekący ból w gardle i oczach, nieustannie dręczonych przez pył i popiół, stały się wkrótce tak dokuczliwe, że chętnie dałbym za wygraną, a jeśli brnąłem dalej - to pod wpływem tylko pozornej odwagi, gdyż bałem się wielce Alana. Jego twarz - a musicie pamiętać, że był obarczony płaszczem - spąsowiała na początek, potem na czerwonych policzkach zaczęły się pojawiać białe plamy, oddech stał się świszczący, a głos, gdy szeptał mi wskazówki do ucha w chwilach odpoczynku, brzmiał nieludzko. Jednakże duch w nim pozostał nieugięty, a ciało

nie straciło sprężystości ruchów. Trudno mi było nie podziwiać hartu i wytrzymałości tego człowieka.

Wreszcie zaczęło zmierzchać i usłyszeliśmy dźwięk trąbki. Wyglądając spomiędzy wrzosowisk zobaczyliśmy zjeżdżających się żołnierzy. Nieco później rozpalili oni ogień i rozłożyli się obozem w samym środku równiny. Zacząłem więc błagać Alana, abyśmy zrobili to samo.

- Nie będziemy spali tej nocy - odrzekł Alan. - Znużeni ci dragoni pozostaną na najwyższej części równiny i nikt nie wydobędzie się z Appin, chyba tylko ptaki. Udało się nam przemknąć w ostatniej chwili, czy mamy teraz zmarnować cały nasz wysiłek? Nie, nie! Świt powinien nas zastać w bezpiecznym miejscu, na górze Ben Alder.

- Alanie, to nie brak woli z mojej strony, ja już po prostu nie mam siły. Gdybym mógł, szedłbym dalej, ale, jako żywo, nie mogę.

- Poniosę ciebie w takim razie.

Spojrzałem na niego, przekonany, że żartuje. Lecz ten niewielkiego wzrostu mężczyzna mówił z całą powagą. Zawstydzila mnie taka determinacja.

- Prowadź - rzekłem - pójdę za tobą.

Rzucił na mnie okiem, jak by mówił: zuch z ciebie, Davie - i ruszył szybko naprzód.

Ochłodziło się i ściemniło trochę. Ani jedna chmurka nie przesłaniała nieba. Było to na początku lipca i znajdowaliśmy się dosyć daleko na północy. Trzeba mieć bardzo dobry wzrok, by czytać w środku lipcowej nocy, ale ja widziałem większe ciemności w środku zimowego dnia. Obfita rosa zmoczyła równinę, niczym deszcz; trochę mnie to orzeźwiło. Gdy zatrzymaliśmy się dla wypoczynku i miałem nieco czasu, aby widzieć dokoła rzeźką przejrzystość nocy, kontury wzgórz podobne do śpiących istot i malejący w oddali ogień, błyszczący jak jasna plama na równinie, ogarniała mnie złość, że muszę wlec się wciąż naprzód w nieustannym cierpieniu i pełzać w kurzu, niczym robak.

Sądząc z tego, co czytałem w książkach, niewielu z ludzi, którzy parali się kiedykolwiek piórem, doznało naprawdę ostatecznego zmęczenia, gdyż opisywaliby je w mocniejszych wyrazach. Nie dbałem już o życie, o przeszłość ani przyszłość, nie pamiętałem nawet o istnieniu chłopca nazwiskiem Dawid Balfour. Nie, myślałem tylko z rozpaczą o każdym następnym kroku - co do którego byłem pewny, że będzie ostatni - i z nienawiścią o Alanie, przyczynie owej udręki. Alan słusznie wybrał zawód wojskowego; bo obowiązkiem oficera jest skłonić żołnierzy do wykonywania czynności, których celu nie znają, a jeśli by nawet mogli postąpić inaczej, wolą położyć się i zginąć na miejscu. Sądzę, że byłbym dobrym żołnierzem, gdyż w ostatnich godzinach naszego marszu nigdy nie przyszło mi do głowy, że

stoi przede mną inna możliwość niż wykonywanie rozkazu do ostatniego tchu i śmierć w posłuszeństwie.

Zdawało mi się, że upłynęły lata, zanim dzień zaczęło. Znajdowaliśmy się wówczas poza zasięgiem największego niebezpieczeństwa, mogliśmy więc iść jak ludzie, a nie na czworakach jak zwierzęta. Jakże żalony musieliśmy przedstawiać widok! Szliśmy chwiejnie niczym para starców, zataczaliśmy się jak dzieciuchy uczące się chodzić, a twarze nasze były trupioblade. Nie wymawialiśmy ani słowa. Obaj mieliśmy usta zaciśnięte, a oczy utkwione przed siebie. Podnosiliśmy nogi i opuszczaliśmy je, jak dźwigający ciężary siłacze na widowiskach jarmarcznych. Ptactwo wciąż świergotało we wrzosach, a słońce wznosiło się z wolna na wschodniej połaci nieba.

Alan zachowywał się tak samo jak ja. Nie patrzyłem co prawda na niego, mając dosyć kłopotu z utrzymaniem się na nogach, ale jest oczywiste, że musiał być równie wyczerpany i ogłupiały jak ja i niezbyt zwracał uwagę, dokąd idziemy, inaczej bowiem nie wpadlibyśmy w zasadzkę jak para ślepców.

Schodziliśmy w dół zarośniętej wrzosem kotliny. Alan na przedzie, ja zaś o krok lub dwa za nim - jak wędrowny skrzypek i jego żona. Nagle zaszeleściły koło nas wrzosa i wyskoczyło z nich trzech lub czterech obdartych mężczyzn. W następnej chwili leżeliśmy obaj na plecach, czując sztylety na gardle.

Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Ból wywołany tym gwałtownym ruchem był całkowicie zagłuszony bólem dręczącym od dawna moje ciało i zbyt się cieszyłem z zaprzestania marszu, aby martwić się taką rzeczą jak sztylet na gardle. Leżałem patrząc w twarz trzymającego mnie mężczyzny. Pamiętam, że miał opaloną przez słońce skórę i jasne, niebieskie oczy. Nie odczuwałem przed nim strachu. Posłyszałem, jak Alan szepce coś po szkocku z którymś z napastników, lecz nie zrozumiałem z tego ani słowa. Nagle sztylety się uniosły, odebrano nam broń i usiedliśmy obaj we wrzosach, jeden naprzeciwko drugiego.

- To są ludzie Cluny'ego - rzekł Alan. - Nie mogliśmy wpaść w lepsze ręce. Mamy tu pozostać czas jakiś, aż oni, a są to wysunięte straże, dadzą znać wodzowi o moim przybyciu.

Cluny Macpherson, wódz klanu Vourich, był jednym z przywódców wielkiej rebelii przed sześciu laty. Na jego głowę wyznaczono wysoką nagrodę. Byłem przekonany, że znajduje się od dawna we Francji, wraz z innymi przywódcami tej bandy zatrzańców. Tak mnie zdziwiły słowa Alana, że się pomimo zmęczenia ocknąłem.

- Jak to?! - zawołałem. - Więc Cluny jest tutaj?

- Tak, stale przebywa w swoim kraju, utrzymywany przez własny klan. Króla Jerzego na więcej nie stać.

Miałem ochotę wypytywać go dalej, lecz Alan zaraz mnie do tego zniechęcił.

- Jestem raczej znużony - rzekł. - Chętnie bym się nieco przespał. - I położywszy się pod gęstym krzakiem wrzosu twarzą do ziemi, zasnął natychmiast.

Nie mogłem go naśladować. Czy słyszeliście cykanie koników polnych w trawie, letnią porą? Otóż zaledwie zamknąłem oczy, uległem uporczywemu złudzeniu, że całe me ciało, a zwłaszcza głowa, brzuch i kiście dłoni pełne są koników polnych. Coraz to otwierałem oczy, wierciłem się, przewracałem z boku na bok, siadałem i kładłem się znowu, spoglądałem na oślepiające mnie niebo albo na kudłatych i brudnych wartowników Cluny'ego, wyglądających sponad brzegu kotliny i gawędzących pomiędzy sobą po szkocku.

Nie zdołałem więc wypocząć do powrotu wysłańca. Cluny chętnie nas do siebie zapraszał, należało zatem powstać i wędrować dalej. Alan był w doskonałym nastroju, dosyć wyspany i wypoczęty, bardzo głodny i wyczekujący z przyjemną niecierpliwością na kielich gorzały i miskę gorących zrazów, o których wspomniał mu jakoby posłaniec. Mnie zaś ogarniały mdłości na samą myśl o jedzeniu. O ile przedtem ciało ciążyło mi nieznośnie, to wyruszając w drogę czułem dziwną lekkość uniemożliwiającą chodzenie. Byłe podmuch wiatru podrywał mnie jak nitkę babiego lata; zdawało się, że stąпам po chmurach. Otaczające mnie wzgórza wirowały niczym pierze na wietrze, pęd powietrza jak prąd w wartkim strumyku porywał mnie coraz to w inną stronę. To uczucie bezsilności nappełniło mnie taką rozpaczą, że mógłbym płakać.

Widziałem, jak Alan marszczy się patrząc na mnie i sądziłem, że się gniewa. Ogarnął mnie nieokreślony, dziecinny strach. Pamiętam również, jak się uśmiechałem i chociaż mi się to wydawało niestosowne w tych okolicznościach, wbrew wszelkim wysiłkom, nie mogłem nad tym uśmiechem zapanować. Lecz dobry mój towarzysz chciał tylko przyjść mi z pomocą. Na dany przez niego znak dwóch zwiadowców Cluny'ego uchwyciło mnie pod rękę i zaczęło biec bardzo szybko (tak mi się przynajmniej zdawało, gdyż w rzeczywistości posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli) poprzez labirynt niedostępnych parowów i komyszy, w głąb posępnej góry Ben Alder.

### XXIII. Klatka Cluny'ego

Doszliśmy wreszcie do skraju lasu porastającego niesłychanie strome zbocze, ukoronowane skałą opadającą pionowo w przepaść.

- To tutaj - rzekł jeden z przewodników i rozpoczęliśmy wspinaczkę.

Drzewa rosły ucepione na zboczu, jak marynarze na olinowaniu statku, a ich pnie tworzyły jakby stopnie drabiny, po których pieliśmy się w górę.

Na samym szczycie, tuż przed miejscem, gdzie gład wyrastał spośród gęstego listowia, znaleźliśmy dziwny dom zwany w tych okolicach „Klatką Cluny'ego”. Pnie kilkunastu drzew poukładano na krzyż, odstępy wzmocniono palami, a grunt za tą barykadą wyrównano ziemią tworzącą klepisko. Drzewo rosnące na zboczu stanowiło żywą kolumnę, na której wspierał się dach. Ściany były z plecionego chrustu, przykryte mchem. Kształtem cały ten dom przypominał jakby jajko i na poły zwisał, na poły stał w chaszczach na zboczu góry, jak gniazdo os w krzaku dzikiego głogu.

Siedziba ta była wewnątrz wystarczająco przestronna i mieściła wygodnie pięć lub sześć osób. Skalny występ został zmyślnie wykorzystany i służył jako palenisko, a dym, wznoszący się na tle skały o podobnej barwie, niełatwo byłoby wypatrzeć od dołu.

Była to tylko jedna z kryjówek Cluny'ego. Rozporządzał on ponadto podziemnymi pieczarami w różnych częściach kraju i w zależności od meldunków swych zwiadowców, zmieniał miejsce pobytu, w miarę jak żołnierze zbliżali się lub oddalali. Dzięki takiemu trybowi życia i miłości, jaką otaczał go klan, przeżył nie tylko bezpiecznie cały ten okres - podczas gdy inni zbiegli lub postradali życie - ale pozostał w Szkocji jeszcze cztery czy pięć lat, a przeniósł się do Francji dopiero na wyraźny rozkaz swego władcy i tamże wkrótce umarł. Dziwną się wydaje taka refleksja, ale nieraz z żalem wspominał pewnie Klatkę na Ben Alder.

Gdy doszliśmy do drzwi, siedział przy skalnym kominku i doglądał sługę zajętego gotowaniem strawy. Był bardzo ubogo ubrany, we włóczkowej szlafmocy naciągniętej na uszy, i palił brzydką, krótką fajką. Jego obejście natomiast nie różniło się zaiste od królewskiego i trzeba go było widzieć, jak powstawał z miejsca na nasze powitanie.

- Witam was serdecznie, panie Stewart - rzekł - wprowadź tu, proszę, swego przyjaciela, którego nazwiska jeszcze nie znam.

- I mnie miło jest pozdrowić was, panie - odpowiedział Alan. - Tuszę, że cieszy się dobrym zdrowiem. Dumny jestem z tego spotkania tudzież z możliwości przedstawienia panu mego przyjaciela, pana Dawida Balfoura, dziedzica Shaws.

Gdy byliśmy sami, Alan zwykł wspominać z przekąsem o moich posiadłościach, ale w obecności obcych wymawiał ich nazwę głosem godnym herolda.

- Proszę obu panów do środka - rzekł Cluny. - Podejmuję was w domu będącym dziwnym i niezbyt schludnym pomieszczeniem, ale gościłem wszak tutaj osobę królewskiej krwi... Pan, panie Stewart, wie niewątpliwie, kogo mam na myśli. Wypijemy kielich za waszą pomyślność, a gdy tylko mój gamoń-służący upora się z przygotowaniem zrazów, zjemy obiad i zasiądziemy do kart, jak na dżentelmenów przystało. Moje życie tutaj jest cokolwiek cikliwe - mówił nalewając gorzałkę. - Mało kogo widuję, siedzę kręcąc młynka. palcami, rozmyślałam o wielkim minionym dniu i tęsknię za następnym takim samym wielkim dniem, który, wszyscy żywimy tę nadzieję, oby rychło nastąpił. A oto toast w wasze ręce! Za restaurację Stewartów, naszych prawowitych szkockich monarchów!

Trąciliśmy się kielichami i wypiliśmy duszkiem. Jestem pewny, że nie życzyłem nic złego królowi Jerzemu i gdyby on był na moim miejscu, postąpiłby tak samo jak ja. Zaledwie wychyliłem kielich, poczułem się o niebo lepiej i mogłem patrzeć dokoła i słuchać, wciąż jeszcze nieco oszołomiony, ale już bez męczącej mnie bez przyczyny trwogi i niepokoju.

Znajdowaliśmy się istotnie w dziwacznym miejscu i dziwną osobą był nasz gospodarz. Tyle już lat przebywał w ukryciu, że zdziwaczał i nabrał przeróżnych zabawnych upodobań, które zazwyczaj cechują stare panny: miał własne, osobne miejsce, na którym nikomu innemu nie wolno było zasiadać, wewnątrz Klatki panował pewien ustalony przez niego porządek i nikomu nie wolno było go naruszyć. Gotowanie należało do ulubionych rozrywek Cluny'ego i nawet witając nas nie spuszczał zrazów z oka.

Od czasu do czasu, pod osłoną nocy, odwiedzała go żona lub któryś z najbliższych przyjaciół. Przeważnie żył jednak w samotności i stykał się tylko z wartownikami i rękodajnymi, usługującymi mu w Klatce. Co rano jeden z nich, pełniący obowiązki balwierza, przychodził, aby go ogolić i opowiedzieć ostatnie plotki i pogłoski krążące w okolicach, na co Cluny był niezwykle łasy. Z natarczywością dziecka zasypywał pytaniami swego rozmówcę, z niektórych odpowiedzi śmiał się w sposób przekraczający wszelkie rozsądne granice, a nieraz na samo ich wspomnienie wybuchał znowu śmiechem, w parę godzin po odejściu balwierza.

Co prawda, niejedno z jego pytań było celowe, bo chociaż Cluny przebywał w ukryciu i ostatnia ustawa Parlamentu pozbawiła go, jak i innych właścicieli ziemskich w Szkocji, legalnej władzy, to jednak dokonywał nadal patriarchalnego wymiaru sprawiedliwości względem członków swego klanu. Przedstawiano mu tutaj spory do rozstrzygnięcia i zamieszkujący na jego ziemiach ludzie, którzy wzruszyliby pogardliwie ramionami na wyrok



Królewskiego Trybunału, wyrzekali się zemsty i płacili pieniądze, posłuszni słowu tego wyjętego spod prawa i ściganego banity. Gdy się rozsierdził, a często mu się to zdarzało, wydawał rozkazy i groził karami niczym udzielny monarcha. Drżała wówczas przed nim służba i pochylała kornie i trwożliwie głowy jak dzieci w obecności srogiego ojca. Wchodząc witał się z każdym z nich; obie strony wymieniały ceremonialny uścisk dłoni i na wojskową modłę dotykały w tej samej chwili nakrycia głowy. Mogłem więc poznać naocznie wewnętrzne życie i obyczaje góralskiego klanu. Miałem do czynienia z proskrybowanym, ukrywającym się wodzem, którego ziemie zagarnął rząd królewski; poszukujące zbiega wojsko rozjeżdżało wszędzie dokoła, nieraz w odległości zaledwie mili od jego kryjówki, a każdy z nędzarzy, którym groził i wyznaczał grzywny i daniny, mógłby, zdradzając go, uzyskać majątek.

Po naszym przybyciu do Klatki, skoro tylko zrazy zdjęto z rożna, Cluny własnoręcznie wycisnął nad nimi cytrynę (był dobrze zaopatrzony we wszelkiego rodzaju zbytki) i zaprosił nas na obiad.

- W ten sam sposób - mówił - podawałem zrazy, gdy gościłem w tym właśnie domu Jego Królewską Wysokość. Brakowało nam tylko cytryny, ale w tych czasach cieszyliśmy się byle kawałkiem mięsa i nie dbaliśmy należycie o przyprawę; bo w roku czterdziestym szóstym więcej, doprawdy, było w moim kraju dragonów niż cytryn.

Nie potrafiłem ocenić smakowitości owych zrazów, gdyż na sam ich widok poczułem mdłości i niewiele co mogłem przełknąć. Przez cały czas obiadu Cluny zabawiał nas opowiadaniem o pobycie księcia Karola \* [\*Mowa o księciu Karolu Stewarcie.] w Klatce, cytując słowa gości i wstając od stołu, aby nam pokazać miejsca, w których stali. Wywnioskowałem z tego, że książę był miłym, żywym chłopcem, godnym potomkiem rasy wykwintnych królów, ale pod względem umysłowym daleko mu było do króla Salomona. Wywnioskowałem również, że bawiąc w Klatce bywał często pijany, wówczas już ulegał widać nałogowi, który miał później tak fatalnie zaciążyć na jego życiu.

Zaledwie skończyliśmy jedzenie, Cluny wydobył starą, zatłuszczoną i noszącą niezliczone ślady palców talię kart i z błyszczącymi z podniecenia oczyma zaproponował, byśmy zasiedli do gry.

Jedną z zasad, w szacunku dla których zostałem wychowany, było unikanie gry w karty, jako czegoś szczególnie zdrożnego. Uzależnianie bowiem własnej i cudzej sakiewki od mniej lub więcej szczęśliwego układu kawałków malowanej tektury było, zdaniem mego ojca, rzeczą niegodną zarówno chrześcijanina, jak dżentelmena. Mogłem oczywiście powołać się na zmęczenie, co by mnie w dostatecznej mierze usprawiedliwiło, lecz uważałem za bardziej

stosowne dać świadectwo prawdzie. Rumieniąc się na twarzy, oświadczyłem jednak stanowczo, że chociaż nie czuję się powołany do sądzenia innych, nie umiem w ten sposób spędzać czasu.

Cluny przestał tasować karty.

- Co to znaczy, u kaduka? - rzekł. - Cóż to za whigowski sposób przemawiania, uwłaczający szacunkowi należnemu domowi Cluny Macphersona?

- Jestem gotów rękę włożyć w ogień, gdy chodzi o pana Balfoura - odparł Alan. - On jest uczciwym i godnym dżentelmenem, a prosiłbym pana o pamiętanie, że ja to mówię. Noszę królewskie nazwisko - tu Alan nastroszył kapelusz na głowie - i towarzystwo zarówno moje, jak i wszystkich, których za moich przyjaciół poczytuję, godne jest najlepiej urodzonych. Dżentelmen ten jest zmęczony i powinien położyć się spać. Jeśli nie ma głowy do kart, nie będzie to w niczym przeszkadzało ani panu, ani mnie. Ja natomiast gotów jestem, i to nader chętnie, do każdej gry, jaką zechce pan wymienić.

- Panie - odrzekł Cluny - pragnę, abyś wiedział, że w mojej ubogiej zagrodzie każdy dżentelmen może spędzić czas, jak mu się żywnie podoba. Jeśli pański przyjaciel zechce stanąć na głowie - nie mam nic przeciwko temu. A jeśli to komuś z was: jemu lub panu nie dogadza, za zaszczyt sobie poczytam wyjść stąd w jego lub pana towarzystwie.

Nie chciałem dopuścić, aby ci dwaj przyjaciele skrzyżowali klingi z mego powodu.

- Panie - rzekłem - jestem bardzo zmęczony, jak to powiada Alan, a ponieważ w pańskim wieku ma pan zapewne własnych synów, chciałbym nadto dodać, że przyrzekłem memu ojcu nie grywać nigdy w karty.

- Dobrze, już dobrze, to wystarczy - odpowiedział Cluny i wskazał mi posłanie z gałązek wrzosowych, w rogu Klatki. Zły był jednak, pomrukiwał coś pod nosem i patrzył na mnie krzywo. Należy co prawda nadmienić, że zarówno moje skrupuły, jak i sposób, w jaki je ujawniłem, trąciły istotnie nieco whigowską moralnością, musiały więc razić górala i Jakobitę.

Po gorzałce i mięsie jelenim ogarnęła mnie dziwna ociężałość i zaledwie się położyłem, zapadłem w rodzaj półsnu, który mnie nie opuszczał przez cały prawie nasz pobyt w Klatce. Chwilami byłem całkiem przytomny i rozumiałem, co się koło mnie dzieje; chwilami zaś słyszałem tylko głosy lub chrapanie mężczyzn, podobne do szemrania wezbranego potoku. Zdawało mi się, że pledy rozwieszane na ścianach coraz to zanikają lub rozrastają się jak odblaski ognia na suficie. Musiałem od czasu do czasu coś gadać lub wołać, bo pamiętam moje zdziwienie, gdy mi na to odpowiadano. Nie gnębiły mnie jednak żadne zjawy, tylko ogólne poczucie wstrętu do miejsca, w którym się znajdowałem, do posłania, na

którym leżałem, do pledów na ścianach, do głosów otaczających mnie mężczyzn, do ognia i mnie samego.

Opiekę nade mną powierzono balwierzowi pełniącemu również obowiązki cyrulika. Mówił wyłącznie po szkocku, nie rozumiałem zatem ani słowa z jego zaleceń, a zbyt źle się czułem, aby prosić o ich przetłumaczenie. Wiedziałem tylko, że jestem ciężko chory, i nic mnie więcej nie obchodziło.

Toteż leżąc na łożu nie zwracałem większej uwagi na otoczenie. Alan i Cluny spędzali większość czasu przy kartach i na początku szczęście Alanowi dopisywało. Widziałem ich obu pogrążonych w grze, a na stole połyskiwał wysoki stos kilkudziesięciu czy może i stu złotych gwinei. W gnieździe zawieszonym wśród drzew rosnących na urwistym zboczu góry bogactwo takie wywoływało dziwne wrażenie. Już wówczas zdawałem sobie sprawę, że postępowanie Alana przypomina jeźdźca skaczącego w głęboką wodę nie na bojowym rumaku, ale na lichej szkapie, bowiem jego zielona sakiewka zawierała zaledwie pięć gwinei.

Drugiego dnia, jak się okazało, szczęście przestało mu się uśmiechać. Około południa, w obiadowej porze, obudziłem się jak zwykle i jak zwykle odmówiłem wszelkiej strawy. Wypiłem natomiast kubek jakiegoś wywaru z ziół, sporządzonego przez balwierza. Słońce świeciło przez otwarte drzwi Klatki i dokuczało mi swym oślepiającym blaskiem. Cluny siedział przy stole ściskając w ręku talię kart. Alan zaś podszedł do mego posłania i pochylił się, zbliżając twarz do moich oczu. Pod wpływem trawiącej mnie gorączki, twarz ta wydawała się przerażająco olbrzymia.

Poprosił mnie o pożyczenie mu pieniędzy.

- Na co? - zapytałem.

- Chodzi tylko o pożyczkę.

- Ale na co? - powtórzyłem. - Nie wiem, o co chodzi...

- Ts, Davie, nie poskąpisz mi przecież pożyczki.

Powinienem odmówić, gdybym był przy zdrowych zmysłach. Ale pragnąłem tylko zniknięcia twarzy Alana, więc wręczyłem mu pieniądze.

Rano trzeciego dnia, po czterdziestoosiogodzinnym pobycie w Klatce, obudziłem się w znacznie lepszym nastroju, nadal osłabiony i znużony, lecz widząc wszystko, co mnie otaczało, we właściwych proporcjach i kształtach. Odczuwałem ochotę do jedzenia, wstałem dobrowolnie z łoża, a zaraz po śniadaniu wyszedłem z Klatki i usiadłem w lesie wieńczącym szczyt góry. Dzień był szary, powietrze chłodne i łagodne. Siedziałem tam zadumany przez cały ranek. Nic ciszy nie zakłócało oprócz służby i zwiadowców Cluny'ego dźwigających

zapasy lub przynoszących meldunki. Wybrzeże wolne było wówczas od wojska i można by powiedzieć, że Cluny sprawował swą władzę bez mała jawnie.

Gdy powróciłem do Klatki, Alan i Cluny wypytywali jednego ze sług wodza. Cluny zwrócił się do mnie i zaczął mówić do szkocku.

- Nie rozumiem po szkocku, panie - rzekłem.

Od incydentu z kartami cokolwiek bym zrobił lub powiedział wprawiało Cluny'ego w zły humor.

- Pańskie nazwisko - rzekł - ma więcej sensu, niż ma oleju w głowie jego właściciel, jest to bowiem dobre, szkockie nazwisko. Oto, co chciałem powiedzieć. Moi zwiadowcy donoszą, iż na południe droga jest wolna i powstaje pytanie, czy odzyskał pan dosyć sił, aby wyruszyć dalej?

Widziałem karty leżące na stole, ale ani śladu złota, tylko mnóstwo zapisanych skrawków papieru, a wszystkie leżały po stronie Cluny'ego. Alan zaś miał zakłopotaną minę, jak człowiek niezbyt z siebie zadowolony. Opanowały mnie złe przeczucia.

- Nie wiem, czy wróciłem już całkowicie do zdrowia - odpowiedziałem patrząc na Alana - ale pilno nam w drogę, gdyż mamy bardzo mało pieniędzy i długą jeszcze podróż przed nami.

Alan przygryzł wargi i wpatrywał się usilnie w ziemię.

- Davie - rzekł wreszcie - przegrałem je, to szczerza prawda.

- Moje również?

- Twoje również - wystękał Alan. - Nie powinieneś był mi ich dawać. Tracę głowę, gdy siadam do kart.

- Tere, fere - rzekł Cluny. - Graliśmy tylko na żarty. Oczywiście otrzymacie z powrotem wasze pieniądze i drugie tyle ponadto, co za dowód przyjaźni sobie poczytam. Dziwne byłoby z mojej strony postępowanie, gdybym je zatrzymał. Nikt nie może przypuszczać, że mógłbym stanąć w czymkolwiek na przeszkodzie dżentelmenom w waszym położeniu. Dziwne to byłoby, dalibóg! - i zaczął wydobywać złoto z kieszeni, a twarz jego czerwieniała coraz bardziej.

Alan milczał i patrzył w ziemię.

- Czy zechce pan wyjść ze mną z domu na chwilę? - spytałem wodza.

Cluny zgodził się chętnie i wyszedł ze mną, ale był zmieszany i zakłopotany.

- A teraz, panie, chciałbym przede wszystkim złożyć hołd pańskiej wspaniałomyślności.

- Zupełne bzdury! - wykrzyknął Cluny. - Gdzież tu wspaniałomyślność? Jest to po prostu niefortunny zbieg okoliczności. Cóż mam robić, zamknięty w mojej Klatce jak w ulu, jeśli nie grać w karty z przyjaciółmi, gdy się po temu sposobność nadarzy? A jeśli przegrają, to nie należy oczywiście przypuszczać... - urwał w pół zdania i zamilkł.

- Tak, jeśli przegrają, zwraca pan im pieniądze, a jeśli wygrają - zabierają pańskie do kieszeni. Powiedziałem już przedtem, że uznaję to za wspaniałomyślność, lecz jest mi bardzo niemiło znaleźć się w podobnym położeniu.

Nastąpiło krótkie milczenie. Cluny wyglądał, jak by lada chwila chciał coś powiedzieć, lecz nie odzywał się jednak, a twarz jego czerwieniała coraz bardziej.

- Jestem młodym człowiekiem - rzekłem - i proszę, poradź mi, panie, jak bym był twoim synem. Przyjaciel mój stracił w uczciwej grze pieniądze, po uprzednim wygraniu od pana w uczciwej grze znacznie większej sumy. Mogę je przyjąć z powrotem? Godziwymż to będzie z mej strony postępkem? Sam pan zdaje sobie sprawę, że cokolwiek uczynię, będzie to ujmą dla dumy, której nie jestem pozbawiony.

- Mnie również stawia pan w kłopotliwym położeniu, panie Balfour. Z pańskich słów można by sądzić, że zwabiłem do siebie biedaków i naraziłem ich na szkodę. Nie pozwolę na to, by którykolwiek z mych przyjaciół miał doznać zniewagi w moim domu. Nie! - zawołał, uniesiony nagłym porywem - i nie pozwolę, by mnie znieważano!

- Widzi pan zatem, iż moje zdanie nie pozbawione jest słuszności i gra w karty nie należy do zajęć stosownych dla szlachetnie urodzonych. Lecz czekam wciąż na pańską opinię.

Jestem pewny, że jeśli Cluny nienawidził kogoś - to właśnie Dawida Balfour. Patrzył na mnie wrogo i czułem wyzwanie drżące na jego wargach. Jednakże rozbroiła go albo moja młodość, albo jego własne po czucie sprawiedliwości. Przykra to była sprawa dla wszystkich, nie wyłączając Cluny'ego. Na tym większe uznanie zasługuje więc sposób, w jaki ją rozstrzygnął.

- Panie Balfour - rzekł - jest pan moim zdaniem zbyt zasadniczy i ugrzeczniony, ale pomimo wszystko jest pan w duchu godnym dżentelmenem. Zawierz więc uczciwemu memu słowu, a nie powiedziałbym nic innego własnemu synowi, i przyjmij te pieniądze. A oto wraz z nimi moja ręka!

## XXIV. Klótnia

Pod osłoną chmurnej nocy przeprowiono Alana i mnie przez zatokę Loch Errocht, po czym ruszyliśmy wzdłuż wschodniego jej wybrzeża do kryjówki położonej opodal wylotu zatoki Loch Rannoch, mając za przewodnika służącego z Klatki. Niósł on wszystkie nasze rzeczy tudzież płaszcz Alana. W drodze do Klatki nawet część tego ciężaru przytłaczała mnie do ziemi, on zaś, choć bardzo objuczony, szedł rażno jak silny konik górski idący luzem. A przecież będąc w pełni sił mógłbym w równej walce z łatwością go pokonać.

Marsz bez obciążenia był ulgą nie lada; bez ulgi dającej poczucie lekkości i swobody nie mógłbym zapewne w ogóle iść naprzód. Choroba zaledwie mnie opuściła, a nasze położenie nie zachęcało do wysiłku. Szliśmy bowiem z Alanem przez najbardziej ponure i nieprzystępne pustkowia Szkocji, pod chmurnym niebem, a serca nasze były poróżnione.

Przez długi czas nie przemówiliśmy do siebie ani słowa, idąc razem lub jeden za drugim, a obaj upieraliśmy się przy swoim. Ja byłem gniewny i dumny, i czerpałem skąpe siły z dwóch gwałtownych a grzesznych uczuć, Alan zawstydzony i gniewny; zawstydzony z racji przegrania moich pieniędzy i zagniewany z racji żalu, jaki o to miałem do niego.

Myśl o rozstaniu się z Alanem nurtowała mnie coraz silniej, a im bardziej godziłem się na to, tym bardziej się tego wstydziłem. Byłoby zaiste pięknym, szlachetnym i korzystnym dla mnie gestem, gdyby Alan zwrócił się do mnie i rzekł: - Rozstańmy się, jestem narażony na większe od ciebie niebezpieczeństwo i przebywanie ze mną zwiększa to, na które jesteś narażony.

Ja zaś ze swej strony nie mogłem za skarby rzec do kochającego mnie niewątpliwie przyjaciela: - Tobie grozi bardzo poważne niebezpieczeństwo, mnie zaś niewielkie. Przyjaźń twoja jest dla mnie ciężarem. Odejdź ode mnie, sam ponoś wszelkie trudy i sam stawiaj czoło niebezpieczeństwu.

Na samą myśl o tych skrycie snutyh rozważaniach czułem na twarzy palący rumieniec.

Alan jednakże postąpił jak dziecko, gorzej - jak zdradzieckie dziecko. Wzięcie ode mnie pieniędzy, gdy leżałem na wół przytomny, niewiele się różniło od złodziejstwa. Pomimo to szedł sobie koło mnie, bez grosza przy duszy, i ochoczo czekał na okazję skorzystania z pieniędzy, które z jego winy musiałem wyżebrać. Gotów byłem, oczywiście podzielić się nimi, ale złościło mnie, iż Alan na to liczy.

Dwa te postęпки gniewały mnie bardzo, a nie mogłem o żadnym z nich wspomnieć bez okazania czarnej niewdzięczności. Obrałem więc inny, najgorszy sposób postępowania: nie odzywałem się słowem do mego towarzysza i nie patrzyłem na niego inaczej jak z ukosa.

Wreszcie, po przepłynięciu się przez Loch Errocht, gdy szliśmy bez wysiłku przez równe, porośnięte wikliną miejsce, Alan nie mógł znieść tego dłużej i zbliżył się do mnie.

- Davie - rzekł - nie przystoi dwom przyjaciołom bocyć się na siebie o byle błańostkę. Powinienem cię przeprosić za to, co się stało, i chętnie to czynię, a jeśli tobie coś leży na sercu, powiedz mi o tym.

- Ech - odparłem - nie mam nic do powiedzenia.

Alan się zmieszał, co mi sprawiło niegodziwą radość.

- Nawet jeśli ci powiem, że to moja wina? - rzekł drżącym głosem.

- Oczywiście, że twoja - odpowiedziałem chłodno. - Chociaż przyznać chyba musisz, że nie robiłem ci żadnych wyrzutów.

- Nie, nigdy, ale wiesz dobrze, że masz sam coś gorszego na sumieniu. Czyż mamy się rozstać? Wspomniałeś już raz o tym. Chcesz raz jeszcze to powiedzieć? Pomiędzy obu morzami gór i wrzosowisk jest pod dostatkiem. A wyznaję, że nie mam ochoty przebywać w towarzystwie, w którym nie jestem pożądanym.

Słowa jego, obnażające moje skryte sprzeniewierstwo, odczułem boleśnie, jak cięcie szablą.

- Czy sądzisz - zawołałem - że mógłbym opuścić cię w największej potrzebie? Nie śmiej mi więc o tym mówić. Całe me postępowanie kłam temu zadaje. To prawda, że zasnąłem na równinie, lecz uległem znużeniu i niesłusznie żywisz o to do mnie urażę.

- Nigdy ci tego nie wymawiałem - odrzekł.

- Ale pomijając to, nie masz prawa obrażać mnie takim przypuszczeniem. Nigdy jeszcze nie zawiodłem przyjaciela i wątpię, abym miał zaczynać od ciebie. Są pomiędzy nami sprawy, których zapomnieć nie mogę, nawet jeśli ty możesz.

- Powiem ci tyle tylko, Davie - rzekł bardzo spokojnie Alan - od dawna zawdzięczam ci życie, a teraz jestem ponadto winien ci pieniądze. Nie powinienes mi utrudniać znoszenia tego ciężaru.

Słowa Alana powinny były mnie wzruszyć i osiągnęły to, lecz nie tak jak by należało. Zdawałem sobie sprawę z niegodziwości mego postępowania i zły byłem nie tylko na Alana, ale i na siebie, co uczyniło mnie tym bardziej okrutnym.

- Chciałeś, abym ci powiedział, co mi leży na sercu - rzekłem. - Posłuchaj więc. Przyznajesz, że bardzo kiepską oddałeś mi przysługę. Musiałem przełknąć tę zniewagę.

Żadnych ci jednak nie robiłem wyrzutów i o niczym nie wspominałem, dopóki sam tego nie uczyniłeś. A teraz jeszcze masz żal do mnie, że nie mogę śmiać się i weselić ciesząc się z własnego upokorzenia. Wkrótce gotów jesteś zażądać, bym padł na kolana i podziękował ci za to. Powinieneś myśleć więcej o innych, wówczas łatwiej ci przyjdzie mniej mówić o sobie. A jeśli oddany ci przyjaciel bez słowa przełknął był wyrządzoną mu zniewagę, lepiej byłoby, gdybyś tej sprawy nie poruszał, zamiast posługiwać się nią jak kijem spadającym na jego plecy. Jak wynika z twych własnych słów, ty ponosisz winę za to, co się stało, nie powinieneś więc teraz przeć do nowej kłótni.

- Nie mówmy o tym więcej - rzekł Alan.

O zmroku następnego dnia przewodnik Cluny'ego przeprowadził nas przez Loch Rannoch i wskazał dalszą, najlepszą, jego zdaniem, drogę. Mieliśmy natychmiast zapaść się w góry i trzymając się stale jak najbliżej szczytów iść, okrążając Glen Lyon, Glen Lochay oraz Glen Dochart, i przedostać się tamtędy do Dolnej Szkocji. Alan niechętnie wysłuchał tej rady, bowiem dalsza nasza droga miała prowadzić przez kraj jego śmiertelnych wrogów - Glenorchy Campbellów. Wolałby skrócić na wschód, przez co znaleźlibyśmy się prawie od razu w Alhile Stewartów, klanu o tym co on nazwisku i pochodzeniu, aczkolwiek podlegającego innemu wodzowi. Ponadto, jak twierdził, drogą tą doszlibyśmy szybciej i łatwiej do celu naszej podróży. Rękodajny Cluny'ego, będący jego najlepszym zwiadowcą, miał jednak słuszne powody, aby nie podzielać opinii Alana. Wyliczył nam, gdzie i ile w tych okolicach znajduje się wojska, i twierdził stanowczo (jeśli go dobrze zrozumiałem), że nigdzie niebezpieczeństwo mniej nam grozić nie będzie jak właśnie w kraju Campbellów.

Alan, aczkolwiek z ciężkim sercem, zgodził się wreszcie na to. - Jest to - mówił - jedna z najbardziej ponurych okolic w całej Szkocji. Niczego tam nie spotkamy tylko wrony, wrzosa i Campbellów. Lecz wyglądasz na roztropnego człowieka i pójdziemy za twoją radą.

Wyruszyliśmy więc wytyczoną marszrutą i większą część trzech nocy wędrowaliśmy po wysokich górach, wśród źródeł, strumieni, często otoczeni zewsząd gęstą mgłą, prawie nieustannie chłostani przez wichry i deszcze. Najmniejszy rąbek słońca nie ukazał się na niebie, by nas wysuszyć i rozweselić. W dzień spaliśmy w ociekających wodą krzakach wrzosa, nocą brnęliśmy bez wytchnienia przez karkołomne turnie i przepaściste wądoły. Błądziliśmy często, a od czasu do czasu natrafialiśmy na tak gęstą mgłę, że musieliśmy leżeć bez ruchu, czekając, aż się podniesie. Jedynym naszym pożywieniem była mąka owsiana zmieszana z wodą i zimne mięso, w które zaopatrzone nas w Klatce. Jeśli chodzi o napój, dalibóg, wody nam nie brakowało.



Straszliwe trudy wędrówki potęgowała posępność krajobrazu i pogody. Ani na chwilę zimno nie przestawało nam dokuczać. Szczękałem zębami bez ustanku. Bolało mnie gardło, jak wówczas na wyspie, w boku czułem ustawiczne klucie. A gdy spałem na mokrym posłaniu, mając deszcz nad sobą i lepkie błoto pod sobą, przeżywałem w snach najgorsze chwile mych przygód; widziałem oświetloną błyskawicą wieżę w Shaws, zwłoki Ransome'a wnoszone na plecach marynarzy do kubryku, Shuana konającego na podłodze kajuty, Colina Campbella szarpiącego odzież na zakrwawionej piersi. Budziłem się o zmierzchu z pełnej okropnych majaczeń drzemki i siadałem w tej samej kałuży, w której położyłem się spać. Jadłem na smagającym twarz deszczu owsianą mąkę, zmieszaną z zimną wodą, czując lodowate strugi spływające mi po plecach, i widziałem kłębowiska mgieł, otaczające nas niby ponury całun, lub jeśli wiatr je rozpędził, ukazującą się nagle u stóp naszych ciemną czeluść kotliny, na dnie której grzmiały potoki.

Odgłosy nieskończonej ilości strumieni dochodziły do nas ze wszystkich stron. Źródła w górach wezbrały od ciągłych deszczów, z każdej kotliny woda buchała jak z cysterny, każdy potok wypełnił i przekroczył swe koryto. Podczas naszych nocnych peregrynacji echa ich głosów rozbrzmiewały w dolinach solennym hukiem grmotu lub gniewnym, jazgotliwym szemraniem. Słyszając je, rozumiałem, jak powstała klechda o demonie strumieni, który wyczekuje u brodu - jęcząc i rycząc - kroczącego na swą zgubę podróżnika. Alan wierzył w tę baśń, może zresztą tylko częściowo, zęgnął się bowiem na katolicką modłę (co mnie dziwiło i oczywiście gorszyło), gdy głosy toczących się wód rozlegały się donośniej i groźniej niż zwykle.

Podczas okropnej wędrówki znikła wszelka pomiędzy nami zażyłość, nie rozmawialiśmy prawie wcale ze sobą. Na swoje usprawiedliwienie mogę tyle tylko powiedzieć, że będąc znużony do ostateczności i znękany cierpieniem, tęskniłem już wyłącznie do spoczynku śmierci. Ponadto, od najwcześniejszego dzieciństwa zaciętość cechowała mój charakter. Trudno mnie było urazić i tym trudniej mi przychodziło puszczenie urazy w niepamięć, byłem więc zły zarówno na mego towarzysza, jak i na siebie. Przez pierwsze dwa dni nie zrażony tym Alan okazywał mi dużo serdeczności w nadziei, z czego sobie dobrze zdawałem sprawę, że gniew mój ostygnie. Ja zaś pozostawałem zamknięty w sobie i podtrzymywałem nurtującą mnie złość, odmawiając szorstko przyjmowania jego usług i patrząc na niego jak by był krzakiem lub kamieniem.

Druga noc, a raczej wczesny świt trzeciego dnia, zastał nas na otwartym zboczach góry. Nie mogliśmy więc, wbrew naszym planom, usiąść tu, by posilić się i spać. Zanim doszliśmy do miejsca zapewniającego nam kryjówkę, szarość świtu rozjaśniła się znacznie, bo chociaż

deszcz padał ciągle, chmury podniosły już się nieco wyżej i Alan, spojrzawszy na moją twarz, okazał zaniepokojenie.

- Pozwól mi nieść twój pakunek - rzekł po raz może dziesiąty od czasu, gdyśmy pożegnali naszego przewodnika u zatoki Loch Rannoch.

- Dziękuję, czuję się doskonale - odpowiedziałem lodowato.

Ciemny rumieniec oblał twarz Alana.

- Nie zaproponuję ci tego już więcej - rzekł. - Nie należę do cierpliwych ludzi.

- Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości - odpowiedziałem. Była to z mojej strony głupia, gburowata uwaga zarozumiałego, małego chłopca.

Alan nic wówczas nie odpowiedział, jego zachowanie natomiast stało się aż nadto wymowne. Od tej chwili przebaczył mi jak by całkowicie spór w Klatce Cluny'ego; poprawiał buńczucznie kapelusz na głowie, szedł rażno, pogwizdywał wesoło i rzucał ku mnie wyzywające spojrzenia.

Podczas trzeciej nocy musieliśmy przejść pasmo górskie zwane Balquhidder. Było pogodnie, lecz chłodno, w powietrzu wyczuwało się przymrozek. Północny wiatr przegnał chmury i rozjaśnił gwiazdy. Wezbrane potoki nadal huczały głośno wśród gór, lecz zauważyłem, że Alan przestał już myśleć o demonie strumieni i jest w doskonałym nastroju. Dla mnie jednak ta zmiana pogody na lepszą nastąpiła za późno. Leżałem tak długo w błocie, że jak powiada Biblia, „obmierzała mi” własna odzież. Byłem śmiertelnie znużony i chory, dręczony gorączką i dreszczami, chłodny wiatr przenikał mnie do kości, a jego poświst drażnił me uszy. W takim to stanie musiałem znosić humory mego towarzysza. Gadał jak najęty i nie szczędził złośliwych docinków. „Whig” należał do najmniej uszczypliwych.

- To jest znakomita okazja do skakania, mój whigusiu - powiadał. - Wiem dobrze, jak świetnym jesteś skoczkiem! - I tak dalej, zawsze kpiącym tonem i z drwiącym uśmiechem.

Wiedziałem, że ja tylko, a nikt inny, jestem temu winien, ale zbyt byłem umęczony, aby stać mnie było na skruchę. Czułem, że wlokę się ostatkiem sił, a niebawem położę się i umrę w tych mokrych górach jak lis lub owca, a kości moje zbieleją jak kości zwierzęcia. Być może czułem już pustkę w głowie, ale zacząłem się cieszyć z takiego obrotu rzeczy, rozkoszować myślą o zgonie w samotności, na pustkowiu, gdzie tylko orły zakłócić mogły moje ostatnie chwile.

„Dopiero wtenczas - myślałem sobie - Alan mnie pożałuje, przypomni po mojej śmierci, jak wiele mi zawdzięczał, i to wspomnienie będzie dla niego torturą”.

W takim to stanie ducha jak chory, głupi, przewrotny uczeń, szedłem naprzód - miał upaść na kolana i błagać Boga o litość. Po każdej drwinie Alana pocieszałem się myślą:

„Przygotowuję ci w zamian lepszy dowcip, bo położę się i umrę. To dopiero będzie dla ciebie policzek! I cóż za zemsta! Jakże żałować będziesz swej niewdzięczności i okrucieństwa”.

W miarę upływu czasu czułem się coraz gorzej. Raz upadłem nawet, gdy nogi po prostu ugięły się pode mną, i przez chwilę Alan dosyć się tym przejął. Lecz poderwałem się tak rażno i ruszyłem dalej z tak naturalną miną, że wkrótce o tym zapomniał. Ogarniała mnie na przemian gorączka paląca ciało i zimne dreszcze. Ból i klucie w boku stały się nie do zniesienia. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że nie mogę już iść dalej, i wtedy to uległem nagłej chęci rozprawienia się z Alanem. Zapragnąłem namiętnie dać upust targającej mną złości i zakończyć życie w bardziej gwałtowny sposób. Alan właśnie nazwał mnie Whigiem. Przystanąłem.

- Panie Stewart - rzekłem głosem drżącym jak struna basetli - jest pan starszy ode mnie i powinien pan wiedzieć, jak się należy zachowywać. Czy natrząsanie się z mych poglądów politycznych uważa pan za dowcipne i rozsądne? Sądziłem, że dżentelmeni zwykli w grzeczny sposób dawać wyraz różnicom dzielącym ich opinię, bo gdybym nie był tego zdania, potrafiłbym wymyślić lepsze od pańskich dowcipy.

Alan zatrzymał się naprzeciwko mnie, z kapeluszem na bakier, z rękami w kieszeniach spodni i głową pochyloną na bok. Słuchał uśmiechając się złośliwie, jak to mogłem dostrzec w świetle gwiazd, a gdy skończyłem mówić, zaczął gwizdać jakobicką piosenkę, wykpiwającą generała Cope, po jego klęsce pod Prestonpans. Przyszło mi na myśl, że Alan brał udział w tej bitwie w szeregach wojsk królewskich.

- Dlaczego wybrał pan tę właśnie piosenkę, panie Stewart? Czy po to, aby mnie przypomnieć, że którejkolwiek stronie ofiarował pan swoje waleczne usługi, kończyło się to jej przegraną?

Melodia zamarła na ustach Alana.

- Davie! - wykrzyknął.

- Ale czas już najwyższy - ciągnąłem dalej - odmienić pańskie maniery, to znaczy, życzę sobie, abyś od tej chwili grzecznie wyrażał się o moim królu i mych przyjaciółach Campbellach.

- Należę do rodziny Stewartów...

- Tak, i nosi pan królewskie nazwisko, ale proszę pamiętać, że od chwili przybycia do Górnej Szkocji spotkałem całe mnóstwo szcycących się również tym nazwiskiem i nic lepszego o nich nie mogę powiedzieć jak tylko to, że nie myją się ani zbyt często, ani zbyt skwapliwie.

- To jest zniewaga! Czy wie pan o tym?

- Bardzo mi przykro, nie chciałem. Ale jeśli już początek mej wypowiedzi nie przypada panu do gustu, koniec tym bardziej razić będzie pańskie uszy. Brał pan cięgi na polu bitwy z rąk dorosłych mężczyzn z mego stronnictwa, a odgrywanie się na chłopcu to kiepska pociecha. Pobili was zarówno Campbellowie, jak Whigowie, a zmykał pan przed nimi jak zając. Należałoby więc mówić o nich z szacunkiem jako o kimś godniejszym od pana.

Alan stał zupełnie nieruchomo, tylko poły jego płaszcz furczały na wietrze.

- Szkoda - rzekł wreszcie. - Są rzeczy, których płazem puścić nie można.

- Nigdy pana o to nie prosiłem. Jestem gotów, tak samo jak i pan.

- Gotów?

- Gotów - powtórzyłem. - Nie jestem pyszałkiem i darmochwałem, jak niejeden, którego nazwisko mógł bym wymienić. Dalej! - i wydobywając szablę z pochwy stanąłem w postawie szermierczej, tak jak mnie tego nauczył Alan.

- Davie! Czyś ty zwariował? Nie mogę z tobą skrzyżować ostrzy. Byłoby to po prostu morderstwo!

- Wszak o to ci właśnie chodziło, gdy mnie lżyłeś.

- To prawda! - zawołał Alan i stał przez chwilę, szarpiąc podbródek, jak człowiek pogrążony w nie lada rozterce.

- To jest szczerą prawdą - rzekł i obnażył szablę, lecz zanim zdołałem moją dotknąć jego klingi, rzucił szablę na ziemię.

- Nie, nie - powtórzył parokrotnie - tego nie mogę uczynić!

Wtedy dopiero ulotnił się mój cały gniew i zdałem sobie sprawę, że jestem tylko chory, nieszczęśliwy, ogłupiały i zdziwiony własnym postępowaniem. Zapłaciłbym wówczas każdą cenę, aby móc cofnąć wszystko, co powiedziałem, ale któż zdoła raz wypuszczone na wolność słowo ponownie uwięzić? Przywiodło mi to na myśl przeszłość, męstwo i dobroć Alana, jak mnie wspomagał, pocieszał, jak dzielił ze mną niedolę naszych najgorszych dni. I gdy uświadomiłem sobie całą brutalność mych obelg, zrozumiałem, że straciłem na zawsze dzielnego i oddanego przyjaciela. Równocześnie czułem, jak choroba ogarnia mnie ze wzmożoną siłą; ostry ból w boku przeszywał jak sztych szablą zadany. Zdawało mi się, że za chwilę upadnę na miejscu, zemdlony.

Wywołało to we mnie inną myśl. Wszelkie przeprosiny były bezcelowe, nic bowiem nie mogło wymazać z pamięci Alana wszystkiego, co powiedziałem, ani unicestwić takiej zniewagi, ale jeśli przeprosiny nie mogły osiągnąć skutku i pojednać mnie z Alanem, mogła do tego doprowadzić jedynie prośba o pomoc. Odrzuciłem precz całą swoją dumę.

- Alanie - rzekłem - jeśli mi nie pomożesz, muszę tutaj umrzeć.

Zerwał się i spojrzał na mnie.

- To prawda - mówiłem dalej - jestem już u kresu sił... i mam tylko jedno pragnienie... schronić się w jakimś domu. Lżej mi tam będzie umierać...

Nie musiałem udawać. Bez względu na moje zamiary, mówiłem tak żalonym i płaczącym głosem, że i kamienne serce by się wzruszyło.

- Czy możesz iść? - zapytał Alan.

- Nie, bez pomocy ani kroku nie zrobię. Od godziny nogi załamują się pode mną. W boku mnie kłuje... jak rozpalonym żelazem. Oddycham z największą trudnością. Czy po mojej śmierci przebaczysz mi, Alanie? Lubiłem cię z całego serca, nawet w największym gniewie...

- Sza, sza - zawołał Alan - nie mów tak, Davie... - i głośnie łkanie zamknęło mu usta. - Pozwól mi objąć cię ramieniem. Tak, w ten sposób! Teraz oprzyj się mocno o mnie. Pan Bóg jeden wie, gdzie ja ci jakiś dom wynajdę. Jesteśmy co prawda w Balquhider i nie powinno nam tu zabraknąć domów i przyjaciół. Czy łatwiej ci tak iść, Davie?

- Tak, w ten sposób mogę iść - odpowiedziałem i przycisnąłem rękę do jego ramienia.

Alan znów o mało się nie rozplakał.

- Davie - rzekł - nie jest dobrym człowiekiem. Okazałem się zarówno głupim, jak niegodziwym. Powinienem był pamiętać, że jesteś jeszcze dzieckiem i że będąc chory i znużony każdym krokiem zbliżasz się do śmierci. Davie, chciałbym, abyś spróbował mi wybaczyć...

- Nie mówmy o tym więcej. Naprawdę żaden z nas nie może służyć dobrym przykładem. Musimy sobie wzajemnie wybaczać przywary i znosić je cierpliwie. Ależ mnie w boku kłuje! Czy tu nie ma jakiego domu w pobliżu?

- Znajdę dla ciebie dom - odrzekł rezolutnie. - Zejdziemy w tę kotlinę i idąc wzdłuż niej powinniśmy się natknąć na jakąś ludzką siedzibę. Czy nie ulżyłoby ci, gdybym cię niósł na plecach?

- Przecież jestem ze dwanaście cali wyższy od ciebie.

- Nic podobnego! - zawołał poruszony Alan. - Jesteś może odrobinę wyższy ode mnie, może cal lub dwa. Nie twierdzę bynajmniej, że jestem, jak się to mówi, wysokim mężczyzną. A zresztą - dodał po chwili, ociągając się i cedząc śmiesznie każde słowo - skoro już o tym mowa, może masz i rację. Tak, jesteś wyższy ode mnie o stopę, a może i więcej.

Słyszeć Alana zmieniającego zdanie na swoją niekorzyść było miłym i zabawnym doświadczeniem. Śmiałybym się, gdyby nie ból w boku, ale jeśli nawet zdołałem się wówczas uśmiechnąć - to przez łzy.

- Alanie - zwołałem - dlaczego jesteś dla mnie tak dobry? Dlaczego okazujesz tyle przyjaźni takiemu jak ja niewdzięcznikowi?

- Nie wiem, doprawdy. Zawsze mi się zdawało, że cenię w tobie najbardziej to, że nigdy się nie kłócisz. A teraz lubię cię jeszcze bardziej.

## XXV. W Balquhiddel

Alan zastukał do drzwi pierwszego napotkanego domu, chociaż w tej części Górnej Szkocji, zwanej Balquhiddel, było to raczej niebezpiecznym przedsięwzięciem. Nie rządził tam żaden z wielkich klanów. Na mieszkańców składały się drobne i zwalczające się wzajemnie rody, szczątki różnych, pokonanych klanów oraz zbieranina „ludzi bez wodza”, wypartych w te dzikie i ubogie okolice przez zagarniających coraz więcej ziemi Campbellów. Spotykało się tam więc Stewartów i Maclarenów, co nie sprawiało różnicy, Maclarenowie bowiem uznawali zwierzchność tego samego co Alan wodza i należeli do tego samego klanu, co mieszkańcy Appin. Było tam również sporo członków starego, pozbawionego ziemi i skalanego niejednym zabójstwem klanu Macgregorów. Cieszyli się zawsze złą reputacją, a w owym czasie gorszą niż kiedykolwiek, narazili się bowiem zarówno Jakobitom, jak i Whigom, na które to dwa stronnictwa dzieliła się cała Szkocja. Ich wódz Macgregor of Macgregor przebywał na wygnaniu, a ich bardziej bezpośredni, miejscowy przywódca - James More, najstarszy syn Rob Roya \*, [\*Rob Roy - sławny rozbójnik szkocki (1671-1734); cieszył się wielką popularnością wśród ludu. Zwalczał możnowładców i brał udział w powstaniu 1715 roku po stronie Jakobitów. Jest bohaterem jednej z najbardziej poczytnych powieści Waltera Scotta „Rob Roy”.] czekał na wyrok w lochach edynburskiego zamku. Macgregorowie byli pokłóceni zarówno z mieszkańcami Górnej, jak i Dolnej Szkocji, a także z Grahamami, Stewartami i Maclarenami. Toteż Alan, który podzielał sympatię wszystkich swoich przyjaciół, starał się usilnie uniknąć z nimi spotkania.

Tym razem szczęście nam dopisało, natrafiliśmy bowiem na rodzinę Maclarenów i nie tylko nazwisko Alana, ale i jego znana gospodarzom reputacja, zapewniły nam gościnne przyjęcie. Znalazłem się więc niezwłocznie w łóżku, a sprowadzony w tym celu lekarz uznał mój stan zdrowia za budzący poważne obawy. Czy to dzięki znakomitej wiedzy owego lekarza, czy też dzięki naturze silnego i młodego chłopca, leżałem tylko tydzień w łóżku, a przed upływem miesiąca gotów byłem wyruszyć ochoczo w dalszą drogę.

Przez cały ten okres Alan, wbrew moim częstym naleganiom i na przekór protestom wtajemniczonych przyjaciół potępiających jego upór, nie chciał się ze mną rozstać. Podczas dnia ukrywał się w jamie na zalesionym stoku wzgórza, w nocy zaś, jeśli nic nie stawało na przeszkodzie, przychodził do mnie w odwiedzin. Byłem mu oczywiście bardzo rad, a pani Maclaren, nasza gospodyni, nie wiedziała, gdzie posadzić i czym uraczyć tak miłego gościa. Duncan Dhu (tak się nazywał nasz gospodarz) posiadał kobzę i należał do zapalonych

miłośników muzyki, toteż okres mej rekonwalescencji upływał bardzo wesoło i stale noc na dzień zamienialiśmy.

Wojsko królewskie pozostawiało nas w spokoju. Raz jeden tylko oddział, złożony z dwóch kompanii i kilkunastu dragonów, przemaszerował doliną i mogłem leżąc w łóżku dostrzec ich przez okno. Dziwniejszym było natomiast zjawisko, że nie pojawił się żaden urzędnik i nikt się nie dopytywał, skąd przybyłem i dokąd zdążam. W owych niespokojnych na ogół czasach nikt mnie nie nagabywał, jak bym się znajdował na pustyni. A przecież, zanim opuściłem ten dom, wieść o mym pobycie doszła już do okolicznych mieszkańców, wielu z nich bowiem odwiedzało mych gospodarzy i przez nich, zgodnie z przyjętym w owym kraju zwyczajem, rozchodziły się wieści. Wydrukowano oczywiście listy gończe. Znalazłem jeden z nich przypięty koło nogi łóżka, tak że mogłem odczytać wydrukowany dużymi literami opis mej osoby i sumę, jaką nałożono na mą głowę. Duncan Dhu, podobnie jak inni, wiedząc, że przybyłem z Alanem, bez trudu odgadł, kim jestem, inni także musieli się domyślić, bo chociaż zmieniłem odzież, nie mogłem jednak zmienić ani wieku, ani wyglądu, a w Dolnej Szkocji nie ma znowu tak wielu osiemnastoletnich chłopców, więc po nitce do kłębka doszli oni - pewno czytając list - do tego, kim jestem. Tak też i było.

Wśród innych ludzi tajemnica powierzona kilku zaledwie przyjaciołom dociera jednak do niepowołanych uszu, lecz górale ci umieli do stu lat dochować znanego całej okolicy sekretu.

Podczas mego pobytu u Maclarenów jedno tylko zdarzenie zasługuje na bardziej szczegółowy opis: wizyta złożona mi przez Robina Oig, jednego z synów sławnego Roba Roya. Poszukiwano go na wszystkie strony za porwanie młodej niewiasty z Balfroa i małżeństwo zawarte z nią - wbrew jakoby jej woli. Pomimo tego Robin Oig krążył po Balquhiderze jak dziedzic po swych włościach. On to z powodu nie kończącej się waśni rodowej zastrzelił Jamesa Maclarena orzącego własne pole. Wszelako Robin Oig wszedł do domu swych śmiertelnych wrogów, tak jak wędrowny kupiec wchodzi do zajazdu.

Duncan zdążył mi powiedzieć, kim jest ów przybysz, i spojrzeliśmy na siebie z niepokojem. Zbliżała się właśnie pora, w której Alan zwykł nas odwiedzać, i trudno było przypuszczać, że ci dwaj potrafią spotkać się i rozejść w zgodzie. Jednakże zawiadomienie Alana lub danie mu znać w jakikolwiek sposób o tej niespodziewanej wizycie musiałyby wzbudzić podejrzenie człowieka tak tropionego jak Macgregor.

Wszedł do izby, gdzieśmy siedzieli, okazując wyszukaną grzeczność, ale jak człowiek mający do czynienia z pośledniejszymi od siebie. Zdjął czapkę przed panią Maclaren, lecz wcisnął ją na głowę, gdy zwrócił się do Duncana. Przedstawiwszy się w ten sposób we



właściwym świetle (tak mu się przynajmniej zdawało), podszedł do mego łóżka i złożył ukłon.

- O ile mi wiadomo, panie, nazwisko twe brzmi Balfour.

- Nazywają mnie Dawid Balfour, do pańskich usług.

- Odwzajemniłbym się panu wymianieniem mego, lecz ostatnio nabrało ono zbyt dużego rozgłosu. Może więc uzna pan za wystarczające, gdy powiem, iż jestem rodzonym bratem Jamesa More Drummonda of Macgregor, a o nim, jak sądzę, musiał pan słyszeć.

- Słyszałem, oczywiście - odparłem cokolwiek przerażony - jak również o pańskim ojcu Macgregor Campbellu.

Usiadłem na łóżku i złożyłem mu ukłon. Komplementy wydawały mi się wskazane na wypadek, gdyby Macgregor szczyił się, że jest synem człowieka wyjętego spod prawa.

Oddał mi ukłon i rzekł. - Oto, co przyszedłem panu powiedzieć. W roku 1745 brat mój zwerbował część naszego klanu i na czele sześciu kompanii wyruszył w obronie słusznej sprawy. Lekarz, który dzielił wówczas trudy wojenne mego klanu i leczył brata rannego w nogę w potyczce pod Prestonpans, nosił pańskie nazwisko. Był on bratem Balfoura z Baith. I jeśli jest pan w jakiegokolwiek - rozsądnie bliskiej - mierze spokrewniony z tą rodziną, przyszedłem zaofiarować panu swoje i swych ludzi usługi.

Musicie pamiętać, że o mych przodkach wiedziałem nie więcej niż pies wędrownego handlarza. Stryj Ebenezer coś tam wprawdzie bajdurzył o naszych świetnych koligacjach, lecz nie wspominał o niczym, co by mi mogło się przydać w rozmowie z Macgregorem. Nie pozostawało mi nic innego, jak przyznać się z gorzkim upokorzeniem, że nic o mych przodkach nie wiem.

Robin wyraził oschłe ubolewanie, że się niepotrzebnie fatygował, i odwróciwszy się ode mnie, bez jakiegokolwiek ukłonu lub gestu pożegnania, odszedł ku drzwiom.

Dosłyszałem, jak mówił do Duncana: - To jakiś hołysz bez paranteli, nie znający własnego ojca.

Pomimo gniewu, jaki we mnie wzbudziły te słowa, i wstydu, jaki odczuwałem na skutek mojej ignorancji, zaledwie mogłem się powstrzymać od śmiechu na myśl, że ów człowiek ścigany przez prawo (i powieszony w trzy lata później) jest tak wybredny, gdy chodzi o pochodzenie swych znajomych.

Macgregor spotkał się z Alanem w drzwiach. Cofnęli się obaj i spojrzeli na siebie jak nieznajome psy. Żaden z nich nie był wysoki, lecz zdawało się, że rosną obaj, w miarę jak przybierali dumną i zawadiacką postawę. Obaj mieli szable u boku i obaj ruchem bioder odrzucili rękojeści, aby móc łatwiej je pochwycić i wydobyć klingę z pochwy.

- Pan Stewart, jak mi się wydaje - rzekł Robin.

- Dalibóg, panie Macgregor, to nie jest nazwisko, którego należałoby się wstydić.

- Nie wiedziałem, że pan bawi na moich ziemiach.

- Zawsze mi się zdawało, że te ziemie należą do mych przyjaciół, Maclarenów.

- To jest sporna sprawa. Można by o tym niejedno powiedzieć. Ale dochodziły mnie słuchy o pańskich wyczynach szablą.

- Jeśli pan nie jest głuchy od urodzenia, słyszałeś o mnie cokolwiek więcej. Nie jestem w Appin jedynym umiejącym walczyć bronią. Kilkanaście lat temu moi krewni oraz wódz ich Ardshiel załatwiali porachunki z pewnym dżentelmenem noszącym pańskie nazwisko i nigdy nie słyszałem, aby Macgregor uzyskał nad nimi przewagę.

- Czy pan ma na myśli mego ojca?

- Być może. Dżentelmen, o którym mówię, nie odznaczał się zbyt dobrym gustem, albowiem do swego własnego doczepił nazwisko Campbell.

- Mój ojciec był wówczas starym człowiekiem. Siły więc były nierówne. Pan i ja stanowimy znacznie lepiej dobraną parę.

- I mnie się tak wydaje.

Słuchając tej rozmowy gotowałem się do wyskoczenia z łóżka, Duncan zaś stał obok tych czupurnych kogutów gotów rzucić się między nich przy najbliższej po temu okazji. A gdy padły te ostatnie słowa, jasnym się stało, że nie ma ani chwili do stracenia, i Duncan, z cokolwiek bladą twarzą, skoczył pomiędzy nich.

- Panowie - rzekł - myślałem właśnie o całkiem innej sprawie. Mam tutaj kobzę, a wy obaj wszak cieszyście się sławą najlepszych kobziarzy. Stary to jest bardzo spór, kto z was jest lepszy, ale oto nadarza się doskonała sposobność, aby się o tym przekonać.

- Tak, panie - odrzekł Alan, zwracając się do Robina, z którego ani na moment nie spuszczał oczu. Robin zaś przyglądał się Alanowi z nie mniejszą uwagą - słyszałem istotnie takie pogłoski. Czy zna się pan na muzyce? Czy potrafi pan coś wygrać na kobzie?

- Jestem znakomitym kobziarzem.

- To bardzo śmiałe słowo.

- Nieraz wypowiadałem śmielsze i przed lepszymi przeciwnikami.

- Łatwo się o tym przekonać - odparł Alan.

Duncan wydobyl czym prędzej kobzę, najcenniejszą część swego dobytku, i postawił przed gośćmi comber barani oraz butelkę napoju - znanego w tych okolicach specjału. Składała się nań (powoli i we właściwych proporcjach zmieszana) słodka śmietanka, cedzony miód i stara whisky. Kłótnia wciąż jeszcze nie była zażegnana, lecz przeciwnicy zasiedli już

po obu stronach kominka, na którym palił się torf, i prześcigali się w grzecznościach. Maclaren zachęcał ich do skosztowania baraniny i „kordiału żony”, przypominając im, że pani Maclaren z tych okolic pochodzi i cieszy się szeroko i daleko wielką i zasłużoną sławą. Jednakże Robin odmówił tłumacząc, iż spożycie trunku źle wpływa na oddech.

- Pozwolę sobie nadmienić - rzekł Alan - że od dziesięciu godzin nawet kawałka chleba nie miałem w ustach, a to działa gorzej na oddech niż jakikolwiek szkocki trunek.

- Nie zamierzam z tego korzystać - odpowiedział Robin - proszę jeść i pić, pójdę za pańskim przykładem.

Obaj zjedli po kawałku baraniny i wypili po szklance kordiału pani Maclaren, po czym Robin, po dłuższej wymianie komplementów i uprzejmości, wziął kobzę i w bardzo porywający sposób zagrał skoczną melodię.

- Tak, rzeczywiście, umie pan nieco dmuchać w kobzę - rzekł Alan i odebrawszy instrument z rąk rywala zagrał najpierw tę samą melodię, jak to przedtem uczynił Robin, a potem przeszedł do wariacji na ten sam temat, ozdabiając je ulubionymi przez kobziarzy ślicznymi trylami.

Słuchałem z przyjemnością gry Robina, Alanem natomiast byłem zachwycony.

- Całkiem nieźle, panie Stewart - rzekł Robin - ale pańskie tryle pozostawiają niemało do życzenia.

- Moje tryle! - wykrzyknął Alan. - To kłamstwo!

- Czy uznaje się pan za pokonanego w grze na kobzie, skoro dąży pan do zamienienia jej na szablę?

- To bardzo słuszna uwaga, panie Macgregor - odrzekł Alan. - A więc tymczasem (wymówił to ostatnie słowo z naciskiem) wycofuję zarzut kłamstwa. Odwołuję się do opinii Duncana, niech on nas rozsądzi.

- Nie potrzebuje się pan do kogokolwiek odwoływać. Jest pan znacznie lepszym znawcą gry na kobzie niż jakikolwiek Maclaren, gdyż dalibóg, jak na Stewarta, wcale dobrym jest pan kobziarzem. A teraz kolej na mnie.

Alan podał kobzę i Robin zaczął naśladować, poprawiając jednocześnie pewne części wariacji Alana, które zdawał się doskonale pamiętać.

- Tak - rzekł ponuro Alan - nie lada z pana muzyk.

- A teraz, panie Stewart, osądźcie sami - rzekł Robin i rozpoczynając te same wariacje od początku, znalazł tak nowe dla nich rozwiązania, tak pomysłowe w kompozycji i wykonane z takim kunsztem, zwłaszcza w ozdobnikach, że słuchałem ze zdumieniem.

Alan siedział gryząc palce, pocił się coraz bardziej i czerwienił, jak człowiek poddany ciężkiej i upokarzającej próbie.

- Dosyć! - zawołał nagle. - Umie pan grać na kobzie. Proszę to jak najlepiej zrozumieć! - I poruszył się, jak by chciał powstać.

Lecz Robin wyciągnął rękę, jak gdyby prosząc o ciszę, i przeszedł w powolny rytm jednej ze szkockich pieśni bojowych. Ta sama w sobie wspaniała melodia, grana ze szlachetnym uczuciem, była szczególnie bliska sercu Stewartów z Appin i ponadto ulubionym utworem Alana. Zaledwie zabrzmiały pierwsze jej takty, Alan zaczął się mieniść na twarzy i wiercił się coraz bardziej na stołku, w miarę jak przybierała żywsze tempo. Na długo przed jej zakończeniem opuściły go wszelkie oznaki gniewu i oddał się całkowicie czarowi muzyki.

- Robinie Oig - rzekł po zakończeniu pieśni - wielki z pana mistrz. Nie jestem godzien dmuchać w kobzę w tym samym co pan królestwie. Ma pan więcej talentu w swym sporran niż ja w głowie. Nadal mi się co prawda wydaje i z góry pana o tym ostrzegam, że z szablą w rękę potrafiłbym pana niejednej sztuki nauczyć. Niecny to byłby jednak postępek, gdyż serce zabrania mi nastawać na takiego jak pan mistrza gry na kobzie.

Tak to więc kłótnia została zażegnana, a przez całą noc lał się trunek i kobza krążyła z rąk do rąk. Jasny był już dzień i wszystkim trzem mocno się z łbów kurzyło, zanim Robin zdecydował się wyruszyć w dalszą drogę.

Nigdy go już więcej nie widziałem. Przebywałem w Holandii, na uniwersytecie w Leyden, gdy Robin stanął przed sądem w Grassmarket i został skazany na powieszenie. Opowiedziałem o tym szczegółowo, było to bowiem ostatnie, zasługujące na wzmiankę zdarzenie podczas mego pobytu w Górnej Szkocji, a Robin i śmierć jego na szubienicy należą poniekąd do historii.

## XXVI. Koniec naszej ucieczki. Przekraczamy rzekę Forth

Jak już wspomniałem, nie upłynął jeszcze miesiąc od naszego przybycia do Balquhider, gdy zostałem uznany za zdolnego do dalszej podróży. Sierpień miał się już ku końcowi, pogoda była piękna i ciepła, a żniwa zapowiadały się wczesne i obfite. Fundusze nasze wyczerpały się do tego stopnia, że zależało nam przede wszystkim na pośpiechu. W razie bowiem opóźnienia naszego przybycia do pana Rankeillora lub odmówienia przez niego pomocy, zagrażał nam niewątpliwie głód. Ponadto zaciekłość pościgu znacznie już osłabła, zdaniem Alana, a bieg rzeki Forth i nawet most w Stirling - główne miejsce przeprawy, nie były już tak bardzo strzeżone.

- Najważniejszą zasadą wojskową - mówił Alan - jest iść tam, gdzie się nas najmniej spodziewają. Rzeka Forth stanowi tu główną przeszkodę. Znasz wszak przysłowie: „Forth - to wędzidło dla dzikich górali”. Otóż, jeśli będziemy się starali ją obejść w pobliżu źródła, a potem pójdziemy w dół jej biegu przez Kippen lub Balfron, w tych właśnie okolicach będą próbowali nas schwytać. Lecz jeśli ruszymy wprost do starego mostu - w Stirling, założę się o mą szablę, że pozwolą nam przejść spokojnie.

Zgodnie z tym planem, poszliśmy do domu jednego z przyjaciół Duncana, niejakiego Maclarena w Strathire, i po przespaniu u niego całego dnia, wyruszyliśmy dwudziestego pierwszego sierpnia o zmroku w dalszą, łatwą tym razem, drogę.

Dzień dwudziestego drugiego przeleźliśmy opodal pasącego się stada jeleni, w krzakach wrzosowych, na zboczu wzgórza w Uam Var. Nigdy w życiu nie spałem smaczniej niż podczas owych dziesięciu godzin, w pięknym słońcu i na wysuszonym jak kość gruncie. W nocy, po dojściu do rzeki Allan Water, wyruszyliśmy w dół jej biegu i dotarłszy do łańcucha pagórków, ujrzelśmy rozpościerającą się u naszych stóp równinę Stirling, płaską jak naleśnik. W jej środku wznosiło się na pagórku miasto Stirling i zamek, a księżyc oświecał piaszczyste brzegi rzeki Forth.

- Nie wiem, czy ci na tym zależy - odezwał się Alan - ale jesteś znowu we własnym kraju. Zaraz po północy wkroczyliśmy do Dolnej Szkocji i jeśli tylko zdołamy się przedostać przez tę nieszczęsną wodę, będziemy mogli podrzucić czapki do góry.

Nad brzegiem Allan Water, w pobliżu jej ujścia do rzeki Forth, znaleźliśmy małą, piaszczystą wysepkę porośłą łopianami, lepieźnikami i tego rodzaju roślinnością, która leżącym płasko zapewniała dostateczne schronienie. Rozłożyliśmy się tam obozem, z łatwością ogarniając wzrokiem zamek w Stirling, skąd dochodził nas odgłos bębnow, wtórujący do marszu żołnierzom.

Po drugiej stronie rzeki pracowali w pobliżu przez dzień cały żniwiarze i słyszeliśmy nie tylko brzęk ostrzonych kos, ale i urywki rozmów. Należało więc zachowywać się cicho i leżeć bez ruchu; teraz piasek był rozgrzany przez słońce, rośliny ocieniały głowy, mieliśmy pod dostatkiem jadła oraz napoju i co najważniejsze, byliśmy poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

Zaraz po odejściu żniwiarzy i zapadnięciu zmroku wyruszyliśmy ku mostowi w Stirling, idąc wyłącznie polami i wzdłuż dzielących je płotów.

Most w Stirling, stary, wąski, ozdobiony smukłymi wieżyczkami, zbudowany był u podnóża góry, na której stał zamek. Możecie sobie wyobrazić, z jak wielkim zainteresowaniem nań spoglądałem, nie tylko jako na sławne, historyczne miejsce, ale też jako na wrota wiodące nas do wolności. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, gdy znaleźliśmy się w pobliżu mostu; kilkanaście świateł mrugało wzdłuż fortecy, a poniżej w mieście połyskiwało parę oświetlonych okien. Cisza jednak panowała zupełna i zdawało się, że most nie był wcale strzeżony.

Chciałem tam iść natychmiast, lecz Alan był ostrożniejszy:

- Wygląda to bardzo zachęcająco, ale pomimo tego położymy się tutaj chytrze w rowie, aby się upewnić.

Leżeliśmy tak około kwadransa, szepcząc od czasu do czasu lub nad słuchując w milczeniu, ale nie słyszeliśmy żadnego dźwięku oprócz chlupotania wody o pale nadbrzeżnego pomostu. Wreszcie nadeszła stara, kulawa, podpierająca się kosturem kobieta. Przystanęła na chwilę tuż obok miejsca, gdzie leżeliśmy, uzalając się czas jakiś na swój ciężki los i daleką, przebytą drogę, po czym poszła w kierunku stromej podjazdy prowadzącej na most. Noc była czarna, a kobiecina tak niepozorna, iż rychło straciliśmy ją z oczu i słyszeliśmy tylko pokaszliwanie, postukiwanie kijem i odgłos oddalających się kroków.

- Jest już na pewno po drugiej stronie - wyszeptałem.

- Nie - odpowiedział Alan - kroki jej wciąż dudnią, jest więc jeszcze na moście.

Zaledwie to wyszeptał, usłyszeliśmy głos wołający: - Kto idzie? - i szcęk kolby muszkietu na kamieniach. Przypuszczam, że wartownik zasnął i gdybyśmy spróbowali, moglibyśmy przejść most niepostrzeżenie. Po jego obudzeniu się straciliśmy tę sposobność.

- Nic z tego nie będzie, Davie - rzekł Alan. - Taki sposób to nie dla nas, dalibóg, nie dla nas.

I nic więcej nie mówiąc zaczął się wycofywać, czołgając się w kierunku pól. Wkrótce potem, gdy znaleźliśmy się dobrze poza zasięgiem wzroku, powstał na nogi i zaczął iść drogą prowadzącą na wschód. Nie mogłem przeniknąć jego zamiarów, a ponadto tak boleśnie

wstrząsnęło mną rozczarowanie, że trudno by mi było w jakikolwiek sposób dogodzić. Przed chwilą wyobrażałem już siebie pukającego do drzwi pana Rankeillora, aby jak bohater ballady upomnieć się o moje dziedzictwo. I oto znów byłem tułaczem, ściganym złoczyńcą i znajdowałem się wciąż po niebezpiecznej stronie rzeki Forth.

- No i cóż? - odezwałem się wreszcie.

- No i cóż? - odparł Alan. - O co ci chodzi? Oni nie są tak głupi, jak ich o to posądzałem. Mamy jeszcze wciąż Forth do przebycia. Niech diabli wezmą deszcze, co ją żywiły, i góry, które nią kierowały.

- Dlaczego idziemy na wschód?

- Po prostu, by spróbować tam szczęścia! Jeśli nie możemy przedostać się przez rzekę, spróbujemy to uczynić przez zatokę.

- Na rzece są brody, a nie ma ich w zatoce.

- Oczywiście, są brody, a nawet mosty, ale cóż nam z tego, skoro są strzeżone?

- Przez rzekę można przepłynąć.

- Można, ale trzeba umieć pływać, a jeśli chodzi o mnie, pływam jak kamień.

- Nie chcę ci się sprzeciwiać, Alanie, lecz wydaje mi się, że pogarsza to nasze - i bez tego kiepskie - położenie. Jeśli trudno jest przedostać się przez rzekę, sam rozsądek wskazuje, że jeszcze trudniej jest przepłynąć się przez morze.

- Istnieją, o ile się bardzo nie mylę, takie rzeczy jak łodzie.

- Owszem, istnieją, jak istnieją również pieniądze, a ponieważ nie mamy ani łodzi, ani pieniędzy, więc lepiej byłoby, gdyby nigdy ich nie wymyślono.

- Tak myślisz?

- Tak myślę.

- Davie, jesteś człowiekiem słabego ducha i małej wiary. Jak się zawezmę, znajdę jakiś sposób i wyproszę, wypożyczę lub ukradnę łódź, a w ostateczności ją zbuduję.

- Rozumiem teraz, lecz chodzi o coś więcej jeszcze. Przechodząc przez most możesz liczyć na jego milczenie, po przepłynięciu się przez zatokę musimy pozostawić łódź po tamtej stronie. Powiedzą, że ktoś ją musiał wziąć, bo sama przepłynąć nie mogła... i plotki się rozejdą po całej okolicy...

- Człowieku! - zawołał Alan. - Jeśli uda mi się sporządzić łódź, uda mi się również stworzyć ciało, które ją z powrotem zabierze. Przestań więc gadać głupstwa, chodź ze mną żwawo (oto, co możesz zrobić najlepszego) i pozwól Alanowi myśleć za ciebie.

Maszerowaliśmy zatem przez całą noc po północnej stronie równiny, omijając wszystkie większe osiedla, a około godziny dziesiątej rano, okrutnie znużeni i głodni,

doszliśmy do małej wioski zwanej Limekilns. Jest to miejscowość położona niedaleko zatoki Hope, naprzeciwko leżącego po jej drugiej stronie miasteczka Queen's Ferry. Dym wznosił się dokoła z kominów w Limekilns, w Queen's Ferry oraz z domostw okolicznych wiosek i farm. Na polach krzątali się żniwiarze, dwa statki stały na kotwicy i liczne łodzie krążyły na wodach zatoki. Widok ten podniósł mnie znakomicie na duchu i mogłem się napatrzyć do syta na starannie uprawione, żyzne pola, na łagodnie opadające zielone wzgórza i ludzi zajętych pracą na roli i na morzu.

Na południowym brzegu zatoki znajdował się dom pana Rankeillora, w którym, jak o tym byłem przekonany, czekało na mnie bogactwo. Ja zaś pozostawałem wciąż na północnym brzegu, ubrany w cudaczne łachmany i na całą moją fortunę składały się trzy szylingi; wysoka natomiast cena wyznaczona była za mą głowę i jedynym moim towarzyszem był człowiek wyjęty spod prawa.

- Ach, Alanie - powiedziałem - pomyśl tylko. Po tamtej stronie zatoki znajduje się wszystko, czego serce zdoła zapragnąć. Ptaki tam przelatują, łodzie przepływają, każdy prócz mnie może się tam dostać, kiedy mu się to żywnie spodoba. Doprawdy, serce się kraje.

W Limekilns weszliśmy do malutkiej karczmy, którą poznaliśmy po gałęzi wiszącej nad drzwiami, i kupiliśmy nieco chleba i sera od przystojnej, usługującej tam dziewczyny. Po zapakowaniu jada wyruszyliśmy w stronę odległego o jakie ćwierć mili małego gaju, nad brzegiem zatoki, gdzie zamierzaliśmy się posilić i odpocząć. Idąc tam, patrzyłem wzdychając na wodę i nie zwracałem zbytnej uwagi na Alana, który szedł koło mnie pogrążony w głębokiej zadumie. Zatrzymał się nagle i rzekł wskazując na zawiniątko zawierające chleb i ser.

- Czy zwróciłeś uwagę na dziewczynę, od której to kupiliśmy?

- Oczywiście, całkiem urodziwa dziewczyna.

- Tak sądzisz? Davie, dobra to dla nas wiadomość.

- Dlaczego, na Boga? Cóż nam z tego przyjdzie?

- Coś mi się widzi - odrzekł Alan, przybierając jeden ze swych pociesznych wyrazów twarzy - że może to nam dopomóc w staraniach o łódź.

- W takim razie byłoby lepiej, gdyby nie ona mnie się podobała, ale odwrotnie.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Wcale sobie nie życzę, aby ta dziewczyna zapałała miłością do ciebie, chcę tylko, by się nad tobą zlitowała, a w tym celu nie potrzebujesz uchodzić za przystojnego w jej oczach. Pokaż no się - i zaczął mi się z ciekawością przyglądać. Wolałbym, abyś był cokolwiek blejszy, ale pod każdym innym względem nadajesz się doskonale do roli, jaką ci przeznaczam. Jesteś obdarty jak straszdyło na wróble i



swoim wyglądem przypominasz bezdomnego kundla. Wracamy więc zaraz do tej karczmy i postaramy się tam o łódź.

Śmiejąc się poszedłem za nim.

- Davie - rzekł Alan - śmieszny z ciebie dżentelmen i wypadnie ci odegrać śmieszna rolę. Jednakże o ile ci zależy na ochronieniu mojej szyi od stryczka, nie mówiąc już o twojej własnej, to może byłbyś łaskaw wziąć tę sprawę do serca. Zamierzam odegrać małą komedię, ale jej treść jest równie poważna, jak groźba szubienicy dla nas obu. Pamiętaj więc o tym, proszę, i zachowuj się odpowiednio.

Gdy zbliżyliśmy się do wioski, Alan uchwycił mnie pod rękę i kazał oprzeć się o niego, jak bym upadał ze znużenia, a w chwili gdy otwierał drzwi do karczmy, niósł mnie prawie. Widząc nas służąca okazała niemałe zdumienie, jak się tego można było spodziewać, lecz Alan nie tracił czasu na tłumaczenie jej przyczyny naszego tak rychłego powrotu. Kazał podać kubek wódki i zaczął mnie z niego poić małymi łykami, po czym łamał chleb i ser i karmił z troskliwością niańki. Poważna i zatroskana mina, z jaką to czynił, mogłaby nawet sędziego w błąd wprowadzić. Toteż nic dziwnego, że służąca widząc nas obu w tym stanie uwierzyła, iż ma przed sobą chorego, przemęczonego i wynędzniałego chłopca i jego najserdeczniej mu oddanego towarzysza. Podeszła więc bliżej i stanęła koło nas, opierając się o sąsiedni stół.

- Co mu się stało? - zapytała wreszcie.

Alan, ku memu wielkiemu zdziwieniu, zwrócił się do niej z udaną wściekłością.

- Co mu się stało! - zawołał. - Ona powiada: co mu się stało? Przeszedł piechotą więcej setek mil, niż ma włosów na brodzie, i sypiał częściej we wrzosach niż w suchej pościeli. Co mu się stało! To dopiero pytanie! - i nie przestając mnie karmić wyrzekał i biadolił półgłosem, jak człowiek sterany nieustanną troską.

- On jest za młody na takie trudy - rzekła dziewczyna.

- O wiele za młody - odparł Alan nie odwracając się do niej.

- Byłoby lepiej, gdyby jechał konno - mówiła dalej dziewczyna.

- A gdzie ja dla niego konia dostanę? - wykrzyknął Alan, nadal udając wściekłość. - Czy chcesz, abym go ukradł?

Obawiałem się, że opryskliwość Alana zniechęci do nas dziewczynę, a nawet rozgniewa, bo istotnie zamilkła na czas jakiś, lecz mój towarzysz wiedział, co czyni, bo chociaż pod wieloma względami był prostakiem, w tego rodzaju sprawach okazywał znaczną przebiegłość.

- Wiem dobrze - odezwała się po dłuższej chwili - że obaj panowie należycie do szlachty.

- Hm... - odpowiedział Alan, raczej udobruchany, wbrew swej woli, jak mi się wydaje, tym naiwnym komentarzem. - A gdyby nawet tak było? Czy szlachetne urodzenie daje ludziom pieniądze?

- To prawda - odpowiedziała dziewczyna wzdychając, jak gdyby sama była wyzutą ze swych włości dziedziczką.

Rola narzucona przez Alana nie przypadała mi bynajmniej do gustu i siedząc w milczeniu przysłuchiwałem się tej rozmowie, walcząc na przemian ze wstydem i z wesołością. Nie mogłem jednak ścierpieć tego dłużej i powiedziałem Alanowi, by zaprzestał zabiegów, gdyż czuję się znacznie lepiej. Zawsze brzydziłem się kłamstwem i głos u wiązał mi w gardle, co jednak tylko dopomogło planom Alana, dziewczyna bowiem złożyła mój chrapliwy głos na karb choroby i wycieńczenia.

- Czy on nie ma przyjaciół? - zapytała płaczliwie.

- On by ich nie miał! - zawołał Alan. - Gdybyśmy tylko mogli się do nich dostać! Ma on licznych i możliwych przyjaciół, łóżka do spania, stoły zastawione jadłem i lekarzy na każde zawołanie. Ale cóż z tego, skoro musi teraz ukrywać się, włóczyć po skalistych wertepach i sypiać we wrzosach jak żebrak.

- Dlaczego? - spytała dziewczyna.

- Moja droga - odrzekł Alan - jestem zbyt ostrożny, aby na to odpowiedzieć, ale zagwizdę ci natomiast króciutką piosenkę. - Pochylił się ku niej zalotnie nad stołem i po cichutku zagwizdał z uczuciem pierwsze takty znanej jakobickiej piosenki.

- Pssst... - wyszeptała i spojrzała przez ramię w kierunku drzwi.

- O to właśnie chodzi - rzekł Alan.

- On? Taki młody!

- Nie jest za młody, aby... - tu Alan uderzył się palcem po karku, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że młody wiek nie uratuje mnie przed wyrokiem śmierci.

- To byłaby okropna hańba! - wykrzyknęła rumieniąc się gwałtownie.

- A jednak to go czeka - dodał Alan - o ile nie uda się nam jakoś z tej opresji wykręcić.

Dziewczyna odwróciła się i wybiegła z izby, pozostawiając nas samych. Alan był w doskonałym humorze, bowiem jego fortel rozwijał się pomyślnie, ja zaś rozgoryczony traktowaniem mnie jak dziecko i przedstawieniem jako Jakobitę.

- Alanie - zawołałem - nie zniosę tego dłużej!

- W takim razie musisz to ścierpieć - odrzekł Alan - bo jeśli teraz zepsujesz całą sprawę, tobie może się jeszcze uda uratować skórę, ale Alan Breck głową za to zapłaci.

Była to oczywista prawda, toteż zamiast mu odpowiedzieć, ograniczyłem się do gniewnych pomruków, co wyszło na korzyść planom Alana, gdyż dziewczyna je posłyszała i wpadła po chwili do izby niosąc półmisek klusek z białej mąki i butelkę mocnego piwa.

- Biedny chłopcze - rzekła i postawiwszy przed nami półmisek dotknęła mego ramienia serdecznym ruchem, jak by chciała mnie pocieszyć. Potem zaprosiła nas do jedzenia, dodając, że nie przyjmie za nie żadnej zapłaty, karczma bowiem należy do niej, a raczej do jej ojca, który tego dnia poszedł do Pittencrieff. Nie trzeba nas było zbytnio zachęcać. Chleb i ser to nędzna strawa, a z półmiska unosił się nader smakowity zapach. Gdyśmy się posilali, ona tymczasem siedziała przy sąsiednim stole i przyglądała się nam w zamyśleniu, skubiąc raz po raz rąbek fartucha.

- Wydaje mi się, że pan ma raczej długi język - rzekła wreszcie zwracając się do Alana.

- Tak, ale przekonałaś się sama, że wiem, kiedy, z kim i o czym można rozmawiać.

- Nigdy was nie zdradzę, jeśli to ma pan na myśli.

- Nie, ty nie należysz do tego rodzaju ludzi. Ale powiem ci, co mogłabyś zrobić: pomóc nam.

- Nie, nie mogę - odpowiedziała potrząsając głową.

- Ale gdybyś mogła?

Nic mu na to nie odpowiedziała.

- Wysłuchaj mnie, urocza panienko - mówił dalej Alan. - Są tutaj niedaleko łodzie, idąc do was widziałem aż dwie na wybrzeżu zatoki. Otóż, gdybyśmy mogli zrobić z nich dobry użytek i pod osłoną nocy przeprowadzić się do Lothian, w towarzystwie kogoś uczciwego, takiego, co umie trzymać język za zębami, takiego, co odprowadziłby łódź z powrotem i nikomu nic o tym nie wspomniał, dwie dusze byłyby uratowane, moja najprawdopodobniej, jego zaś na pewno. Jeśli znikąd nie dostaniemy łodzi, a mamy już tylko trzy szylingi całego majątku, to cóż mamy uczynić? Dokąd się udać? Na kogo liczyć? Nie pozostanie nam nic innego jak pogodzić się z losem, to jest z oczekującymi nas kajdanami i śmiercią na szubienicy. Takie jest nasze położenie, ręczę ci za to słowem. Czy odmówisz nam pomocy, dziewczyno? Czy nie będą ciebie dręczyć wy rzuty sumienia, gdy leżąc w ciepłym łóżku i słysząc, jak deszcz dudni po dachu i wiatr wyje w kominie, pomyślisz o naszej niedoli? Czy jedząc ciepłą strawę, w blasku czerwonego ognia, nie przyjdzie ci na myśl, że ten mój nieszczęsny chłopak gryzie palce z głodu i chłodu gdzieś na jakimś ponurym pustkowiu?

Chory czy zdrow, on nie może nigdzie spocząć, śmierć czyhać będzie nadal na niego z za każdego węgla i krzaka, on zaś będzie musiał nadal wędrować w słońcu i w błocie jak żebrak. A gdy upadnie wreszcie, by skonać gdzieś na zimnej skale, nie znajdzie się przy nim żaden przyjaciel, tylko ja i Bóg.

Patrząc na dziewczynę zrozumiałem, że przemowa Alana wywarła na niej wielkie wrażenie, ale i pogrążyła w okrutnej rozterce. Córka karczmarza pragnęła szczerze ulżyć naszej doli, lecz obawiała się, że w ten sposób przyjdzie z pomocą złoczyńcom. Postanowiłem więc wdać się w rozmowę i odsłaniając część prawdy, zmniejszyć ciężar skrupułów dziewczyny.

- Czy słyszałaś kiedy - zapytałem - o panu Rankeillor zamieszkałym w Ferry?

- Pan Rankeillor? Prawnik? Owszem, słyszałam.

- Jego drzwi są celem mojej podróży, możesz zatem sama osądzić, iż nic złego nie mam na sumieniu... Powiem ci więcej, bo chociaż ze względu na okropną pomyłkę jestem istotnie narażony na utratę życia, król Jerzy nie ma w Szkocji lepszego ode mnie przyjaciela.

Twarz jej rozjaśniła się znacznie, Alan natomiast spochmurniał w jednej chwili.

- Nic więcej mi nie potrzeba - powiedziała dziewczyna. - Pan Rankeillor jest znanym i poważanym człowiekiem.

Poleciła nam skończyć posiłek, opuścić jak najrychlej wioskę i ukryć się w lesie, w pobliżu zatoki.

- Możecie mi zaufać - rzekła - znajdę jakiś sposób, aby was przeprowadzić przez zatokę.

Nie zwlekając więc już ani chwili, uścisnęliśmy jej dłoń, rozprawiliśmy się mgiem z pozostałymi na półmisku kluskami i opuściliśmy Limekilns, udając się w kierunku lasu.

Był to mały gaj, gdzie rości kilkadziesiąt drzewek bzu i dzikich głógów oraz parę młodych jesionów, zbyt rzadkich, by chronić nas przed wzrokiem przechodzących drogą lub plażą ludzi. Nie mieliśmy jednak wyboru i leżeliśmy tam ciesząc się ciepłą pogodą i nadzieją rychłej wolności tudzież naradzając się nad tym, co nam dalej czynić wypadnie.

Przez cały dzień mieliśmy tylko jedno zmartwienie - w postaci wędrownego kobziarza, który pojawił się w lesie i usiadł obok nas. Był to czerwono nosy pijaczyna o wyłupiastych oczach, z potężną butlą whisky w kieszeni, wysoce rozżalony na świat i ludzi. Uraczył nas długą litanią krzywd wyrządzonych mu przez wszelkiego rodzaju osoby, poczynając od przewodniczącego Królewskiego Trybunału, który okazał się niesprawiedliwy, a kończąc na radnych miejskich w Inverkeithing, których wymiar sprawiedliwości okazał się zbyt surowy. Napotkanie dwóch mężczyzn, leżących bez jakichkolwiek zrozumiałych powodów przez cały dzień w najgęstszym podszyciu lasu, musiało wzbudzić jego podejrzenie

i tak długo, jak dotrzymywał nam towarzystwa, nękał nas dociekliwymi pytaniami. Nie należał oczywiście do ludzi umiejących trzymać język za zębami, toteż po jego odejściu czuliśmy się w lesie coraz bardziej nieswojo i czekaliśmy z utęsknieniem na możliwość zmiany miejsca naszego pobytu.

Słońce zaszło w pełni swego blasku i noc zapadła jasna i cicha. W okolicznych wioskach i domach pojawiły się światła i po pewnym czasie zaczęły znikać, jedno po drugim. Coraz większy dręczył nas niepokój, lecz dopiero po godzinie jedenastej usłyszeliśmy skrzypienie wiosel w dulkach. Wyjrzelśmy więc czym prędzej z lasu i zobaczyliśmy łódź, a w niej wiosłującą samotnie dziewczynę z karczmy. Nie chciała nikogo wtajemniczać w nasze sprawy, nie wyłączając - jeśli go miała - swego umiłowanego chłopaka, i zaledwie zasnął jej ojciec, opuściła dom przez okno, ukradła łódź sąsiada i bez niczyjej pomocy przybyła nam na ratunek.

Zbyt byłem zmieszany, by znaleźć odpowiednie słowa podziękii, ona zaś nie mniej ode mnie zmieszana na myśl, że może je usłyszeć. Prosiła nas, byśmy nie tracili ani chwili i zachowywali się jak najciszej, mówiąc, całkiem słusznie, że los nasz zależy od pośpiechu i milczenia.

Wylądowaliśmy szczęśliwie na wybrzeżu Lothian, opodal Carriden, i zanim zdolałiśmy wypowiedzieć choćby jedno słowo wyrażające wdzięczność lub określające wielkość oddanej nam przysługi, dziewczyna uścisnęła nasze dłonie i powiosłowała z powrotem do Limekilns.

Alan stał przez długą chwilę na wybrzeżu, potrząsając głową.

- To wspaniała dziewczyna - rzekł wreszcie, lecz dopiero po dobrej godzinie, gdy leżeliśmy w małej kotlinie na wybrzeżu zatoki i już zasypiałem, zaczął głośno się zachwycać jej charakterem. Nie mogłem mu w tym dotrzymać kroku, gdyż dręczyły mnie wyrzuty sumienia i obawa, że nadużyliśmy prostoty ducha tej dziewczyny i wykorzystaliśmy jej naiwność, a ponadto nie mogliśmy być pewni, czy nie naraziliśmy jej na jakieś niebezpieczeństwo związane z naszym położeniem.

## XXVII. Pan Rankeillor

Nazajutrz umówiliśmy się, że Alan ukrywał się będzie na własną rękę do zachodu słońca, natomiast zaraz o zmroku ułoży się na polach obok drogi, koło Newhalls i nie ruszy się stamtąd, aż posłyszysz moje gwizdanie. Zaproponowałem jako sygnał jedną z moich ulubionych piosenek, lecz Alan, w obawie, że tak ogólnie znaną melodię może przypadkowo zagwizdać w pobliżu jakiś wieśniak, nauczył mnie fragmentu pieśni góralskiej. Pamiętam ją do dziś dnia i będę ją zapewne słyszał, brzmiącą mi w uszach, na łożu śmierci. Za każdym razem, gdy ją sobie przypominam, przywodzi mi na myśl perypetie ostatniego dnia moich przygód i niepewności. Staje mi także przed oczyma twarz Alana siedzącego w głębi naszej kryjówki, gwizdającego i machającego palcem w takt melodii.

Znalazłem się na głównej ulicy Queen's Ferry jeszcze przed wschodem słońca. Było to dostatnie i schludne miasteczko, domy zbudowane z dobrego kamienia, wiele z nich krytych dachówką. Pod względem okazałości ulica ta i stojący przy niej ratusz nie dorównywały, moim zdaniem, głównej ulicy i ratuszowi w Peebles, lecz na tle otaczającego mnie ochędóstwa wstydzilem się swych wstrętnych łachmanów.

W miarę jak upływał poranek, rozpalano ognie, otwierano okna i ludzie zaczęli wychodzić z domów, wzrastał mój niepokój i nikła pewność siebie. Zdawałem sobie coraz jaśniej sprawę, na jak kruchych podstawach opierają się moje nadzieje. Nie miałem bowiem żadnych dowodów uzasadniających dostatecznie moje prawa. Nie mogłem właściwie dowieść nawet mej tożsamości. Jeśliby to wszystko miało okazać się bajką, czekał mnie arcybolesny zawód i znalazłbym się w opłakanym, zaiste, położeniu. A gdyby nawet stan rzeczy okazał się zgodny z tym, co sobie wyobrażałem, sporo czasu musiałoby najprawdopodobniej upłynąć, zanim zdołałbym ugruntować moje roszczenia. A na jakąż zwłokę mogłem sobie pozwolić, mając niecałe trzy szylingi w kieszeni i stojąc przed koniecznością wysłania z kraju morzem skazanego i ściganego człowieka? W razie załamania się moich nadziei, mogliśmy jeszcze z Alanem równie dobrze zawisnąć na szubienicy.

Chodząc tam i z powrotem, widząc, jak ludzie na ulicach i w domach krzywo na mnie patrzą, trącając się znacząco i mówią coś z uśmiechem, uświadomiłem sobie, że niełatwo mi będzie uzyskać posłuchanie u prawnika, a cóż dopiero przekonać go o mojej prawdomówności. Wzmogło to jeszcze bardziej mój niepokój.

Nie mogłem się w żaden sposób zdobyć na zapytanie któregoś z tych dostojnych obywateli. Zbyt się wstydzilem moich łachmanów i niezliczonych śladów brudu na ciele, by nawiązać z kimkolwiek rozmowę. Zdawało mi się, że gdy zapytam o dom tak możnego jak

pan Rankeillor człowieka, jedyną odpowiedzią będzie wybuch śmiechu. Błąkałem się więc po głównej ulicy jak pies, który postradał właściciela, zawędrowałem nawet w pobliże portu, a nurtująca we mnie niepewność przeradzała się raz po raz w odruchy rozpacz.

Dzień jaśniał już w całej pełni, dochodziła może godzina dziewiąta rano, gdy zmęczony bezcelową włóczęgą przystanąłem przed frontem bardzo okazałego domu. Na parapetach okien o czystych szybach z jasnego szkła stały doniczki z kwiatami, ściany lśniły świeżym tynkiem i pies myśliwski siedział ziewając na progu, w postawie znamionującej, że należy do domowników. Zazdrościłem losowi nawet tego niemego zwierzęcia, gdy nagle otworzyły się drzwi i z domu wyszedł jowialny, rumiany, zażywny mężczyzna, o przebiegłym wyrazie twarzy, w sówicie upudrowanej peruce i w okularach. Przedstawiałem sobą tak żaloszny widok, że nikt mi się długo nie przyglądał, on jednak nie tylko rzucił na mnie okiem, ale i zaczął mi się przypatrywać. Jak się za chwilę okazało, wyglądałem do tego stopnia na nędzarza, że ów dżentelmen podszedł wprost do mnie i zapytał, co porabiam przed jego domem.

Powiedziałem mu, że przyszedłem do Queen's Ferry, aby załatwić pewną sprawę, i ośmielony jego łaskawością poprosiłem go o skierowanie mnie do domu pana Rankeillora.

- To jest właśnie dom, z którego wychodzę, i dziwnym zbiegiem okoliczności jestem tym, o którego pytasz.

- W takim razie byłbym panu bardzo zobowiązany za udzielenie mi posłuchania.

- Nie znam twego nazwiska ani twej twarzy.

- Nazywam się Dawid Balfour.

- Dawid Balfour? - powtórzył, jak ktoś zaskoczony. - A skądże pan przybywa, panie Balfour? - i zaczął mi się bacznie przyglądać.

- Z bardzo wielu dziwnych miejsc, lecz opowiedzenie panu, dlaczego i jak do tego doszło, wymaga, jak sądzę, rozmowy w cztery oczy.

Namyślał się przez dłuższą chwilę, trzymając się ręką za podbródek, i spoglądając na przemian to na mnie, to na bruk ulicy.

- Tak - rzekł wreszcie - tak będzie niewątpliwie najlepiej.

Po czym wszedł wraz ze mną do domu, zawołał do kogoś, kogo nie mogłem dostrzec, że będzie zajęty przez cały ranek, i wprowadził mnie do małego zakurzonego pokoju pełnego książek i dokumentów. Usiadł tam, poprosił mnie o zajęcie miejsca i wydaje mi się, że z pewną niechęcią spoglądał ze swego czystego krzesła na moje zabłocone łachy.

- A teraz - rzekł - jeśli masz jakąś sprawę do załatwienia, proszę mi ją przedstawić krótko i rzeczowo. *Nec gemino bellum Troianum orditur ab ovo...*\*, [\*Nie powtarzając od początku historii wojny trojańskiej (łac).] czy rozumiesz to? - spytał, bystro patrząc na mnie.

- Zastosuję się, panie, nawet do wskazówek Horacego i przejdę od razu *in medias res*\*. [\*Do sedna rzeczy (łac).]

Skinął głową, jak by okazując zadowolenie, gdyż wypowiedział to łacińskie zdanie chcąc mnie w ten sposób wypróbować. Jednakże, chociaż ten początek rozmowy ośmielił mnie cokolwiek, zaczerwieniłem się po uszy mówiąc:

- Mam powody sądzić, iż przysługują mi pewne prawa do majątku i posiadłości zwanej Shaws.

Pan Rankeillor wyciągnął jakieś papiery z szuflady i położył je przed sobą na stole.

- I cóż dalej?

Na nic więcej jednak nie mogłem się zdobyć i siedziałem jak oniemiały.

- Dalej, dalej. Proszę mówić, panie Balfour. Gdzie się pan urodził?

- W Essendean, w roku 1734, dwunastego marca.

Spojrzał na papier, jak by sprawdzając moje słowa, ale nie wiedziałem, co to oznacza.

- Pański ojciec i matka? - zapytał.

- Moim ojcem był Aleksander Balfour, nauczyciel w tejże miejscowości, matką zaś Grace Pitarrow. Jej rodzina, o ile mi wiadomo, pochodzi z Angus.

- Czy ma pan jakie papiery stwierdzające pańską tożsamość?

- Nie, panie, ale są one w posiadaniu pana Campbella, pastora w Essendean, skąd łatwo można je uzyskać. Pan Campbell może również potwierdzić moją prawdomówność, a jeśli już o to chodzi, nie sądzę, aby stryj mógł się mnie wyprzeć.

- Ma pan na myśli pana Ebenezera Balfoura?

- Tak jest.

- Czy pan go zna?

- Przyjął mnie w swym własnym domu.

- Czy spotkał pan kiedykolwiek człowieka nazwiskiem Hoseason?

- Owszem, panie, za moje grzechy, bo za jego to sprawą i poduszczeniem mego stryja zostałem porwany w pobliżu tego właśnie miasta i uwięziony na statku, a po jego zatonięciu przecierpiałem rozliczne trudy, z powodu których stoję oto dzisiaj przed panem w tym oplakany stanie i nędznym przyodziewku.

- Powiada pan, że ten statek zatonął. Gdzie to nastąpiło?



- U południowego wybrzeża wyspy Muli. Wyspa, na której wylądowałem, nazywa się Earraid.

- Dalibóg - rzekł z uśmiechem prawnik - jest pan lepiej ode mnie obeznany z geografią, ale mogę panu powiedzieć, że jak dotychczas, zgadza się to dosyć dokładnie z innymi wiadomościami będącymi w moim posiadaniu. Ale powiada pan o porwaniu. Jak mam to rozumieć?

- Jak najdosłowniej, panie. Szedłem właśnie do pańskiego domu, gdy zostałem podstępnie zwabiony na pokład brygu, okrutnie ogłuszony uderzeniem w głowę i rzucony gdzieś w głąb statku, a gdy odzyskałem tam przytomność, znajdowaliśmy się już daleko na morzu. Kapitan miał mnie sprzedać jako niewolnika do pracy na plantacjach w Ameryce, lecz z boską pomocą udało mi się uniknąć tego losu.

- Bryg zatonął dwudziestego siódmego czerwca - rzekł pan Rankeillor, zaglądając do swojej księgi - a dzisiaj mamy dwudziestego czwartego sierpnia. Dosyć długi to okres, panie Balfour, prawie dwa miesiące, pańscy przyjaciele bardzo się niepokoiли, a przyznaję, że i ja nie będę przekonany, dopóki mi pan tej luki w czasie nie wyjaśni.

- Tę dwumiesięczną lukę w czasie mogę z łatwością wypełnić, lecz zanim opowiem, co się ze mną działo, pragnąłbym wiedzieć, czy przemawiam do przyjaciela.

- Taka argumentacja zamknie nas w błędnym kole - odparł prawnik. - Nie mogę panu uwierzyć, za - nim pana nie wysłucham, nie mogę być pańskim przyjacielem, zanim się ze wszystkim należycie nie zapoznam. W pańskim wieku należy okazywać więcej zaufania. W naszym kraju, panie Balfour, mamy przysłowie, które powiada, iż ci, co źle czynią, największy strach przed złem objawiają.

- Zdaje się pan zapominać, że ciężko już odpokutowałem za zawiedzione zaufanie. Zostałem wszak zaprzędany w niewolę przez tego właśnie człowieka, który, o ile dobrze rozumiem, jest pańskim klientem.

Przez cały przebieg rozmowy pozyskiwałem sobie coraz bardziej względy pana Rankeillora i w miarę tego wzrastała moja pewność siebie, a na ostatnią mą uwagę, wypowiedzianą raczej z uśmiechem, prawnik omal nie wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie - odrzekł - nie jest aż tak źle. *Fui, non sum* \*. [\*Byłem, nie Jestem (łac).] Byłem istotnie pełnomocnikiem handlowym pańskiego stryja, ale podczas gdy pan (*imberbis iuvenis custode remoto* \*) [\*Od młodości pozbawiony opieki (łac).] podróżował sobie na zachodzie Szkocji, sporo wody upłynęło pod niejednym mostem. A jeśli nie odczuwał pan dzwonięcia w uszach, to chyba nie z braku rozmów prowadzonych o panu. Tego samego dnia, w którym zatonął bryg, wkroczył do mej kancelarii pan Campbell dopytując się o pana

gwałtownie. Nie słyszałem nigdy o pańskim istnieniu, lecz znałem pańskiego ojca i ze względu na pewne sprawy związane z moim zawodem (pomówimy o tym jeszcze później) skłonny byłem obawiać się najgorszego. Pan Ebenezer przyznał, iż widział się z panem, tudzież oświadczył, co wydawało się nieprawdopodobne, że wręczył panu poważną sumę pieniędzy, po czym miał pan rzekomo wyjechać na kontynent europejski w celu dokończenia edukacji, co było prawdopodobne i godne pochwały. Na zapytanie, dlaczego nie dał pan o tym znać panu Campbellowi, stryj pański stwierdził, że wyraził pan stanowczo życzenie zerwania ze wszystkim, co łączyło pana z przeszłością. Pytany dalej o miejsce pańskiego pobytu zapewnił nas, że aczkolwiek nic mu o tym nie jest wiadomo, sądzi, iż przebywa pan w Holandii, w mieście Leyden. Oto krótkie streszczenie jego odpowiedzi. Nie jestem całkiem pewny, czy ktokolwiek w nie uwierzył - mówił dalej z uśmiechem pan Rankeillor - a w dodatku stryj pański poczuł się tak dotknięty pewnymi uwagami z mej strony, że - określając to zwięźle - wyprosił mnie za drzwi. Utknęliśmy więc na martwym punkcie, bo chociaż mogliśmy żywić uzasadnione podejrzenia, nie mieliśmy jednak cienia dowodu. Wówczas to właśnie zjawił się kapitan Hoseason z wieścią o pańskim utonięciu. Na tym się wszystko skończyło, a jedynym rezultatem naszych zabiegów było zmartwienie dla pana Campbella, uszczerbek dla mej kieszeni i jeszcze jedna plama na reputacji pańskiego stryja, na co sobie niezbyt mógł pozwolić. A teraz, panie Balfour, znając już cały przebieg sprawy, może pan sam osądzić, do jakiego stopnia zasługuję na pańskie zaufanie.

Cała jego perora, naszpikowana urywkami łaciny, była utrzymana w bardziej pedantycznym, prawniczym stylu, niż to jestem w stanie opisać, ale malująca się w jego oczach i manierach szczerą życzliwość znacznie rozproszyła mą nieufność. Zdałem sobie ponadto sprawę, że pan Rankeillor nie wątpił już, z kim ma do czynienia, przez co sprawa mej tożsamości zdawała się być całkowicie rozwiązana.

- Panie - rzekłem - opowiadając me przygody, muszę powierzyć pańskiej dyskrekcji życie przyjaciela. Proszę więc, abyście zobowiązali się słowem do zachowania tej tajemnicy. Co do mnie, nie potrzebuję lepszej niż pańska twarz - rękojmi.

Dał mi słowo bardzo poważnie i dodał: - Niepokojący jest to raczej wstęp i jeśli pańska relacja ma zawierać jakieś drobne naruszenia prawa, proszę pamiętać, że jestem prawnikiem, i nie wspominać o nich zbyt szczegółowo.

Opowiedziałem mu więc wszystko od początku, on zaś podniósłszy na czoło okulary słuchał z zamkniętymi oczyma. Chwilami obawiałem się, że zasnął. Ale nic podobnego! Przekonałem się później, iż słyszał każde słowo, i aż zdziwiony byłem, jak dokładnie je

zapamiętał, nie wyłączając dziwnych, nie znanych mu nazw szkockich. Słyszał wówczas o nich raz jeden tylko, lecz pamiętał i przypominał mi je po wielu latach.

Wszelako, gdy wymieniłem po raz pierwszy pełne nazwisko Alana Breck, nastąpiła dziwna scena. Nazwisko to stało się oczywiście głośnie w całej Szkocji, po rozejściu się wieści o morderstwie w Appin i o nagrodzie ofiarowanej za schwytanie sprawcy, toteż zaledwie wymknęło mi się z ust, prawnik poruszył się na krześle i otworzył oczy.

- Nie wymieniałbym niepotrzebnych nazwisk, panie Balfour. Zwłaszcza gdy chodzi o góralsi, z których wielu ma zatargi z prawem.

- Lepiej byłoby, istotnie, gdybym je przemilczał, ale skoro to się już stało, nie pozostaje mi nic innego, jak mówić dalej.

- Bynajmniej - odparł pan Rankeillor - mam słuch nieco przytępiony, jak to pan pewnie zdążył zauważyć, i nie dosłyszałem dokładnie tego nazwiska. Z pańskim pozwoleniem będziemy nazywać tego przyjaciela panem Thomsonem, aby uniknąć refleksji. Na przyszłość radziłbym postępować podobnie, jeśli wypadnie panu wymienić nazwisko jakiegokolwiek góralsi, żywego lub umarłego.

Domyśliłem się z tego, że pan Rankeillor słyszał aż nazbyt dokładnie nazwisko Alana i przypuszczał, iż mogę przystąpić do opowiadania o morderstwie. Jeśli dogadzała mu rola nieświadomego, nie moja to była sprawa. Uśmiechnąłem się więc tylko, mówiąc, iż nazwisko nie brzmi wcale z góralska, ale zgodziłem się na propozycję prawnika. Aż do końca mego opowiadania Alan występował jako pan Thomson, co mnie tym bardziej bawiło, że tego rodzaju fortele były po jego myśli. Zgodnie z obraną taktyką określiłem Jamesa Stewarta jako krewnego pana Thomsona, Colina Campbella przedstawiłem jako pana Glena, Cluny'ego natomiast, gdy doszedłem do tej części moich przygód, nazwałem „Panem Jamesonem - wodzem góralskim”.

Była to oczywista farsa i dziwiłem się, że prawnikowi może zależeć na jej podtrzymywaniu, ale ostatecznie, takie wówczas panowały obyczaje, Szkocja bowiem podzielona była na dwa zwalczające się stronnictwa i osoby nie mające własnych, wyraźnie ustalonych poglądów, a pragnące żyć w spokoju, chwyciły się wszelkich sposobów, aby się żadnemu z nich nie narazić.

- Ho, ho - rzekł prawnik po wysłuchaniu do końca moich przygód - to jest wielce epicka opowieść, prawdziwa odyseja. Powinien pan to opisać dobrą łaciną, gdy stan pańskich umiejętności na to pozwoli, względnie po angielsku, chociaż osobiście wolę bardziej dobitny język. Zwiedził pan spory kawał świata, *quae regio in terris...* Jakaż parafia w Szkocji (okolicznościowy to przykład) nie była świadkiem pańskiej tułaczki? Okazał pan przy tym

szczególne zdolności do wplątywania się w dwuznaczne położenie oraz do zachowywania w nim na ogół godnej postawy. Ten pan Thomson wydaje się być dżentelmenem o wybitnych przymiotach, chociaż może odrobinę zbyt porywczym. Jednakże, nie miałbym nic przeciwko temu, aby (z całym uznaniem dla jego zasług) pochłonęło go Północne Morze, gdyż człowiek ten, panie Dawidzie, stanowi dla nas wielki kłopot. Słusznie pan jednak postąpił nie opuszczając go, a on, że wytrwał u pańskiego boku. Był pańskim wiernym towarzyszem, *paribus curis vestigia figit* \*, [\*Dotrzymując kroku w takich samych niebezpieczeństwach (łac).] gdyż ośmielę się zauważyć, obaj mieliście ważne powody, aby obawiać się szubienicy. Lecz dni te są już, na szczęście, poza nami i moim zdaniem (w granicach tego, co rozum wskazuje) zbliża się pan do końca swych utrapień.

Moralizując na temat mych przygód spoglądał jednak na mnie tak wesoło i serdecznie, że zaledwie mogłem opanować swą radość. Tak długo błąkałem się wśród ludzi nie uznających prawa i sypiałem w górach, pod gołym niebem, że znalezienie się znowu w czystym, pokrytym dachem domu i przyjazna rozmowa z dżentelmenem, ubranym w dobre sukno, wydawały mi się nie lada zaszczytem. Na myśl o tym, spojrzałem na me cuchnące łachmany i ponownie ogarnęło mnie zawstydzenie. Prawnik dostrzegłszy to, zrozumiał, o co mi chodzi. Powstał z krzesła i wychylając się na schody, polecił komuś dodać jedno nakrycie dla pana Balfoura, który zostanie na obiedzie. Zaprowadził mnie też do sypialni na piętrze swego domu, dał wodę, mydło i grzebień. Wydobył także nieco odzieży należącej do syna i wypowiedziawszy jeszcze jedną okolicznościową łacińską sentencję, pozostawił mnie samego, zajętego toaletą.

## XXVIII. W którym jest mowa o moim dziedzictwie

Dołożyłem wszelkich starań, aby zmienić swój wygląd, i spojrzawszy w lustro, z jaką radością odkryłem, że odżył znowu Dawid Balfour, natomiast obdarty włóczęga należy do przeszłości. Wstydiłem się jednakże tej zmiany, a zwłaszcza pożyczonej odzieży. Po zakończeniu zabiegów nad doprowadzeniem mojej postaci do godnego stanu pan Rankeillor spotkał mnie na schodach i złożył parę komplementów na temat tej korzystnej zmiany, zaprowadził z powrotem do swego pokoju.

- Proszę siadać, panie Dawidzie - rzekł. - Skoro jest pan teraz nieco bardziej do siebie podobny, sądzę, że mógłbym panu niejedno wyjaśnić. Chciałby pan zapewne wiedzieć coś więcej o ojcu i stryju. Dziwna to jest, zaiste, opowieść i rumienie się odsłaniając przed panem przyczynę tych wypadków. Albowiem - na twarzy pana Rankeillora malowało się istotnie zmieszanie - sednem całej sprawy była miłość do pewnej niewiasty.

- Na Boga - odpowiedziałem - nie umiem skojarzyć tego z osobą stryja.

- Pański stryj nie zawsze był starym i, co może wprawi pana w jeszcze większe zdumienie, nie zawsze odrażającym mężczyzną. Miał piękną i dziarską postawę i ludzie wyglądali przez drzwi, chcąc go widzieć przejeżdżającego na dorodnym wierzchowcu. Oglądałem to na własne oczy i wyznaję otwarcie, nie bez zazdrości, sam bowiem brzydkim byłem chłopcem, synem brzydkiego mężczyzny. A w tych czasach uroda niejedną torowała drogę, *odi te, qui bellus es, Sabelle* \*. [\*Nienawidzę cię, piękny Samnito (łac).]

- Ależ to brzmi jak senne marzenie!

- Tak - odrzekł prawnik - tak to bywa, gdy wiek podeszły bierze górę nad młodością. Ale nie na tym koniec. Stryj pański okazywał siłę i niezależność charakteru, co zdawało się dlań zapowiadać wielką przyszłość. W 1715 roku uznał za stosowne uciec z domu w celu przyłączenia się do rebeliantów. To pański ojciec wyruszył za nim w pogoń i znalazłszy go w rowie, odwiózł z powrotem *multum cementem* \*, [\*Głośno jęczącego (łac).] ku uciezce całej okolicy. Jednakże *maiora canamus* \*, [\*Opowiadamy o ważniejszym (łac).] obaj młodzieńcy zakochali się, i na dobitkę w tej samej damie. Pan Ebenezer, będąc bardziej kochanym, podziwianym i rozpieszczonym synem, nie wątpił ani na chwilę w swoje zwycięstwo, ale gdy zrozumiał, jak bardzo się pomylił, szalał jak rozjuszony paw. Całe hrabstwo o tym słyszało; to leżał chory w domu, a cała głupia rodzina zalewała się łzami przy jego łożu, to rozjeżdżał od oberży do oberży, opowiadając na cały głos o swoich troskach każdemu, kto chciał go słuchać. Ojciec pański, panie Dawidzie, był zacnym dżentelmenem, ale słabym, fatalnie słabym człowiekiem. Znosił cierpliwie wybryki młodszego brata, aż pewnego dnia, wyobraź

pan sobie, zrezygnował z ręki owej damy. Ona jednak okazała się roztropna, to po niej zapewne odziedziczył pan zdrowy rozsądek, i odmówiła zamiany jednego brata na drugiego. Obaj upadli przed nią na kolana i chwilowo stanęło na tym, że obu wyprosiła za drzwi. Działo się to w sierpniu. Mój Boże, w tym to właśnie roku powróciłem ze szkół. Scena ta musiała wysoce przypominać farsę.

I mnie głupią się wydawała ta cała sprawa, lecz nie mogłem zapomnieć udziału w niej mego ojca.

- Czy doprawdy nie sądzi pan - zapytałem - że zawierała i tragiczną nutę?

- Nie, panie, nawet w najmniejszej mierze - odpowiedział prawnik. - Treścią bowiem tragedii jest jakiś poważny konflikt *dignus vindice nodus*\*. [\*Godny tego, który by go rozwiązał (łac.)] A w tym wypadku były to tylko kaprysy młodego rozpieszczonego osła i nic by mu bardziej nie wyszło na zdrowie, jak związanie go i porządne złozenie skóry. Lecz pański ojciec nie podzielał tego zdania. Skończyło się na tym, iż po ustępstwach ze strony pańskiego ojca i po wyskokach bezczelnego samolubstwa ze strony pańskiego stryja, obaj doszli do pewnego rodzaju porozumienia, którego nieszczęsne skutki odczuł pan ostatnio bardzo boleśnie. Jeden wziął dziewczynę, a drugi majątek. Otóż, panie Dawidzie, dużo się rozprawia o hojności i litości, lecz na tym naszym padole nieraz mi się wydaje, że najlepiej wychodzi dżentelmen na tym, gdy zasięga rady prawnika i bierze wszystko, co mu prawo przyznaje. W każdym razie, ten godny Donkiszota wyczyn pańskiego ojca był nie tylko niesprawiedliwością sam w sobie, ale wywołał całą okropną lawinę krzywd. Ojciec pański i matka pomarli w ubóstwie, pan został wychowany na biedaka, a jakże się w tym czasie nacierpieli dzierzawcy w Shaws! A mógłbym dodać, gdyby mi na nim zależało, że i pan Ebenezer ciężko za to odpokutował!

- Najdziwniejsza w tym wszystkim jest zmiana, jaka zaszła w naturze tego człowieka - rzekłem.

- To prawda. Wyobrażam jednak sobie, że zmiana ta była dosyć naturalna. Stryj pański nie mógł sobie przypisywać szlachetnej roli w całej tej sprawie. Ci, którzy znali jej przebieg, przestali się z nim zadawać. Ci zaś, którzy nie znali szczegółów, po zniknięciu jednego brata i objęciu majątku przez drugiego, zaczęli głośno go pomawiać o morderstwo. Tak więc wszyscy go unikal. Niczego poza pieniędzmi nie uzyskał w tym przetargu, zaczął więc myśleć tylko o pieniądzach. Samolubem był za młodu, samolubem jest dzisiaj, w podeszłym wieku. A do czego doprowadziły wszystkie te piękne obyczaje i szlachetne uczucia, przekonał się pan na własnej skórze.

- Cóż z tego dla mnie wynika?

- Majątek jest pański, bez wątplenia. Bez względu na to, co podpisał pański ojciec, jest pan jego spadkobiercą. Lecz stryj pański należy do ludzi broniących do ostatka nawet straconej placówki i zakwestionuje prawdopodobnie pańską tożsamość. Proces sądowy jest zawsze kosztowny, a proces w rodzinie zwykle na szwank naraża jej dobre imię. Ponadto, gdyby pańskie poczynania pospołu z pańskim przyjacielem Thomsonem wyszły na jaw, moglibyśmy poparzyć sobie palce. Porwanie przemawiałoby oczywiście na naszą korzyść, o ile udałoby się nam je dowieść. Ale to może okazać się niełatwą sprawą. Ogólnie rzecz biorąc, należy, moim zdaniem, dojść do łatwego skądinąd porozumienia z pańskim stryjem, pozostawiając mu nawet Shaws, gdzie przez ćwierć wieku zapuścił już korzenie, a tymczasem zadowolić się odpowiednim zaopatrzeniem.

Powiedziałem mu, że chętnie przystanę na taką ugodę, jestem bowiem stanowczo przeciwny publicznemu roztrząsaniu rodzinnych kłopotów, i wtedy to właśnie zaczęły mi się w głowie kształtować zarysy pomysłu, dzięki któremu osiągnęliśmy następnie nasz cel.

- Najtrudniej będzie - rzekłem - przekonać mego stryja, iż porwanie przemawia przeciwko niemu.

- Oczywiście - odpowiedział prawnik - i jeśli to się okaże możliwe, bez ingerencji sądu. Moglibyśmy wprawdzie odszukać kilku marynarzy z Covenant, którzy potwierdziliby pod przysięgą pańskie uwięzienie na statku. Proszę jednak zważyć, panie Dawidzie, że z chwilą gdy znajdą się oni na ławie świadków, nie będziemy w stanie kierować ich zeznaniami i pewne wiadomości o pańskim przyjacielem Thomsonie muszą tak czy inaczej wyjść na jaw. A opierając się na pańskim opowiadaniu nie mogę tego uznać za pożądane.

- Moglibyśmy postąpić, zdaje mi się, w następujący sposób - i przedstawiłem mu swój plan.

- Ale musiałbym, o ile dobrze pana zrozumiałem, spotkać się z panem Thomsonem? - zapytał Rankeillor po wysłuchaniu mnie do końca.

- Podzielam pańskie zdanie.

- Na Boga! - wykrzyknął chwytając się za głowę - panie Dawidzie! Obawiam się, że pańskie zamysły są niewykonalne. Nie mam nic przeciwko pańskiemu przyjacielowi, nie wiem o niczym, co by przemawiało na jego niekorzyść. W przeciwnym bowiem wypadku obowiązkiem moim byłoby przyczynić się do jego ujęcia. A zatem pytam się pana, czy spotkanie z nim byłoby rozsądnym krokiem? Może on być oskarżony o różne sprawki. Może on panu wszystkiego nie ujawnił. Może on wcale nie nazywa się Thomson! - tu pan Rankeillor mrugnął do mnie. - Niektórzy z tych ludzi znajdują sobie nazwiska przy drodze z taką samą łatwością, jak inni zbierają kwiaty!

- Rozstrzygnięcie tego pytania pozostawiam panu.

Nie ulegało jednakże wątpliwości, że plan mój przypadł prawnikowi do gustu. Siedział bowiem zamyślony aż do chwili, gdy wezwano nas na obiad, który spożyliśmy w towarzystwie pani Rankeillor, i zaledwie ta dama pozostawiła nas samych przy butelce wina, zaczął ponownie roztrząsać moje propozycje. Gdzie i jak mamy się spotkać z panem Thomsonem? Czy jestem pewny jego dyskrecji? Czy zgodzę się na takie a takie warunki porozumienia założywszy, że stary lis wpadnie w nastawione nań sidła? Stawiał mi te i podobne pytania przerywane długimi okresami milczenia, podczas których rozmyślał popijając raz po raz. A gdy odpowiedziałem na wszystkie, ku jego, jak mi się zdawało, zadowoleniu, popadł w tak głęboką zadumę, że zapomniał nawet o stojącej przed nim butelce francuskiego wina. Wydobył potem arkusz papieru oraz ołówek i zabrał się do pisania, zastanawiając się nad każdym słowem. Wreszcie zadzwonił i wezwał swego pisarza.

- Torrance - rzekł - proszę mi to do wieczora porządnie przepisać, a gdy skończysz, bądź łaskaw zaopatrzyć się w kapelusz i przygotować do wyjścia wraz z tym oto dżentelmenem i ze mną. Będziesz mi zapewne potrzebny jako świadek.

- A więc, panie - zawołałem zaraz po odejściu pisarza - zgadza się pan na mój koncept?

- Tak by się wydawało - odrzekł napełniając swoją szklankę. - Ale nie mówmy już więcej o sprawach urzędowych. Widok Torrance'a przypomniał mi pewne zabawne zdarzenie sprzed kilkunastu lat, kiedy to umówiłem się z tym kapcanem na rynku w Edynburgu. Każdy poszedł swoją drogą. A gdy nadeszła godzina czwarta, Torrance tak sobie podpił, że nie był w stanie poznać swego pracodawcy, ja zaś, zapomniawszy okularów, byłem tak ślepy, że poznać nie mogłem własnego pisarza. - I pan Rankeillor roześmiał się rubasznie.

Powiedziałem, iż dziwny to zaiste wypadek, i uśmiechnąłem się przez uprzejmość, ale ku memu wielkiemu zdziwieniu pan Rankeillor powracał uporczywie przez całe popołudnie do tego opowiadania, śmiejąc się i dodając coraz to nowe szczegóły, aż wreszcie, zupełnie zbity z tropu, zacząłem się wstydić dziwactwa mego przyjaciela.

Gdy zbliżyła się godzina umówionego z Alanem spotkania, wyszliśmy z domu, pan Rankeillor i ja idąc obok siebie, a za nami kroczył Torrance z gotowym dokumentem w kieszeni i z nakrytym koszykiem w ręku. Tak długo, jak szliśmy przez miasto, prawnik wymieniał wciąż ukłony na prawo i lewo, a różni dżentelmeni nagabywali go ustawicznie w sprawach zarówno prywatnych, jak i dotyczących zarządu miasta. Mogłem się więc naocznie przekonać, jak poważany był w tym hrabstwie. Wreszcie pozostawiliśmy domy poza nami i zaczęliśmy iść wzdłuż zatoki, w kierunku oberży i pomostu przy promie, gdzie rozpoczęła się



moja niedola. Nie mogłem patrzeć na to miejsce bez wzruszenia, przypominając sobie, że wielu z tych, którzy się tam wówczas wraz ze mną znajdowali, już nie żyje: Ransome - mogłem żywić taką nadzieję - uwolniony przez śmierć od oczekującego nań zła, pan Shuan znajdujący się już tam, gdzie nie chciałbym pójść jego śladem, i wszyscy ci nieszczęśni marynarze, których tonący bryg pociągnął za sobą na dno. Przeżyłem ich wszystkich, nie wyłączając statku, i wyszedłem bez szwanku z tyłu trudów i straszliwych niebezpieczeństw. Nic innego nie powinienem mieć wówczas na myśli jak tylko wdzięczność dla Opatrzności, lecz pomny losu mych towarzyszy nie mogłem spoglądać na to miejsce bez smutku i zimny dreszcz ogarniał mnie na wspomnienie przeżytych obaw.

Rozmyślenia te przerwał mi pan Rankeillor, który nagłym ruchem uderzył się po kieszeniach, uśmiechnął się i zawołał:

- Czyż to nie zabawny zbieg okoliczności? Po tym wszystkim, co mówiłem, znowu zapomniałem okularów!

Zrozumiałem oczywiście natychmiast, do czego zmierzał opowiadając mi poprzednio o incydencie z okularami, i wiedziałem, że zostawiając je w domu uczynił to rozmyślnie. Chciał bowiem wykorzystać Alana dla naszych celów, nie narażając się jednak na kłopoty, jakie mogły wyniknąć z zawarcia takiej znajomości. Dobrze to było pomyślane. Założywszy nawet, że sprawa przybrałaby najgorszy obrót, jakże mógłby wówczas pan Rankeillor, będąc pozbawiony okularów, stwierdzić pod przysięgą tożsamość mego przyjaciela lub złożyć obciążające mnie zeznania? Co prawda, sporo czasu minęło, zanim zdał sobie sprawę z braku okularów, a idąc przez miasto poznał niejedną osobę i rozmawiał z nią, nie miałem więc zbyt wątpliwości co do jego wystarczająco bystrego wzroku.

Zaledwie minęliśmy oberżę „The Hawes” - gdzie poznałem jej właściciela, palącego fajkę na progu, i stwierdziłem ze zdziwieniem, że się nie postarzał - pan Rankeillor zmienił szyk marszu, pozostając w tyle ze swym pisarzem i wysyłając mnie naprzód jako zwiadowcę. Wyruszyłem w głąb wzgórz, pogwizdując od czasu do czasu umówioną szkocką melodię, aż wreszcie z niemałą radością usłyszałem Alana gwizdającego w odpowiedzi i dojrzałem go wstającego zza krzaka. Był cokolwiek markotny po spędzeniu całego dnia w ukryciu opodal miasta i po jednym tylko, i to kiepskim, posiłku w karczmie koło Dundas, lecz rozchmurzył się na sam widok mojej nowej odzieży, a skoro tylko mu powiedziałem, jak pomyślnie rozwijają się nasze sprawy i jaką rolę mu przeznaczam w tym, co pozostało do załatwienia, wnet nowy duch w niego wstąpił.

- Na znakomity wpadłeś pomysł - rzekł. - I ośmielę się twierdzić, że pragnąc doprowadzić go do szczęśliwego końca, nie mogłeś znaleźć odpowiedniejszego ode mnie

człowieka. To nie jest przedsięwzięcie, które byle komu można powierzyć, trzeba na to dżentelmena o niepośledniej bystrości umysłu. Ale coś mi się wydaje, że twój prawnik raczej niecierpliwie oczekuje na zawarcie ze mną znajomości.

Zacząłem więc wołać i wskazywać ręką miejsce, w którym się znajdowaliśmy, aż pan Rankeillor nadszedł sam, i przedstawiłem go memu przyjacielowi panu Thomsonowi.

- Bardzo mi miło pana poznać, panie Thomson - rzekł prawnik - ale zapomniałem moich okularów, a obecny tutaj nasz przyjaciel pan Dawid (tu poklepał mnie po ramieniu) poświadczy, że bez nich jestem prawie ślepy. Proszę więc nie zdziwić się i nie mieć mi za złe, jeśli jutro pana nie poznam.

Był przekonany, że Alan ucieszy się z takiego postawienia sprawy, lecz góralska buta objawiała się czasem z jeszcze mniej ważnych niż te powodów.

- Mój panie - odparł chłodno Alan - jest to o tyle nieważne, iż spotykamy się tutaj w pewnym szczególnym celu, a mianowicie obrony słusznych praw pana Balfoura, bo poza tym, o ile mogę sądzić, niewiele możemy mieć ze sobą wspólnego. Jednakże przyjmuję chętnie pańskie przeprosiny, które mi się istotnie należały.

- A to jest więcej, niż się mogłem spodziewać - odpowiedział wesoło pan Rankeillor. - A teraz, ponieważ mamy odegrać z panem główną rolę w tej materii, powinniśmy, moim zdaniem, zgodzić się przedtem porozumieć. W tym celu proszę użyczyć mi swego ramienia, gdyż o zmroku i bez okularów niezbyt wyraźnie widzę drogę przed nami. Pan zaś, panie Dawidzie, może się przekonać, iż Torrance jest miłym i rozmownym towarzyszem. Pozwalam sobie tylko przypomnieć, że wspomnianie o pańskim i pana...hm... Thomsona przygodach jest całkiem zbyteczne.

Ruszyli więc obaj przodem, ja zaś i Torrance szliśmy w pewnej odległości za nimi.

Noc już zapadła głęboka, gdy znaleźliśmy się w pobliżu domu w Shaws. Godzina dziesiąta minęła już dosyć dawno. Ciemno było i ciepło, a miły, szeleszczący wietrzyk z południo-wschodu tłumiał odgłosy naszych kroków. Podchodząc bliżej, nie dojrzeliliśmy żadnego błysku światła w całym budynku. Wydawało się, że stryj położył się już do łóżka, co najlepiej dogadzało naszym zamiarom. Porozumieliśmy się więc szeptem, stojąc w odległości około pięćdziesięciu jardów, po czym prawnik, Torrance i ja podeszliśmy cichutko i przysiedliśmy za węglem domu. Alan ruszył tymczasem otwarcie ku drzwiom i zaczął w nie pukać.

## XXIX. Osiągam moje królestwo

Alan walił w drzwi przez czas dłuższy, lecz kołatanie obudziło tylko echo w domu i w jego pobliżu. Dosłyszałem jednak wreszcie brzęk podnoszonego ostrożnie okna, domyśliłem się więc, że stryj mój podszedł do miejsca, z którego zwykł był wyglądać na zewnątrz. W nikłym świetle późnego wieczoru mógł dojrzeć postać Alana stojącą jak ciemny cień u progu. Trzej świadkowie pozostawali w ukryciu, całkowicie poza zasięgiem wzroku stryja. Uczciwy człowiek w swym własnym domu nie powinien zdradzać żadnej obawy. Pomimo tego stryj Ebenezer przez długą chwilę przyglądał się w milczeniu gościowi, a gdy przemówił, w głosie jego brzmiała nuta niepokoju.

- Co to znaczy? - rzekł. - Nocna pora nie jest odpowiednia dla przyzwoitych ludzi, a z nocnymi ptakami nie chcę mieć do czynienia. Po co tu przyszedłeś? Mam garłacz.

- Czy to pan Balfour? - zapytał. Alan cofając się o krok i spoglądając w górę, w ciemności. - Ostrożnie z tym garłaczem, to paskudny przyrząd.

- O co ci chodzi? Ktoś ty taki? - pytał gniewnie stryj.

- Nie mam żadnej ochoty ogłaszać całej okolicy mojego nazwiska, a po co tu przyszedłem - to jest inna sprawa, a obchodzi ona pana bardziej niż mnie. Jeśli pan jest pewny, że ta piosenka przypadnie panu do gustu, jestem gotów ją zaraz zaśpiewać.

- Cóż to jest?

- Dawid!

- Co takiego? - wykrzyknął stryj bardzo zmienionym tonem.

- Czy oprócz imienia mam panu podać również nazwisko?

Nastąpiła pauza, po której stryj rzekł niepewnym głosem:

- Zdaje się, że powinienem ciebie wpuścić do środka.

- I mnie się tak zdaje, ale sęk w tym, czy się zgodzę wejść do pańskiego domu. Otóż powiem panu, jakie jest moje o tym zdanie: pomówmy w tej sprawie tutaj na pańskim progu, a co więcej, pomówimy o tym tutaj albo nigdzie. Chciałbym bowiem, aby pan zrozumiał, że będąc dżentelmenem z lepszej niż pańska rodziny, jestem nie mniej od pana wyniosły.

Ebenezer zmieszał się słysząc taki ton i po chwili namysłu rzekł:

- Dobrze, niech i tak będzie.

Sporo jednak czasu upłynęło, zanim zszedł na dół, i jeszcze więcej, zanim uporał się z wszystkimi zamkami u drzwi, wahając się, jak sądzę, ulegając coraz to nowym dreszczom strachu za każdym krokiem i za każdym odsuwaniem rygłem i podnoszoną żelazną sztabą. Wreszcie usłyszeliśmy skrzypienie zawiasów i wywnioskowaliśmy z tego, że stryj mój wylazł

chyłkiem z domu, a widząc, jak Alan cofa się o parę kroków, kazał mu podejść i usiąść na najwyższym progu, sam zaś przysiadł obok, nie wypuszczając garłacza z rąk.

- A teraz - rzekł - pamiętaj o mym garłaczu i jeśli uczynisz krok dalej, nie wyjdiesz stąd żywy.

- Dalibóg, bardzo grzeczna to jest przemowa.

- Przyjęliśmy tak dziwny sposób postępowania, muszę więc mieć się na baczności. A teraz, skoro się już porozumieliśmy, możemy przystąpić do rzeczy.

- Będąc człowiekiem bardzo przemyślnym odgadł pan już niewątpliwie, że jestem dżentelmenem z Górnej Szkocji. Moje nazwisko nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Hrabstwo natomiast, w którym mam przyjaciół, leży opodal wyspy Muli. Nazwa ta nie jest panu obca. Otóż statek jakiś zatonął jakoby w tych stronach i następnego dnia pewien dżentelmen z mojej rodziny, spodziewając się, że morze wyniosło nieco drzewa z tego statku na piaszczyste wybrzeże, poszedł, aby to drzewo zebrać na opał, i natknął się na utopionego prawie chłopca. Docucił go jednak i przywrócił do życia, po czym on i paru innych dżentelmenów wzięło rozbitka do siebie i umieściło w starym zrujnowanym zamku, gdzie od tego dnia chłopak jest przyczyną niemałych wydatków. Moi przyjaciele są cokolwiek dzicy i nie tak znowu skrupulatni w trzymaniu się litery prawa jak ten i ów, którego mógłbym wymienić po nazwisku. Odkrywszy, że chłopak jest krewnym zamożnych ludzi i pańskim rodzonym bratankiem, panie Balfour, poprosili mnie, abym pana odwiedził i porozmawiał o tej sprawie. Mogę z góry panu powiedzieć, że o ile nie dojdziemy do porozumienia, niech się pan nie spodziewa ujrzeć kiedykolwiek tego chłopca. Moi bowiem przyjaciele - dodał z naiwną prostotą - nie należą do majątnych ludzi.

Stryj Ebenezer odchrząknął i rzekł:

- Niezbyt mi na nim zależy. To nie był dobry chłopak, aby nie powiedzieć więcej, i nie zamierzam się do tego wtrącać.

- Tak, tak, rozumiem, do czego pan zmierza. Udając, że jego los pana nie dotyczy, chce pan osiągnąć zmniejszenie okupu.

- Nie, powiadam szczerą prawdę. Nic mnie nie obchodzi, co się z tym chłopcem stanie, i możecie sobie z nim robić, co się wam żywnie spodoba.

- Tere fere, krew jest gęstsza od wody, do kaduka! Nie może pan opuścić syna swego brata, zbyt by się pan tego musiał wstydzić. A gdyby pan tak postąpił, a wieść by się o tym rozeszła, nie zwiększy to miru, jakim się pan cieszy, jeśli się bardzo nie mylę, w tych okolicach.

- Nie jestem tutaj i bez tego zbyt popularny, a nie widzę, jak ludzie mogliby się o tym dowiedzieć. W każdym razie nie ode mnie i nie od ciebie i twoich przyjaciół. Próżna to jest więc gadanina, mój chłopcze!

- W takim razie Dawid sam o tym rozpowie.

- A to jakim sposobem?

- Bardzo prosto. Moi przyjaciele będą oczywiście utrzymywać pańskiego bratanka aż do chwili, gdy stracą wszelką nadzieję zarobienia na tym. A jeśli to się im nie uda, jestem przekonany, że puszczą chłopca wolno i niech sobie idzie, gdzie chce, na złamanie karku!

- To mnie również bardzo mało obchodzi i nie zamierzam się tym martwić.

- I mnie się tak zdawało.

- A to dlaczego?

- Z tego wszystkiego, co słyszałem, panie Balfour, wynikają dwie możliwości: albo pan lubi Dawida i zapłaci pan, żeby mieć tutaj chłopca z powrotem, albo ma pan jakieś bardzo ważne powody, aby sobie nie życzyć tutaj jego obecności, i zapłaci pan za zatrzymanie go z dala od Shaws. Pierwsza możliwość nie wydaje się panu odpowiadać; pozostaje druga, co mnie bardzo cieszy, gdyż oznacza to ładne grosiwo wpadające do mojej i moich przyjaciół kieszeni.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie? Zaraz to panu wytłumaczę. Nie chce pan powrotu chłopaka, a zatem co pan chce, byśmy z nim zrobili, i wiele pan za to gotów jest zapłacić?

Stryj nic na to nie odpowiedział, tylko zaczął się wiercić niespokojnie na progu.

- Panie! - wykrzyknął ostro Alan. - Pragnę, abyście zdali sobie sprawę, że macie do czynienia z dżentelmenem! Noszę królewskie nazwisko! Nie należę do ludzi gotowych wystawać, Bóg wie jak długo, pod pańskimi drzwiami. Albo mi pan udzieli uprzejmej odpowiedzi, i to niezwłocznie, albo na moje ojczyste góry, poczuje pan trzy stopy żelaza w brzuchu!

- He, he, panie - zawołał stryj - dajże mi chwilę do namysłu! Co się panu stało? Jestem prostym człowiekiem, a nie dworakiem, i staram się być tak uprzejmym, jak to jest moralnie możliwe. A te obraźliwe słowa wstyd panu przynoszą. Żelazo w brzuchu, pan powiada? A z moim garłaczem to już się pan nie liczy? - dodał drżącym ze złości głosem.

- Proch i ta starcza ręka w zawodach ze stalą w ręku Alana - to ślimak ścigający się z jaskółką. Zanim pańskie trzęsące się palce na spust natrafiają, moja szabla ugrzęźnie aż po rękojeść w pańskiej piersi!

- Ależ, człowieku, któż chciałby temu zaprzeczać? Niech już będzie po twojemu, nie chcę się w niczym panu narazić. Powiedz mi tylko, proszę, czego żądasz, a przekonasz się pan, że dojdziemy pięknie do porozumienia.

- Dalibóg, panie, niczego innego nie żądam jak tylko jasnego postawienia sprawy: czy mamy tego chłopca zabić, czy też go u nas zatrzymać?

- Na Boga! Panowie! - wykrzyknął Ebenezer - któż widział używać takich wyrazów!

- Czy chce pan, abyśmy go zabili, czy też utrzymywali? - powtórzył Alan.

- Zatrzymajcie go u was! Zatrzymajcie! Nie życzę sobie rozlewu krwi!

- Dobrze, jeśli takie jest pańskie życzenie, ale będzie to drożej kosztować.

- Drożej? Czy chcecie wasze ręce zbrodnią pokalać?

- Tere, fere, są gorsze zbrodnie. Uśmiercić to łatwiejsza, szybsza i pewniejsza robota.

Utrzymywanie zaś chłopca będzie kłopotliwą sprawą.

- Wolę jednak, abyście go zatrzymali u siebie; unikałem zawsze wszystkiego, co jest moralnie złe, i nie odstąpię od tej zasady, aby pójść na rękę dzikim góralom.

- Ależ z pana skrupulat! - Alan roześmiał się szyderczo.

- Jestem człowiekiem z zasadami - odrzekł z całą prostotą Ebenezer. - I jeśli mam za to zapłacić, to trudno, jestem gotów to uczynić. A ponadto zapomina pan, że chłopak jest synem mego brata.

- No, dobrze, ale teraz chodzi o cenę. Niełatwo mi jest ją określić. Muszę przedtem dowiedzieć się paru drobnych rzeczy, na przykład, wiele pan dał kapitanowi Hoseason za pierwszym razem?

- Kapitanowi Hoseason! - zawołał ze zdumieniem mój stryj. - A za co?

- Za porwanie Dawida!

- To kłamstwo! Ohydne kłamstwo! On nigdy nie był porwany. Ktokolwiek to panu powiedział, kłamał bezczelnie. Porwany? To nieprawda!

- Więc któż odpowiada za to, co się stało? Nie pan i nie ja, i nie Hoseason, o ile można mu wierzyć.

- Co to znaczy? Czy Hoseason panu o tym powiedział?

- Jakże inaczej mógłbym o tym wiedzieć, ty stary kutwo! - zawołał Alan. - Hoseason i ja jesteśmy współnikami i dzielimy zyski, sam pan zatem widzi, że wykręty na nic się nie zdadzą. A powiem panu otwarcie, że nie lada głupstwo pan zrobił wtajemniczając w swoje prywatne sprawy takiego jak Hoseason człowieka. Ale mniejsza o przeszłość. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Teraz chodzi o co innego. Wiele mu pan zapłacił?

- Czy on tego panu nie powiedział?

- To pana nic nie obchodzi.

- Cokolwiek panu powiedział, zełgał na pewno, a prawdą jest, klnę się przed Bogiem, że dałem mu dwadzieścia funtów. Jednakże będę z panem całkiem szczery. Hoseason miał prócz tego zatrzymać dla siebie sumę uzyskaną ze sprzedaży chłopca w Ameryce, przez co zarobiłby więcej, ale nie z mojej kieszeni.

- Dziękuję panu, panie Thomson, to nam najzupełniej wystarczy - rzekł prawnik występując naprzód z za węgła, po czym zwrócił się z wyszukaną uprzejmością do stryja;

- Dobry wieczór, panie Balfour - rzekł.

- Dobry wieczór, stryjaszku - powiedziałem.

- Piękną mamy dzisiaj noc, panie Balfour - dodał Torrance.

Stryj nie odezwał się ani słowem. Siedział nadal na progu i patrzył na nas jak skamieniały. Alan wyrwał mu garłacz z ręki, pan Rankeillor zaś, wzięwszy go pod ramię, odciągnął od progu, zaprowadził do kuchni, dokąd poszliśmy za nimi, i posadził na krześle koło kominka, w którym ogień wygasł już prawie.

Uradowani powodzeniem spoglądaliśmy na niego przez chwilę, litując się jednak nad hańbą tego starca.

- Uszy do góry, panie Balfour - rzekł prawnik. - Nie należy się aż tak frasować, gdyż obiecuję łatwe panu postawić warunki. Tymczasem proszę o klucz od piwnicy, a Torrance przyniesie nam butelkę wina pańskiego ojca, gwoli uczczenia tego, co dzisiaj zaszło.

Zwrócił się do mnie i ściskając mą rękę rzekł:

- Panie Dawidzie. Życzę wszelkiego szczęścia, zasłużonego, moim zdaniem, w zażywaniu pańskiej fortuny.

Następnie do Alana, nieco drwiącym tonem:

- Proszę przyjąć wyrazy mego podziwu, panie Thomson. Niezwykle dowcipnie pan to wszystko przeprowadził. Jedna tylko z pańskich wypowiedzi przekracza cokolwiek moje zrozumienie. Czy panu jest na imię Jakub? Albo Karol? A może Jerzy?

- A dlaczego miałbym nosić jedno z tych trzech imion? - odparł Alan wyprostowując się jak ktoś wyczuwający grożącą mu zniewagę.

- Dlatego tylko, że wspomniał pan o królewskim nazwisku, a ponieważ nie było nigdy króla Thomsona, a w każdym bądź razie sławetne jego dzieje nie doszły do mojej wiadomości, sądzę więc, że miał pan na myśli imię na chrzcie panu nadane.

Tego właśnie rodzaju docinki Alan odczuwał najboleśniej i muszę przyznać, iż poczuł się bardzo dotknięty. Nie odpowiedział ani słowem, lecz odszedł w najdalszy kąt kuchni i usiadł tam nadąsany. Dopiero gdy zbliżyłem się do niego, uścisnąłem jego rękę i

podziękowałem, jako głównemu sprawcy mego powodzenia, rozchmurzył się nieco i zechciał się do nas przyłączyć.

Zanim to nastąpiło, rozpaliliśmy ogień i otworzyliśmy butelkę. Z koszyka ukazała się dobra wieczerza, do której Torrance, Alan i ja zasiedliśmy ochoczo, podczas gdy pan Rankeillor i stryj Ebenezer przeszli na naradę do sąsiedniej izby. Siedzieli tam zamknięci przeszło godzinę, po jej upływie doszli do polubownego porozumienia, które stryj mój i ja podpisaliśmy niezwłocznie w urzędowej formie. Zgodnie z jego treścią, stryj Ebenezer zobowiązał się zdać sprawę panu Rankeillorowi z zarządu majątkiem i płacić mnie dwie trzecie czystego rocznego dochodu z Shaws.

Jak żebrak z ballady, który doszedł do swej ojcowizny, tak i ja tej nocy, gdy kładłem się spać na skrzyniach w kuchni, byłem człowiekiem majątnym i znacznym w tych okolicach; Alan, Torrance i Rankeillor spali chrapiąc donośnie na twardych posłaniach. Mnie zaś, który przeleżałem tyle nocy i dni pod gołym niebem, w błocie i na kamieniach, nieraz o pustym żołądku i w strachu przed grożącą mi śmiercią, szczęśliwa ta odmiana losu wytrąciła z równowagi ducha bardziej niż jakakolwiek poprzednia zmiana na gorsze. Leżałem więc, nie zmrużywszy oka aż do świtu, patrząc na igrający na pułapie odblask ognia, i snułem plany na przyszłość.



### XXX. Do widzenia

Jeśli chodzi o mnie dopłynąłem do portu, ale miałem jeszcze na głowie mego dobroczyńcę Alana, a ponadto los Jamesa of the Glens, niesłusznie uwięzionego pod zarzutem udziału w morderstwie, ciążył mi nadal na sumieniu.

Wywnętrzyłem się szczerze na temat obu tych kłopotów przed panem Rankeillorem nazajutrz rano około godziny szóstej, chodząc z nim tam i z powrotem przed domem w Shaws. Na rozpościerający się przed nami widok składały się wyłącznie lasy i pola, należące niegdyś do mych przodków i stanowiące obecnie moją własność. Nawet podczas tej nader poważnej rozmowy oczy moje coraz to przebiegały po moich włościach i serce nabrzmiewało mi dumą.

Prawnik nie miał wątpliwości co do mych oczywistych obowiązków względem przyjaciela. Winienem mu być dopomóc w opuszczeniu kraju, nie bacząc na jakiegokolwiek związane z tym ryzyko. Innego natomiast był zdania, gdy chodziło o Jamesa.

- Pan Thomson - mówił - to jedno, a krewniak pana Thomsona to drugie i zgoła inna materia. Nie znam szczegółów tej sprawy, lecz mam powody sądzić, iż pewien wielmoża (nazwiemy go, o ile nie ma pan nic przeciwko temu, księciem A.) jest nią nie tylko zainteresowany, ale poważnie leży mu ona na sercu. Księżę A. jest niewątpliwie godnym szacunku szlachcicem, ale, panie Dawidzie, *timeo qui nocuere deos*. Jeśli pańskie zabiegi przeszkodzą mu w wykonaniu mściwych zamiarów, proszę pamiętać o dobrym sposobie zniweczenia pańskich zeznań, a jest nim posadzenie pana na ławie oskarżonych. Wówczas znajdzie się pan w położeniu nie lepszym od krewniaka pana Thomsona, Będzie pan obstawał przy swojej niewinności, ale przecież i on jest niewinny. A bronić się w gardłowej sprawie przed przysięgłymi w Górnej Szkocji, gdy w grę wchodzi góralska kłótnia i sędzia góral feruje wyrok, to najkrótsza droga prowadząca na szubienicę.

Takie samo rozumowanie nieraz już przychodziło mi przedtem do głowy, nie znalazłem jednak na nie żadnej dobrej odpowiedzi. Rzekłem więc z całą prostotą, na jaką mnie było stać:

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak dać się powiesić.

- Mój drogi chłopcze! - zawołał pan Rankeillor - idź i czyń, co uważasz za słuszne, i niech cię Bóg prowadzi! Nie należy przypuszczać, że w moim wieku mogę doradzać bezpieczne, lecz hańbiące postępowanie. Przepraszam cię więc i wycofuję wszystko, co o tym powiedziałem. Idź i spełń swój obowiązek. A jeśli tak być musi, daj się powiesić, jak na dżentelmena przystało. Są na świecie rzeczy gorsze od stryczka.

- Niewiele - odrzekłem z uśmiechem.

- Nie, panie, jest ich bardzo wiele. A dla pańskiego stryja, żeby już nie wspominać o innych jemu podobnych, byłoby po dziesięćkroć lepiej, gdyby przyzwoicie zawisnął na szubienicy!

Co rzekłszy, pan Rankeillor wszedł do domu (wciąż bardzo podniecony; zdawałem sobie sprawę, że ocenia należycie i cieszy się z mego postanowienia) i zasiadł do pisania dwóch listów, komentując je głośno podczas tej czynności.

- Ten list - mówił - skierowany jest do moich bankierów British Linen Company i otwiera panu u nich kredyt. Proszę się naradzić z panem Thomsonem. On będzie wiedział, którędy i jakim sposobem wydostać się z kraju. Pan zaś, za pomocą tego kredytu, dostarczy mu środków po temu. Tuszę, że roztropnie rozporządzać będziesz swymi pieniędzmi, ale przy ratowaniu pana Thomsona doradzałbym nawet rozrzutność. A jeśli chodzi o jego krewniaka, nic lepszego uczynić nie można, jak zwrócić się do Lorda Prokuratora, opowiedzieć mu wszystko, co panu o tym wiadomo, i zgłosić się na świadka. Czy on to uwzględni, czy też nie, inna to kwestia. Wiele zależeć będzie od opinii księcia A. Otóż aby panu umożliwić stawienie się z dobrą rekomendacją przed obliczem Lorda Prokuratora, daję ci list adresowany do pańskiego imiennika, uczonego pana Balfoura z Pilrig, dla którego żywię wielki szacunek. Lepiej będzie, gdy ktoś noszący to samo nazwisko przedstawi pana Lordowi, a dziedzic Pilrig cieszy się wielkim wzięciem na uniwersytecie i Lord Prokurator liczy się z jego zdaniem. Gdybym był na pańskim miejscu, nie trudziłbym go żadnymi szczegółami i jak mi się wydaje (co pan o tym sądzi?), nie wspomniałbym wcale o panu Thomsonie. Radzę we wszystkim iść za przykładem dziedzica z Pilrig. Jest to godny wzór do naśladowania. W rozmowie z Lordem Prokuratorem wskazana jest dyskrecja, a we wszystkich tych sprawach niech Bóg pana prowadzi, panie Dawidzie.

Po wręczeniu mi obu listów pan Rankeillor pożegnał się z nami i w towarzystwie Torrance'a wyruszył z powrotem do Queen's Ferry, Alan zaś i ja skierowaliśmy się w stronę stołecznego miasta Edynburga. Idąc ścieżką wydeptaną wśród murawy i mijając bramę i nie dokończony domek odźwiernego, oglądaliśmy się raz po raz, aby spojrzeć na dom moich ojców. Wznosił się za nami ogromny i opustoszały, żaden dym nie wieńczył jego kominów, tylko w jednym z górnych okien coraz to ukazywał się i znikał spiczasty koniec szlafmicy, chwiejąc się na wszystkie strony, niczym głowa królika leżącego w polnej bruździe. Nie witano mnie radośnie, gdym się pojawił w tym domu, i gorzej jeszcze potraktowano podczas mego tam pobytu, ale przynajmniej na odchodnym ktoś zęgnął mnie wzrokiem.

Powoli szliśmy z Alanem naszą drogą, lecz rozmowa się nie kleiła i nogi niechętnie niosły naprzód. Ta sama myśl gnębiła nas obu. Oto zbliżała się chwila rozłąki i wspomnienia całej przeżytej razem doli i niedoli ciążyły nam nieznośnie na sercu. Mówiliśmy co prawda o tym, co nam dalej czynić należało, i uzgodniliśmy, że Alan pozostanie poza miastem, w okolicznych wsiach, nigdzie długo nie popasając, lecz będzie przychodził raz dziennie na umówione miejsce, w którym będę mógł się z nim porozumiewać bądź osobiście, bądź za pośrednictwem posłańca. Ja zaś miałem odnaleźć pewnego prawnika należącego do klanu Stewartów z Appin i z tego względu całkowicie godnego zaufania. Jego zadaniem było wyszukanie statku i bezpieczne wyprawienie na nim Alana do Francji. Zaledwie omówiliśmy te szczegóły, słowa zaczęły nam zamierać w ustach i chociaż próbowałem żartować z Alana, wciąż występującego pod nazwiskiem pana Thomsona, on zaś odwzajemniał mi się dowcipami o mojej nowej odzieży i majątku, nietrudno było poznać, że nie na śmiech, lecz na łzy się nam zbiera.

Gdy doszliśmy do skrzyżowania dróg na wzgórzu Corstorphine i ujrzelśmy rozciągające się przed nami miasto Edynburg oraz zamek na wysokiej górze, zrozumieliśmy bez słowa, że tutaj rozejdą się nasze drogi. Alan powtórzył mi raz jeszcze wszystko, co zostało umówione pomiędzy nami: adres prawnika, godziny spotkań z Alanem, hasła i sygnały, za pomocą których można go będzie odszukać. Następnie dałem mu pieniądze (parę gwinei pożyczonych od prawnika), aby mu tymczasem zapewnić dostatnie utrzymanie. Staliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, spoglądając na miasto.

- Do widzenia - rzekł Alan wyciągając lewą rękę.

- Do widzenia - odpowiedziałem i uściskawszy lekko jego dłoń, zbiegłem ze wzgórza.

Nie spojrzeliśmy sobie w oczy i tak długo, jak Alan znajdował się w zasięgu wzroku, nie obejrzałem się ani razu. Lecz idąc ku miastu czułem się tak. smutny i osamotniony, że najchętniej usiadłbym w rowie przydrożnym, płakał i szlochał jak dziecko.

Zbliżało się południe, gdy przez West Kirk i Grassmarket wszedłem w ulice stolicy. Wysokie budynki, sięgające dziesięciu, a nawet i piętnastu pięter, prowadzące do nich wąskie sklepione arkady, z których wciąż wynurzały się tłumy przechodniów, stopy towarów wystawionych w oknach kupców, nieustanny zgiełk i ruch, wstrętne zapachy i piękna odzież tudzież setki innych szczegółów, o których nie warto wspominać, napełniły mnie zdumieniem i oszołomiły do tego stopnia, że błąkałem się długo, niesiony falą tłumów. Wszelako myśl o pozostawionym za miastem Alanie nie opuszczała mnie ani na chwilę i (aczkolwiek może się wam wydawać, że musiałem być olśniony splendorem i nowością wszystkiego, co mnie otaczało) czułem wciąż zimny dreszcz w sercu, jakby wyrzuty sumienia.

W tej wędrówce ręka Opatrzności zaprowadziła mnie pod same drzwi banku British Linen Company.

\*

W tym oto miejscu obecny wydawca skłonny jest pożegnać się chwilowo z Dawidem Balfourem. Dalsze dzieje ucieczki Alana, wyniki zabiegów Dawida w związku z morderstwem Czerwonego Lisa i mnóstwo innych arcyciekawych szczegółów opiszemy może później. Będzie to jednak zależało od opinii czytelników. Wydawca ma bardzo wiele sentymentu dla Alana i Dawida i chętnie spędziłby znaczną część swego życia w ich towarzystwie, ale czytelnicy mogą być innego zdania. Uwzględniając tę możliwość i w obawie przed zarzutem złego ich potraktowania, pośpieszamy was zapewnić, że obu naszym bohaterom dobrze się powiodło, w ograniczonym i ludzkim sensie słowa „dobrze”, i że żaden ich w życiu nie splamił dyshonor, a jeśli cokolwiek pokrzyżowało dalsze poczynania bohaterów, nie należy tego przypisywać słabości ich charakteru.